



**JEANETTE
WINTERSON
KAMIENNI
BOGOWIE**



PRÓZBA

JEJ PORTRET



KAMIENNI BOGOWIE

Kamienni bogowie to awanturnicza wyprawa w czasie i przestrzeni, która wędruje z XVIII-wiecznej Wyspy Wielkanocnej ku odległej przyszłości i wraca do zamierzczonej przeszłości. Jest to również nadzwyczaj piękny tryptyk miłosny, z udziałem kolejnych wcielen Billie i Spike, których prywatna historia spleta się z dziejami ludzkości.

Winterson tą żarliwą, polemiczną i często bardzo zabawną powieścią wprowadza nowe jakości do wszystkiego, co dotychczas napisała. Jej najnowsze dzieło to prawdziwy hymn wychwalający urodę świata.

Jeanette Winterson, wybitna pisarka brytyjska średniego pokolenia, laureatka wielu nagród literackich, zadebiutowała w roku 1985 powieścią *Nie tylko pomarańcze...* REBIS oprócz tego debiutu wydał m.in. jej najstynniejszą powieści: *Podtrzymywanie światła*, *Zapisać na ciele*, *Pluć wiśni*, *Wolność na jedną noc*, *Namiętność* oraz zbiór esejów *O sztuce*.



REBIS www.rebis.com.pl

Cena 35,90 zł



**JEANETTE
WINTERSON
KAMIENNI
BOGOWIE**

Przełożyła Katarzyna Karłowska



Dom Wydawniczy RFBIS

Tytuł oryginału

The Stone Cods

Copyright © Jeanette Winterson, 2007

All rights reserved

The moral right of the author has been asserted.

Copyright © for the Polish edition by REBIS Publishing House Ltd.,

Poznań 2008

Redaktor Katarzyna Rażniewska

Projekt i opracowanie graficzne okładki oraz ilustracja na okładce

Zbigniew Mielnik

Wydanie I

ISBN 978-83-7510-206-2

Dom Wydawniczy REBIS Sp. z o.o.

ul. Żmigrodzka 41/49, 60-171 Poznań

tel. 061-867-47-08, 061-867-81-40; fax 061-867-37-74

e-mail: rebis@rebis.com.pl

www.rebis.com.pl

Gdańsk, tel. 058-347-64-44

Tę książkę dedykuję moim najstarszym przyjaciółom - Phillippie Brewster, Vicky Licorish, Henriemu Llewelynowi Daviesowi, Monie Howard, Peggy Reynolds, Beeban Kidron, Phillippie Giles i Ruth Rendell. A także Ali Smith, która pojawiła się później, oraz Deborah Warner, na zawsze.

BŁĘKITNA PLANETA

Nasz nowy świat ma masę mega-, giga-, teragrama.

Za to pozostałe rozmiary stanowią prawdziwe wyzwanie dla świadomości; są rzeczy tak małe, że same się dopraszają, by je zadeptać, i są tak ogromne, że oku jawią się jak rozmyta plama ziarna. Trafiają się liście ogromne jak miasta i trafiają się ptaki, którym do uwicia gniazda wystarcza muszelka. Jak koszmary głębokie są odciski szponiastych, długopalcych łap w białym piasku, ale oczka wodne wyżłobione w skałach przez niewidoczne ryby mają pojemność zagłębienia w dłoni.

Drzewa jak drapacze chmur i równie jak one ludne. Trawa wysokości żywopłotów, orzechy rozdęte jak dynie. Sardynki, do których wyłowienia trzebaby dwóch mężczyzn. Jaja o jasnobłękitnych skorupach - wykluwające się wszechświaty mają taką masę jak one.

A pod spodem grzyby, delikatne i mikre jak mysie uszy. Wystarczy byle szczelina, nawet tak mała jak skaleczenie, i wnet w jej wnętrzu namyślają się, co dalej, biliony mikrobów. Zarodniki, które czekają na wiatr i nigdy nie oglądają się wstecz.

Mech, który w skupieniu pracuje nad swą zielonością.

Mężczyzna pcha się na czoło tłumu z mikrofonem: „A tlen jest?” Owszem, jest. „A czysta woda?” W nadmiarze. „I powietrze nie jest skażone?” Ani trochę. A są tam minerały? Złoto też? Jaki jest tamtejszy klimat? Często pada? Ktoś już jadł te ryby? A żyją tam jacyś ludzie? Nie, tam nie ma żadnych ludzi. A w ogóle jakieś inteligentne życie?

To zależy od tego, jak kto rozumie słowo „inteligentny”. Owszem, coś tam żyje, jest bardzo duże, świetnie się zna na swym fachu.

Na zawieszonym wysoko ekranie wykwita zdjęcie łuskowatej bestii z metalicznymi szczękami. Tłum reaguje okrzykami przerażenia, są przypadki zasłabnięć. Nie! Tak! Nie! Tak!

Najskuteczniejsza machina do zabijania sprzed wynalezienia prochu. Nieźle jak na stwora z cielskiem wielkości stadionu i mózgiem wielkości słoika dżemu.

Przyszłam tu dzisiaj po to, żeby odpowiadać na pytania:

- Bardzo proszę, pani w różowym...
- Czy monstra, które tu widzimy, są roślinożerne?
- Ależ droga pani, wegetarianin z takim uzębieniem?

Zła odpowiedź. Moje zadanie polega na uspokajaniu. Do ludzi wychodzi jakiś naukowiec. Tak lepiej. Naukowcy uspokajają automatycznie.

Ten dzień budzi wielkie emocje. I zarazem przynosi uspokojenie.

Przyszliśmy tu dzisiaj po to, żeby poświadczyć: tak, to nasza życiowa szansa. Życiowa szansa dla całej ludzkości. Największa szansa, jaka nam się przydarzyła od chwili, w której zaczęło się

życie. Jedna planeta już się nam kończy i znaleźliśmy sobie nową. Szukaliśmy wśród mrowia świetlistych, foremnych kamyczków, którymi inkrustowane jest niebo, długo, bardzo długo szukaliśmy, i w końcu znalazł się ten właściwy, który nazwiemy domem. Przenosimy się i tyle. Każdy musi zrobić to choć raz, w tym czy w innym momencie, prędzej lub później, to naturalna kolej rzeczy.

Nazywam się Billie Crusoe.

- Przepraszam, pani się nazywa Billie Crusoe?

- To ja.

- Ze Służb Ulepszania?

- Tak, każdy dzień nowym dniem. - (Tak się mówi u nas w Ulepszaniu.)

- Czy zechce pani oświecić widzów co do zakresu, w jakim ta nowa planeta odmieni ich życie?

- Z przyjemnością. Nowa planeta daje nam możliwość robienia wszystkiego inaczej. Tutaj, na Orbusie, mieliśmy bardzo wiele spektakularnych osiągnięć... cóż, w kontekście całego wszechświata sami stanowimy osiągnięcie, bo zwracam uwagę: nie ma innych planet zamieszkałych przez ludzi...

Dziennikarz przeprowadzający wywiad przytakuje i uśmiecha się z zapałem.

- ...niemniej zdarzało nam się schodzić z właściwej drogi. Popelnialiśmy błędy. Poważnie uszczupliliśmy dostępne zasoby naturalne, a rozrastająca się populacja w żaden sposób nie potrafi porozumieć się co do tego, jak świat, pojmowany jako całość, miałby sprawiedliwie korzystać z tych zasobów, które nam jeszcze zostały. Co oczywiście rodzi spore prawdopodobieństwo wybuchu konfliktu. Na szczęście jednak jest ta nowa planeta, a to oznacza, że moglibyśmy na nowo się rozsiedlić, co

z kolei skutkowałoby powszechną poprawą jakości życia: zarówno tych, którzy odejdą, jak i tych, którzy zostaną.

- Czyli sytuacja, w której nie ma przegranych.
- Dokładnie tak, wszystkie losy wygrywają.

Złote łuki służące za bramę wjazdową miasta wpuszczają właśnie prezydenta Mocarstwa Centralnego. Trwają na swym posterunku jak anioły, stulone skrzydła przyćmiewają tło, które stanowią znacznie bledsze światła nieboskłonu.

Laserowa brama, na pierwszy rzut oka nad wyraz materialna, to się pojawia, to znika, podobnie jak mur, który otacza pierścieniem miasto, widzialny i zarazem niewidzialny atrybut postępu i potęgi.

Światło łuków iskrzy się lekko od zmagazynowanej w nich energii; wystarczy w nie wejrzeć. I tworzy aureę miasta: jest jego godłem i znakiem ostrzegawczym, jest jego halo i tarczą.

Kawalkada prezydenta dotarła już do Ringu. Chorągiewki, dywany, kwiaty, klakierzy, ochroniarze, reporterzy, liderzy, posiłki, wsparcie, służby medyczne, służby techniczne, ekipy, instalacje, światła, dźwięk, kamery, nagrywanie, transmisja, telemetria, telepizza, PR, make-up, kosmetyczne poprawki, stoimy, zielone - NAPRZÓD!

Prezydent wygłasza przemówienie. Mocarstwo Centralne od setek lat finansowało tę misję kosmiczną, więc nikt nie wątpi, że to my jesteśmy autorami wszelkich odkryć. Prezydent porównuje nas do odkrywców Indii, Ameryki, koła podbiegunowego; emocjonuje się, szuka jakiejś poetyckiej frazy. I taka pojawia się na chwilę, napisana odręcznie, charakterem,

którego nikt nie potrafi odcyfrować, pochyłe litery pod serią fotograficznych obrazów Błękitnej Planety - *W niej Księstwa, we mnie zaś Książęta drzemią...** [John Donne, *Wschód słońca*, tłum. S. Barańczak, Znak, Kraków 1998.]

Prezydent wygłasza przemówienie.

Szczególne chwila dla całej ludzkości [...] niepowtarzalna okazja [...] wojna zażegnana [...] planowany szczyt z udziałem Mocarstwa Centralnego, Kalifatu Wschodniego i naszych przyjaciół z Sojuszu Sino-Moskalskiego. Obietnica pokojowego kompromisu. Nowe planety w zastępstwie starych. Do jutra rana dwadzieścia dwa geomiasta Mocarstwa Centralnego otrzymają komplet informacji i zdjęć. Przygotowania do nowej misji kolonizacyjnej dobiegają już końca. Monstra zostaną humanitarnie unicestwione, z wyjątkiem jednego, może dwóch okazów, które w celach naukowych będą przekazane do Zoo-eum.

Na terenie Ringu pojawiają się kosmonauci we własnych osobach, w lśniących, tytanowych kombinezonach ciśnieniowych, pod pachami trzymają przesadnie duże hełmy. Urzekają jak komety, wloką za sobą ogniste warkoczki sławy.

Towarzyszy im robot - a mówiąc ściśle, Robo *sapiens* płci żeńskiej. Jest niewiarygodnie seksowna, na jej obliczu maluje się zboląły wyraz charakterystyczny dla wszystkich robotów przeznaczonych do demontażu. To obowiązująca praktyka: wszystkie roboty od informacji wrażliwych są demontowane po misji, by wrogie siły nie miały dostępu do ich danych. Przemierzyła kosmos, a teraz powędruje do zakładu utylizacji. Ale to nic takiego, robotom, nawet tym z gatunku Robo *sapiens*, nikt nie współczuje. To przecież zwyczajne maszyny.

Odziani na srebrno zbawiciele ściskają dłoń prezydenta, Robo *sapiens* tylko stoi z boku. Opowie nam wszystkim o chemicznej i mineralnej budowie nowej planety, o wynikach pomiarów atmosferycznych, o ewentualnej historii i możliwej ewolucji planety. A potem, kiedy część oficjalna dobiegnie wreszcie końca, zejdzie ze sceny, przetransferuje wszystkie dane i zacznie otwierać ogniwa energetyczne, jedno po drugim, dopóki nie zgaśnie w niej ostatnia iskra robotowego życia.

I nastąpi koniec.

To przecież swoiste samobójstwo, niemalże wykrwawianie się na śmierć, a jednak roboty nie zdradzają wtedy żadnych uczuć, w ich oprogramowaniu nie przewidziano miejsca na emocje.

Niesamowite, że konstrukcja z silikonu i obwodów drukowanych potrafi się jawić tak przekonująco.

Robo *sapiens* zerka w stronę stanowiska funkcjonariuszy Ulepszenia i łapie mój wzrok. Mimo woli czerwienię się, odnoszę wrażenie, że czyta mi w myślach. Z pewnością ma takie kompetencje.

To wielki dzień dla nauki. Ostatnie sto lat było piekłem. Katastrofiści i obrońcy środowiska naturalnego stale nam tłumaczyli, że praktycznie jesteśmy już martwi, a tymczasem hokus-pokus, nie dość, że znajdujemy nową planetę, to jeszcze na tej planecie są idealne warunki do nowego życia. Tym razem będziemy bardziej ostrożni. Tym razem będziemy się uczyli na własnych błędach. Nowa planeta stanie się domem najbardziej zaawansowanej cywilizacji wszechświata. Zapanuje na niej demokracja - bo niezależnie od tego, co mówimy oficjalnie, nie pozwolimy, by Kalifat Wschodni zbliżył się na mega-, giga-

teramiłę do tego miejsca. Wystrzelamy ich, zanim zdążą wylądować. Nie, nie będziemy do nich strzelać, bo prezydent Mocarstwa Centralnego właśnie ogłosił nowy, ogólnoswiatowy program „Zero Wojen”. Nie będziemy strzelać do ludzi z Kalifatu Wschodniego, po prostu łaskawie ich przepędzimy.

Prywatnie myśli się tak: zostawimy w prezencie tę zrujnowaną, przegniłą planetę Kalifatowi i Sojuszowi Sino-Moskalskiemu; będą mogli do woli obrzucać się wzajem bombami, gdy tymczasem miłujący pokój mieszkańcy Mocarstwa Centralnego wyeksportują cywilizację do nowego świata.

Nowy świat: Eldorado, Atlantyda, Złote Wybrzeże, Nowa Fundlandia, Skala Plymouth, Rapa Nui, Utopia, Błękitna Planeta. Razu pewnego tak się zdarzyło, objawiła nam się jakby w ciemnym zwierciadle, z pijackich opowieści umocowanych do beczulki rumu, na wraku statku, z Biblią zamiast kompasu, zawiodła nas tam przeogromna ryba, wir sztormu pognął nas ku tej wyspie. I tak oto w niezbadanych ostępach przestrzeni znaleźliśmy...

Nazywam się Billie Crusoe. A oto nadchodzi mój szef, Manfred. Manfred to taki człowiekwinda: urodził się po to, by wspinać się coraz wyżej i wyżej.

- Billie, przełożyłaś już swoje na pliki?
- Tak, wszystko tam jest: szkice, wykresy, pokazałam też krok po kroku, jak Błękitna Planeta odmieni nasze życie.
- Ta prezentacja musi wywoływać pozytywne odczucia.
- A mogłaby wywoływać inne? Za taką szansę każdy dałby się zabić, a ty twierdzisz, że mogą być kłopoty z jej prezentacją?

- Nie używaj takich słów jak „zabić”.
- Orbus umiera, bo postanowiliśmy go zabić.
- Orbus nie umiera. Orbus ewoluuje w sposób, który jest wrogi dla ludzkiego życia.

- Niech ci będzie, to wszystko wina planety. My nic nie zrobiliśmy, nieprawdaż? My tylko dymaliśmy ją tak długo, aż padła, a potem jeszcze daliśmy jej kopa w dupę, bo już nie chciała się podnieść.

- Rozumiem, co czujesz, i dlatego nie powiem, że twoja analiza jest całkowicie błędna, a jednak nie wolno przedstawiać sytuacji w takim świetle. Prezydent przysłał dziś rano poufną notatkę z instrukcjami do Służb Ulepszania i Służb Medialnych: mają nad tym wspólnie popracować. Nie życzymy sobie głupich pytań i innych tego typu trudności. Nerwowość z naszej strony to ostatnia rzecz, jakiej potrzebuje Mocarstwo Centralne. Już i tak spodziewamy się zgrzytów w kontaktach z Kalifatem i Sojuszem.

- Bo w swoich planach nie przewidujecie darmowych biletów dla dewotów i członków kolektywu?

- Czy oni zrobili kiedyś coś dla nas? Mocarstwo Centralne stara się żyć odpowiedzialnie na przeludnionej planecie, a tymczasem tamto towarzystwo wciąż przepatruje niebo w poszukiwaniu Boga i doi ziemię z ostatnich kropel ropy. Mogą sobie iść do wszystkich diabłów.

Manfred zerknął wyniośle na mój notatnik i na jego czole pojawił się seksowny mars podstarzałego lowelasa objawiającego filozoficzne ciągoty.

- Billie, pasowałabyś tu lepiej, gdybyś nie była taka ekscentryczna. Po co ci ten notatnik? Nikt już ani nie czyta, ani nie pisze: nie ma po co. Dlaczego nie używasz edytora mowy jak wszyscy?

- Notatnik. Ołówek. Mają w sobie staroświecki czar.

- A ja lubię terażniejszość, dokładnie taką, jaka jest. Nadal mieszkasz na tym swoim bio-coś tam?

- Pytasz o farmę? Owszem, mieszkam tam. A gdybym jeszcze mogła na niej zarabiać, to w ogóle bym dla was nie pracowała. Ale niestety, świat, który klonuje mięso w laboratoriach i konstruuje podziemne pola uprawne, upowszechnia przekonanie, że naturalna żywność jest brudna i chora.

- Bo to prawda.

- Jasne. A świnię potrafią latać. Dlatego Muzeum Życia wzięło farmę w leasing, a ja stałam się waszą niewolnicą.

- Niewielu naukowców zgłasza się do pracy w Ulepszaniu... To raczej nie jest krok na drodze do kariery.

Naszło mnie przeczucie, że tu chodzi o coś jeszcze - była to jedna z tych lodowatych konwersacji, które zdają się szusować na łyżwach po zamrożonym jeziorze z trupem na dnie.

- Coś nie tak w związku z moją pracą?

Manfred wzruszył ramionami.

- Jak już powiedziałem, dziwię się, że ktoś taki przebojowy ze Służb Nauki zatrudnia się w Ulepszaniu.

- Ty sam pracujesz dla Ulepszenia.

Wyraźnie tracił cierpliwość.

- Billie, za dwa lata to ja będę stał na czele całego tego cyrku. Mam grafik. Mam plan awansu. Moim celem jest najwyższe piętro. - (No masz, ten znowu swoje.) - Ty za to nie masz żadnych aspiracji. Mogłaś w pół roku awansować do zarządu, a tymczasem wciąż tkwisz na parterze, wciąż wolisz łązić po cudzych domach.

- Już taka jestem, skrzyżowanie pielęgniarstwa środowiskowej z agentem ubezpieczeniowym.

- Kto to jest pielęgniarka środowiskowa?
- Nieważne. Historia to moje hobby. Które nie jest nielegalne, podobnie jak farma, a także tęsknota za prostym życiem. A za to zero grafiku, zero planu awansu. Dotarło?
- Dotarło, dotarło. - Z uniesionymi rękoma odwrócił się w stronę wyjścia. - Jeszcze jedno, musisz przestawić swoje solo. Ludzie z Umocnienia właśnie wlepili ci mandat.
- Przecież mam zezwolenie!
- To je im pokaż.
- Manfred, to tak trwa od roku. Ja się im tłumaczę, oni zaczynają od nowa. Nie jestem paranoiczką, ale jeśli ktoś od nich chce mnie udupić, to wołałabym o tym wiedzieć.
- Nikt cię nie chce udupić. Ale przestaw solo. Ja bym tak zrobił na twoim miejscu.

Zamaszystymi ruchami wyprowadził swoje piękne ciało i piękną głowę na zewnątrz, ku sprawom wyższej wagi.

Manfred jest jednym z tych typowych, zadufanych w sobie facetów, którzy poddali się genetycznemu usprawnianiu: ma teraz niecałe pięćdziesiąt lat. Większość mężczyzn woli się usprawniać na jeszcze trochę młodszych, ale wśród kobiet nie znajdzie się ani jednej, którą by usprawniono na powyżej trzydziestki. „Dynastia DNA”, tak nas nazwano, kiedy pierwsze pokolenie ludzi poddało się skutecznemu rekodowaniu. Starość to zakłócenia w przekazie informacji. Ciało traci sprawność. Bazy dowodzenia nie łączą się już z bazami satelitarnymi. Rwie się łączność. Ciało jest tak zaprojektowane, żeby mogło dokonywać samoreparacji i samoodnawiania, a większość komórek liczy sobie mniej więcej jedną trzecią lat, które przeżyliśmy od urodzenia, ale z kolei DNA mitochondrialne liczy sobie tyle lat co my i zawsze gromadzi mutacje i zaburzenia przekazu genetycznego prędzej niż DNA jądra komórkowego. Od wieków nie byliśmy zdolni nic z tym zrobić - teraz jesteśmy.

Nauka nie może jednak naprawić wszystkiego - o ile kobiety uważają, że muszą wyglądać bardzo młodo, o tyle mężczyźni już nie czują takiego przymusu, dlatego programy stylu życia podkreślają dobitnie, jak czarujący jest mężczyzna w starszym wieku. I dlatego mężczyzna w starszym wieku to powszechny przedmiot pożądania - młode dziewczyny i homoseksualne żigolaki wprost uwielbiają takiego Manfreda. Jego chłopak zaprojektował robota, który wygląda tak jak on. Ja sama nie byłabym w stanie ich odróżnić.

Zeszłam na dół, lawirując między skrzepłymi formacjami strażników i strażaków; oficjalnie to oczywiście funkcjonariusze Służb Umocnienia i Służb Ulepszania, ale ja tak ich prywatnie nazywam, bo skrót SS brzmi o wiele ciekawiej niż UU. Często z sobą współpracujemy, ponieważ na zasadzie dobrego glina-zły glina. Moja praca - znaczy się nasza praca - w Ulepszaniu polega na tłumaczeniu ludziom, że naprawdę chcą żyć w sposób, który jest dobry dla nich i dla społeczeństwa. Umocnienie wkracza wtedy, kiedy to nie do końca działa.

Znam wszystkich tych facetów z Umocnienia. Macham do nich ręką i się uśmiecham. Oni kiwają głowami i pozwalają mi przejść.

Na dworze stoi sznur solo i sznur limo.

S jak solo, czyli jednoosobowy pojazd zasilany ogniwami słonecznymi. L jak limo, czyli wieloosobowa hybryda zasilana wodorem. S służy do pokonywania krótkich dystansów. L - długich. Rozpoznawania jednoliterowych skrótów uczą w szkołach.

Przed jednym z tych pojazdów, i tylko przed tym jednym, stoi blaszany gliniarz, który wstukuje jakieś liczby do kodera wmontowanego w rękę. Blaszani gliniarze zjawiają się wszędzie tam, gdzie sytuacja wymaga zaostrzenia procedur bezpieczeństwa; to zwyczajne roboty, puszkę po zupie, które mają prawo cię aresztować.

Przednią szybę jednego z długiego sznura pojazdów - tylko jednego: mojego - pokrywa plama jaskrawożółtego laserowego światła. Ta plama to mój mandat. Jeśli nie wduszę żółtego guzika na parkometrze tuż obok, nie będę mogła odjechać, bo nie będę nic widziała przez szybę. System jest wyjątkowo sprytny - najpierw musisz przyznać się do winy, a dopiero wtedy możesz odjechać i dowodzić swojej niewinności.

P jak parkometr. Podjeżdżasz do krawężnika, wysiadasz, rozglądasz się, a wtedy lśniący parkometr na ogniwa słoneczne mówi ci lśniącym głosem parkometru na ogniwa słoneczne: *Witaj! Możesz tu zaparkować na trzydzieści minut. Obciążę bezpośrednio twoje konto. Witaj w naszej dzielnicy.*

Następnie parkometr fotografuje twoją tablicę rejestracyjną, łączy się z twoim subkontem parkingowym, na które musisz stale wpłacać należności, i wysyła cyfrowy rachunek na twój ekran domowy albo biurowy, w zależności od tego, który z nich wybierzesz. I to już wszystko, chyba że spóźnisz się z uiszczeniem opłat, w którym to przypadku parkometr zlaseruje twoją przednią szybę: w życiu nie odjedziesz, jeśli nie zapłacisz.

Ja też nie mogę odjechać - obciążyli mnie mandatem, mimo że na przedniej masce mam zamocowane piękne, okazałe zezwolenie, z datą i godziną przyjazdu, opatrzone imponującym symbolem Mocarstwa Centralnego.

Obciążyli mnie mandatem - po raz kolejny. Gdybym była typem paranoiczki, a jestem właśnie takim typem, to chyba zaczęłabym wierzyć, że... Że co?

Macham rękami w stronę blaszanego gliniarza, pokazuję palcem zezwolenie. A on kwituje mnie wzruszeniem blaszanych ramion. Faceci z Umacniania śmieją się - to prawda, tego typu cyrki, z pewnością bardzo umacniające na duchu, są na porządku dziennym i to jest męczące, ale nie żeby jakiś problem... Sęk w tym, że w moim przypadku to już się przeradza w mega-problem.

Wydaję swoje omni - telefon, który może wszystko - i omni automatycznie łączy mnie z numerem pomocy Urzędu ds. Parckingów. Na wyświetlaczu rozbłyskuje współczująca twarz okolona blond-pikselami. „W ZWIĄZKU Z...” Rozłączam się, nawet nie pozwałam jej skończyć zdania.

Moje ukochane „W związku z”. Za każdym razem, gdy dzwoniśz gdzieś ze skargą, słyszysz takie coś od współczującej osoby - czy raczej współczującego robota, bo roboty są tak zaprogramowane, że mają w sobie więcej współczucia niż ludzie. W każdym razie rzeczony współczujący robot mówi ci: „W związku z” i wiesz, że w związku z ogromną liczbą telefonów, że w związku z wysokim popytem, że w związku z niedoborami w kadrach, w związku z trudnościami, z awarią systemu, z niespodzianymi burzami, z okupacją urzędów przez małe zielone ludziki, jednym słowem, „w związku z” nikt nie będzie z tobą rozmawiał, a przynajmniej nie w tym życiu.

Kurwa mać kurwa mać kurwa mać... K jak kurwa mać.

I w samym środku tego stechnologizowanego, zestresowanego, zabałaganionego życia F jak farma. Moja farma. Dwadzieścia hektarów pastwisk i pól uprawnych, przez środek biegnie strumień jak pamięć. Wejdiesz do tej wody i zaraz wszystko sobie przypomnisz. Albo w razie czego wymyślisz.

Moja farma to ostatnie takie przedsięwzięcie w tej branży.

Jest jak sędziwy antenat, o którym wszyscy zapomnieli. To świat zamknięty w bioenkławie, sekretny i szczelny: wiadomość w butelce z innego czasu.

Gleba tutaj jest gliniasta, dlatego tam, gdzie pasą się stadnie krowy, powstają dziury. Dziury wypełniają się wodą, woda zachodzi warstwą lodu, ptaki rozbijają ten lód, gdy chcą się napić. Pola okalają pasy lasu gęstego od gałęzi gęstych od ptaków. Wieczorami niebo nad drzewami ciemniejsze od ptasich skrzydeł.

Byle jak sklecone płoty, nierówny teren, kępki traw, drobniotkie niebieskie fiołki tam, gdzie chadzą krowy, maki, od których poradlona ziemia staje się czerwonym morzem, rozstępującym się przed zającami. Przestrzeń, którą musi pokonać oko, by uchwycić coś, co się rusza i nurkuje, życie, które wypełnia każdy skrawek pozostawionych ugiem chaszczy i jaszczy. Nory, tunele, dziuple, wykroty, gniazda, jamy po szczurach wodnych, patyki po bobrach, głazy po ropuchach, kamienne mury podziurawione przez myszy, tunele borsuków, kopce kretów, lisie jamy, królicze labirynty, latem rdza gronostajów, zimą biel łasic, wszystko wyraziste jak trajektorie kul lecących przez bank. W trzcinach płochliwe pstrągi. Karpie drzemiące na dnie rzeki. Ważki jak objawienia. Zimorodek na skrzydłach z błękitnego światła. Zielonogłowa kaczka i biały łabędź wpadają pod spienioną na białą kaskadą zielonej wody na samo dno rozpadliny, gdzie żaby cierpliwie czekają, by wreszcie trafić do baśni.

Tutaj nie ma żadnej magicznej różdżki. Jeśli w ciągu najbliższych pięciu minut nie przestawię swojego solo, kolor żółty

zrobi się pomarańczowy, który dla odmiany zrobi się czerwony, ale nie tak, jak to się robi ze słońcem na znak, że kończy się dzień, tylko na znak, że grozi mi jeszcze wyższa grzywna. Naciśnij ten guzik, Billie. Naciśnij ten główniany guzik. G jak guzik, G jak główniany.

DZIĘKUJE! mówi parkometr. *Teraz możesz odjechać.*

Na nowej, błękitnej planecie nie będzie parkometrów. Już samo to sprawia, że wizyta tam będzie warta wyprawy.

Mam dziś umówione spotkanie z kobietą, która chce zostać zawrócona genetycznie do wieku dwunastu lat, by w ten sposób powstrzymać swego męża od uganiania się za uczennicami z podstawówki. To możliwe, ale nielegalne. Kobieta chce iść ze swoją sprawą do Trybunału Praw Człowieka. Już się widziała z psychiatrą oraz konsultantem specjalizującym się w genetyce. Teraz musi porozmawiać ze mną, jak kobieta z kobietą, bo Ulepszanie jest po to właśnie, by cię wysłuchać, kiedy masz problemy.

Wstukuję współrzędne celu mojej wyprawy i solo zbacza na pas biznesowy. Jest godzina szczytu, dlatego za przejazd autostradą płacę systematycznie, za każdą milę. Na pasie rekreacyjnym nikt nie płaci, ale też nikt się nie posuwa do przodu.

Na fasadach inteligentnych budynków zaczynają błyskać pierwsze zdjęcia Błękitnej Planety. Wygląda to tak, jakbyśmy wszyscy jechali prosto na nią. Oto ona, nieskazitelna, gwiazdzista, zbliżenia pokazują bezkres pustego piękna. Wszyscy użytkownicy autostrady wlepiają w nią oczy, ale nie ma się o co bać: odrzut magnetyczny nie pozwoli, by ktoś na kogoś najechał. Stoimy w gigantycznym korku, ale w końcu gdzieś kiedyś dotrzemy. O tak, dotrzemy gdzieś kiedyś, gdzie trzeba, choćby i

na planetę w kolorze błękitu albo do srebrnych gwiazd.

Solo zaczyna buczeć. Sygnalizator głosowy każe mi skrócić w prawo, ekran na zakręcie drogi miga wizerunkiem dzwonu. To pewnie Belle Vue Drive. Etymologia była jedną z ofiar masowego analfabetyzmu aprobowanego przez państwo. Och, przepraszam: ruchu na rzecz bardziej zintegrowanego, przyjaznego dla użytkownika systemu codziennego przekazu informacji i komunikacji. (Głos i obrazy - tak, słowo pisane - nie.)

Pokonuję zakręt i wjeżdżam prosto w patrolbota.

Patrolboty: w prostej linii potomkowie nisko opłacanych funkcjonariuszy służb państwowych zwanych policjantami z drogowki. Każdy wiedział, że to nieludzkie typy, dlatego rozsądniej było ich konstruować, a nie zatrudniać, i to właśnie zaczęliśmy robić, kiedy opracowaliśmy taką technologię.

Patrolbot daje mi znak ręką, że mam podjechać, i wybrzdękuje swoje pytanie charakterystycznym, syntetycznym głosem, który przypomina buczenie os w koszu na śmieci. Patrolboty nie muszą mieć takich głosów, a jednak takie właśnie mają: Dlaczego zwolniłam na tłocznym zjeździe z głównej trasy?

Tłumaczę mu, że tylko wypatrywałam znaku drogowego. Patrolbot mamrocze coś do radia, które jest przedłużeniem jego podbródka, a do mnie dociera zniecka, że komando skrztów za pomocą lusterek robi przegląd mojego podwozia.

Skrzaty: irytujące mikroboty, które kłębią się w rurach ściekowych i naprawiają ogrzewanie podłogowe. Prawie każdy kierowca trzyma kilka takich w samochodzie, na wypadek gdyby chciał podnieść coś z podłogi albo zapragnął masażu stóp.

Skrzaty nie mają osobowości, to takie jakby pudełka na kółkach wyposażone w antenki, które się chowają na zakrętach. Wymyślono je dla zarobionych po uszy ludzi, którzy są Wiecznie w drodze - czyli dla nas wszystkich, bo pozostawanie w bezruchu jest strasznie przedpotopowe.

- W czym problem? - pytam patrolbota, ale oczywiście nie odpowiada, patrolboty władają mową w bardzo ograniczonym zakresie.

Nie wolno mi popadać w paranoję - nadzianie się na patrolbota to typowe zdarzenie na typowej drodze biegnącej po Technopolis, bo właśnie w Technopolis projektuje się i konstruuje wszystkie bez wyjątku roboty dla dwudziestu dwóch geomiast Mocarstwa Centralnego. Podejrzewam, że naturalnie, a może nienaturalnie, mamy ich tu całe watahy.

R jak robot.

Mamy złote ręczki od robót domowych oraz latające stopy do załatwiania różnych spraw i grania w piłkę nożną z dziećmi. Jest też mechanik - to ten wielki i włochaty, który świetnie włada kluczem nastawnym. I jeszcze szybka pomoc, dla tych, którym chwilowo brakuje partnera bądź partnerki.

Mamy robołapy, idealnego zwierzaka - w zależności od tego, jaka jest twoja definicja ideału. Mamy tourboty, które możesz wynająć, jeśli odwiedzasz jakieś nieznanne miejsce i potrzebujesz kogoś, kto ci pokaże, co i jak. Mamy całe chmary pucybotów, które nie posiadają stóp, bo nieustannie coś czyszczą na kłęczkach. Mamy też patrolboty. Niestety.

Mój właśnie skończył się biedzić z samochodem i wstukał kod wykroczenia. Nie mam pojęcia, jakie popełniłam wykroczenie, za to wiem doskonale, że z patrolbotem nie ma dyskusji. Będę musiała to potem załatwić z komputerem.

Patrolbot odczłapuje w swojej za dużej nanoparce z inteligentnym kapturem. Kaptur to ta część od przetwarzania informacji - reszta bota to tylko ruchoma klucha z metalu, bo jak się tak zastanowić, tym naprawdę były roboty aż do wielkiego przełomu.

Którym był Robo *sapiens*.

Który tak się ma do patrolbota jak my do neandertalczyka. Nie, pomyliłam się z tym ostatnim, bo my się przecież uwsteczniamy. Tak, to prawda - nie potrzebujemy mózgu, więc nasze mózgi się kurczą. Nie wszystkie mózgi, tylko mózgi większości ludzi - to nieuchronny element postępu.

Robo *sapiens* tymczasem ewoluuje.

Pierwsza sztuczna istota, która wygląda jak człowiek, zachowuje się jak człowiek i tak jak człowiek jest zdolna do ewolucji - oczywiście w pewnym ograniczonym zakresie.

Nie jest ich wiele, a ich produkcja wiąże się z niebotycznymi kosztami. Jeśli więc pragniesz posiadać jakiś ostateczny symbol swojego bogactwa, to spraw sobie Robo *sapiens*. Prezydent Mocarstwa Centralnego ma takie dwa, jeden pełni funkcję osobistej asystentki, drugi goryla. Zapamiętują wszystko - twarze, informacje, liczby, rozmowy - i potrafią wiązać jedno z drugim. To są roboty, które stawiają kropkę nad i. Zapytaj o radę, a one ci jej udzielą: bezstronnej rady opartej na wszystkim, co można wiedzieć na temat danej sytuacji.

Zapytaj takiego, co robiłeś o tej samej porze dnia dwa lata wcześniej, a on ci powie. Spytaj, co jadłeś na pierwszym g-party swojej żony, a wyrecytuje z pamięci całe menu. Niestety, nie mają serc.

Bez serca. Olśniewająco piękne. A jednak żaden dotychczas nie zrobił na mnie tak wstrząsającego wrażenia jak ta Robo *sapiens*,

którą zabrali na Błękitną Planetę. Została skonstruowana specjalnie do tego zadania, ale czy musiała być taka piękna?

Seks międzygatunkowy podlega karze śmierci.

Wygląd domu rodzi podejrzenie, że moja klientka wydaje właśnie g-party. W dawnych czasach ludzie urządzali urodziny - wyspekulowałam to na podstawie kwerendy w Archiwach Centralnych. Obecnie wolimy nie pamiętać o urodzinach, bo wyznaczają upływ lat, a dla nas lata nie upływają tak jak dawniej. G oznacza ten dzień i ten rok, kiedy cię usprawili genetycznie. Wspaniały dzień, zdecydowanie wart świętowania.

Ustawiam solo przy parkometrze. *Cześć!* mówi nienawistny, znajomy głos. Ignoruję go i wstukuję swój kod unieważniający, do czego mają prawo funkcjonariusze Ulepszania, kiedy przyjeżdżają gdzieś służbowo. *Zalutwione! Do zobaczenia!*

Dla zabawy wymierzam mu kopniaka. Oczywiście zero reakcji.

Dom - numer dwadzieścia dziewięć - został przystrojony różowymi balonikami. Jest ich taka mnogość, że budynek chyba byłby w stanie samodzielnie wzbić się w powietrze. Kilka tarasuje mi drogę niczym gigantyczne cycki, odtrącam je i chwytam za kołatkę.

Drzwi otwiera mi różowy pucybot; otrzepuje moje (czarne) tenisówki różową szczotką.

Cały czas robiąc uniki przed kolejnymi różowymi balonikami, dają się zaprowadzić do różowego salonu. Teoretycznie to jest salon, bo wchodzi się do niego z hallu na parterze, ale w rzeczywistości jest to kopia sypialni nastolatki, pełna hologramowych

celebrytów zastępujących porcelanowe figurki, którymi ludzie ozdabiali wnętrza w dawnych czasach. Problem z hologramowym szaleństwem jest taki, że stale gdzieś się nadziewasz na karłowate repliki gwiazd kina i idoli popu. Oczywiście można przez nie przechodzić, ale ja od tego dostaję dreszczy. Pokój mojej klientki przypomina wręcz czyjąś izbę pamięci. Z trudem przedzieram się między goliatami przemysłu filmowego o wzroście trzech stóp. Pucybot jest dostatecznie duży, by móc je w całości odkurzyć. Wyjmuje różową ściereczkę i zabiera się dziarsko do roboty.

- Uwielbiam sławnych ludzi - mówi moja klientka, pani Mary McMurphy - ale trzeba ich ciągle odkurzać, bo nawet hologramy przyciągają kurz. Mało kto wie, że tak można złapać alergię: właśnie od tego kurzu, który więźnie w hologramach i w ogóle.

Celebryci żyją pod presją, nie ma tu cienia wątpliwości. Obecnie wszyscy jesteśmy młodzi i piękni, więc co mają robić, żeby wciąż prowadzić w tym wyścigu? Większość decyduje się na makrochirurgię. Fundują sobie cycki rozdęte do rozmiarów piłek plażowych albo fiuty, które podnoszą się i opuszczają jak parasole ogrodowe. Chirurdzy rozciągają ich, żeby przydać im wzrostu, a od sterydów dostają takich mięśni, że przeobrażają się w gwiazdnych bogów. Można tu jeszcze wymienić bioulepszenie niektórych części ciała oraz operacje na włosach, które potem potrafią robić różne sprytne numery, na przykład zmieniają kolor, żeby się dopasować do stroju. Nasi celebryci to ucieleśnienie wszystkiego, co da się uzyskać za pomocą nauki i pieniędzy.

- Chcę wyglądać jak ona - mówi pani McMurphy.
- To znaczy jak kto?
- Jak Mała Señorita.

Mała Señorita to dwunastoletnia gwiazdka popu, która

poddała się usprawnianiu, żeby nie przestać być sławną. Jest sławna z tego powodu, że nie jest dorosła, dlatego uznała, że w dorosłości nie ma żadnego sensu. To zrozumiałe, że chce żyć chwilą jak najdłużej, bo przecież nie dysponuje żadnym talentem.

Rodzice ją wspierają. Jej chłopak twierdzi, że jest zachwycony.

- Mojemu mężowi odbiło na punkcie Małej Señority. Dlatego chcę być taka sama jak ona.

- Jest pani pewna, że chce być taka jak ona już do końca życia?

- Zawsze będę mogła się zmienić, jeśli to nic nie da.

I tak, i nie. Genetyczne zawracanie wywołuje dziwne efekty. Ostatnim razem, kiedy przeprowadzono operację zawracania, proces nie chciał się zatrzymać i dziewczyna robiła się coraz młodsza, aż wreszcie stała się sześciomiesięcznym niemowlakiem o wzroście metr osiemdziesiąt.

Usprawnianie to prościzna. Usuwanie efektów usprawniania, by dana osoba mogła się zestarzeć naturalnie, też jest stosunkowo proste, aczkolwiek robi się to jedynie w ramach badań naukowych. Tłumaczę to pani McMurphy, ale bez skutku.

- Mój mąż lubi małe dziewczynki.

- Seks jest legalny od czternastego roku życia – odpowiadam.

- Ale wszyscy go uprawiają w młodszym wieku. To pani nie wie?

- Mąż uprawia seks z nieletnimi w domu?

- No gdzie tam, zawsze wtedy wychodzi. Ale ja nie chcę go stracić.

- Dlaczego nie?

Wyraźnie zbита z tropu tym pytaniem, poprawia się nerwowo

wśród poduszek barwy rachatlukum, zadziera nieco wyżej swój szkolny mundurek, swój szkolny, różowy mundurek. Jeszcze trochę wyżej i przeobraziłby się w apaszkę albo w przepaskę do włosów a la Alicja z Krainy Czarów.

- Wierzy pani, że będzie się powstrzymywał od uprawiania seksu z małymi dziewczynkami, jeśli pani stanie się taka jak one?

- Nie, nie o to mi idzie. Niech on sobie robi, co chce, byle nie w domu i w ogóle - mówi pani McMurphy takim tonem, jakby jej mąż był golden retrieverem - byleby co jakiś czas wracał do domu i robił to ze mną. - Ten mąż to naprawdę golden retriever. - No bo my przestaliśmy już uprawiać seks. Mąż twierdzi, że jestem za stara.

W salonie pojawia się para złotych rączek, zaprojektowanych w formie różowych, gumowych rękawic; przynoszą dwie wysokie szklanki z jakimś spienionym płynem.

- Przysięgam na nitrożeńszeń - mówi moja klientka.

W czasie, gdy pani McMurphy bierze swojego drinka i pije go łączywie, korzystam z okazji i przyglądam jej się dokładnie.

Domyślam się, że została usprawioną na dwadzieścia cztery lata. Teraz, kiedy wszystkie kobiety są młode i piękne, sporo mężczyzn ugania się za dziewczynkami. Dookoła mają to samo, więc chcą czegoś innego.

- Muszę również porozmawiać z pani mężem.

- Jego tu nie ma.

- A powinien być. To spotkanie z urzędu. Gdzie on jest?

- W Peccadillo.

Ma w sobie dość przyzwoitości, żeby się zaczerwienić - chociaż nie, czerwieni się raczej dlatego, że to pasuje do jej stroju, do poduszek i do tapety. Wszystko razem to jedna infantylna, przemyślana, prenastoletnia blaga. Nie ma sensu tego

przedłużać. Zbieram swoje rzeczy i wstaję, żeby wyjść. Krążące w powietrzu złote rączki splatają się palcami i lądują, bezgłośnie na szczycie doniczkowego kwiatu. Pucybot pomyka w stronę drzwi.

- Czy pani też ekscytuje się Błękitną Planetą? – pytam panią McMurphy, żeby jakoś zakończyć tę rozmowę.

Robi niezrozumiałą minę i się uśmiecha.

- No pewnie, to superpomysł i w ogóle. Postanowiłam wziąć udział w konkursie na najlepszego celebrytę, żeby wygrać wycieczkę. Te plaże wyglądają bosko.

Przednia szyba mojego solo błyska na żółto. Co? To jakieś szaleństwo. Wszystkie te durne parkometry oszalały? Nawet nie zadaję sobie trudu i nie wydzwaniam na linię W ZWIĄZKU Z, mam dość widoku blond-pikseli. Dzwonię za to do Manfreda. Rozmawia ze mną nerwowym głosem.

- Dasz radę sporządzić raport? Masz już wszystko?

- Muszę jeszcze odszukać jej męża. Jest w Peccadillo.

- Nie możesz tam jechać w godzinach pracy.

- Bez rozmowy z mężem nici z raportu.

- Musimy to zamknąć, Billie. Ci z Mediów chcą z nią zrobić wywiad i będą potrzebowali twoich notatek, zanim historia się upubliczni. Jako przykład walki o prawa człowieka stanie się następnym gorącym tematem po Błękitnej Planecie.

- Chcesz powiedzieć, że kiedy już się śmiertelnie znudzimy wiadomościami o nowym świecie, o świecie, o którym marzyliśmy od tysięcy lat, to wrócimy do historyjek o seksie?

- Czemu ty wiecznie jesteś taka uprzedzona?

- Przepraszam, masz rację, tu, na planecie lolitek, będzie zawsze cudownie. Po co jeszcze gdzieś jeździć?

- Nie płacą ci za prawienie morałów.
- No więc jadę do Peccadillo czy nie?
- Jedziesz.
- I załatwisz sprawę moich mandatów?
- Załatwię.

Oboje się rozłączamy, przy czym każde stara się być tym, które rozłączy się pierwsze. Najwyższy czas poszukać nowej pracy. Już pucowanie pucybotów byłoby lepsze niż to. Nawet zatrudnienie się w charakterze patrolbota byłoby lepsze niż to.

Parking przy Peccadillo jest prywatny, więc jadę pod ziemię, zostawiam kluczyki u pracowników ochrony i wjeżdżam windą na piętro dla członków klubu. Do środka wprowadza mnie garbus, który gnie się w ukłonach.

Bar obsługuje dwóch przezroczyścych.

Przezroczyści to ludzie, których można przejrzeć na wylot. Podczas seksu z nimi możesz wszystko oglądać. Takie porno dla introwertyków.

Peccadillo to bar dla zбочeńców, a zбочeńcami jesteśmy teraz wszyscy. Mówię tak, bo moim zdaniem przez to, że daliśmy się przerobić na jednakowo młodych i pięknych, staliśmy się też śmiertelnie znudzeni seksem. Mężczyźni mają osprzęt jak wieloryby, a kobiety są od dołu ciasne jak mięczaki, a od góry rozdęte jak boje ratunkowe. Do tego kanciaste szczęki, opalenizna, wymodelowane mięśnie i nikt się nie podnieca. To kryzys na skalę światową. Albo, żeby już nie przesadzać, kryzys, który ośwładnął miastami Mocarstwa Centralnego. Kalifat Wschodni wprowadził zakaz genetycznego usprawniania, a Sojusz Sino-Moskalski nie udostępnia tego dobra wszystkim obywatelom, ale jedynie członkom partii rządzącej i ich

ulubieńcom. Dzięki temu tamtejsi liderzy wyglądają jak gwiazdni bogowie, a reszta jak kopacze gówna. Nigdy nie twierdzili, że są za demokracją.

Za to Mocarstwo Centralne opiera się na demokracji. Wszyscy wyglądamy tak samo, to znaczy wszyscy oprócz ludzi bogatych i sławnych, którzy wyglądają lepiej. Tego właśnie człowiek spodziewa się po demokracji.

A jeśli idzie o seksowny seks, to obecnie uprawiają go wyłącznie wariaci i dzieci. Jak ktoś chce pracować w branży seksualnej, to idzie do chirurgów plastycznych, którzy zmieniają mu sylwetkę i rozmiary. Znowu na topie są olbrzymki. Niezłą kasę zarabia się też na groteskowym wyglądzie. Dzieci poniżej lat dziesięciu są uważane za specjal.

Dzisiaj w Peccadillo serwują specjal cielecy, więc nie dziwi mnie widok blondyna, który ma w sobie coś z golden retrievera i właśnie zmierza do jacuzzi z dziesięcioletnim chłopcem na barana i dziesięcioletnią dziewczynką pod pachą. To dzieci z Kalifatu, chętnie je tam kupujemy. Nie robilibyśmy tego z dziećmi z Mocarstwa Centralnego, ponieważ (a) to zabronione prawem i ponieważ (b) jesteśmy cywilizowani.

Kiedy idę spiesznie przez wnętrza, drogę zastępuje mi ogromna, jednonoga kobieta, która podskakuje na kulach wysadzanych brylantami. Moja głowa sięga do jej wstrząsających piersi - wstrząsających również dlatego, że tam, gdzie normalnie spodziewałabym się zobaczyć sutek, widzę usta. Jej piersi się uśmiechają i ona też.

- Spragniona towarzystwa i zabawy?
- Nie, dziękuję. Wpadłam tylko do jacuzzi.
- Weź nie marnuj tam czasu. To dobre dla dzieci. Przyjdź do Pokoju Uciech. Potrafię obsłużyć czterech mężczyzn naraz, od przodu, od tyłu, tym i tym.

Klepie się po swych usługnych piersio-ustach. Czy raczej to usto-piersi?

- Jestem dziewczyną.

- Niby tak, ale przecież mogłabyś sobie popatrzeć, a kiedy chłopcy zostaną już obsłużeni, ucieszymy się we dwie. No bo ty nie jesteś heteryczką, dobrze mówię?

- Niezupełnie.

- No więc chodź ze mną.

- Posłuchaj, muszę dopaść pewnego faceta, który z wyglądu przypomina golden retrievera.

- On tu pracuje? Nie pamiętam żadnego mężczyzny-psa. Mamy tu kobietę-psa, daje się poszczuć.

- On tu nie pracuje. Jest po prostu podobny do golden retrievera.

- Cudnie. No cóż, kiedy on zrobi już to, co musi zrobić pies, wiesz, gdzie mnie szukać. Po prostu nasłuchuj tego stuk, stuk, stuk.

Stawia kule na podłodze i oddala się zamaszystymi ruchami. Brak jednej nogi ułatwia dostęp.

Jestem pruderyjna? Jestem moralistką? Uciechy życia mnie omijają, a ja się na to godzę? Dlaczego wolalabym iść na spacer po lesie i nie mówić nic, tylko czekać, aż ty obrócisz się w moją stronę, a wtedy będę mogła ująć twoją twarz w obie dłonie i przyłożyć usta do twoich warg?

Nawet nie wiem, kim jesteś.

Za moimi plecami rozlega się czyjś głos.

- A ty kto? Czego tu?

Brzemienne pytania. Głupieję na chwilę. I zaraz się opamiętuję.

- Chcę rozmawiać z panem McMurphyem.

- Nie da się. Jest zajęty.

Wyjaśniam swoją sytuację. Szef, wykidajło, czy kimkolwiek jest ten facet, kiwa głową i mówi, że przekaże wiadomość.

- No to proszę tam wejść i zapytać go, dlaczego się domaga, by jego żona wyglądała jak Mała Señorita.

- Jesteś jakaś głupkowata czy co? Wszyscy chcemy, żeby nasze żony wyglądały jak Mała Señorita.

- A to czemu?

- To jedyny gorący towar, wszystkie inne z tej wiochy są oziębłe.

- Masz żonę?

- Jeszcze nie. Sprowadzam ją sobie ze Kalifatu Wschodniego, legalnie, możesz mi wierzyć albo nie; ma dziewięć lat, więc każę ją usprawnić.

- Nie wolno usprawniać dzieci. Tak stanowi prawo.

- Mała Señorita...

- Toczy batalię sądową, którą przegra.

- Nie wiesz tego.

- To ty nie wiesz, czy ona wygra.

- Nie? Jest mnóstwo facetów, którzy chcą, żeby wygrała, i wiesz, co jeszcze? To jest jedna mafia. Sędziowie, politycy i sama sobie dośpiewaj, kto jeszcze.

Ani trochę nie mam ochoty śpiewać.

- Z nią jest dokładnie tak samo jak z każdą inną batalią o prawa obywatelskie i prawa do równego traktowania, okay? Przechodzili przez to czarni. I Semici. Małżeństwa mieszane, geje. Wszystko okazało się zgodne z prawem. Zero problemu. Jesteśmy po prostu ofiarami uprzedzeń i przestarzałego prawa.

- To się nazywa pedofilia.

- To tylko słowo, takie samo jak „homoseksualny”.

- Nie, to nie jest takie samo słowo jak „homoseksualny”, to takie samo słowo jak „kózajeb”.

- Co to jest „kózajeb”?

Próbuję jeszcze raz.

- Te dzieci są za małe.

- Ani trochę. One to uwielbiają. Posłuchaj...

Otwiera drzwi do wnętrza z jacuzzi swoim wysokim butem.

Słyszę, że tam w środku pluskają się rozbawione dzieci. Przepycham się obok niego i patrzę. No jakże, wszystko tam jest mokre od dzieci, które biegają, nurkują, rzucają się do fontann i zjeżdżają ze zjeżdżalni, prosto w objęcia czterech facetów z erekcjami jak młoty pneumatyczne.

- Panie McMurphy! - krzyczę.

Odwraca się i obdarza mnie uśmiechem playboya. Przechodzi przez zalane wodą wnętrze, nie przestając się dotykać.

- Chodzi o pańską żonę...

- Tak, popieram ją całą duszą, niezależnie od tego, czego chce. Jej wybór. Wierzę, że kobiety powinny dokonywać własnych wyborów. Jestem cały za, czegokolwiek zechce.

Szef, wykidajło, czy kimkolwiek jest ten facet, bez zbędnych ceregieli wyprowadza mnie na zewnątrz, przy okazji lekko ścisnąc mój pośladek.

- Taka jest przyszłość, kotku.

- Wyobrażasz sobie czasem świat, w którym nie ma żadnych dorosłych kobiet? Tylko małe dziewczynki?

- Weź mnie nie wkrcąj. Ja tu pracuję.

W drodze powrotnej mijam znów przezroczystych; jeden robi akurat swoją imprezową sztuczkę z campari i wodą sodową.

Czerwona struga spływa do samego końca, widać to dokładnie. A więc taka czeka nas przyszłość: dziewczynki usprawniane na osiem, dziesięć, a już najlepiej dwanaście lat. A może będą woleli zamykać kobiece umysły w ciałach małych dziewczynek i w związku z tym wybiorą genetyczne zawracanie?

Przyszłość kobiet jest niejasna. Już nie hodujemy dzieci we własnych łonach, a jeśli jeszcze przestaniemy być chciane dla seksu... Z mężczyznami jest inaczej: oni zostaną, bo kobiety nie upodobały sobie małych chłopców. Kobiety mają inne podejście. Otoczone samymi ciachami, szukają „brzydala w środku”. Płatne zbiry i gangsterzy, gwałciciele i damscy bokserzy świętują swój comeback. Może nawet się uśmiechają jak ratownicy ze strzeżonych plaż, ale to stuprocentowe rekiny.

Taka jest przyszłość. P jak przyszłość.

Za oknem robi się ciemno, widzę laserową projekcję Błękitnej Planety. Ona nas potrzebuje tak jak łóżko pluskiew.

- Przepraszam - mówię do planety, która mnie nie słyszy.

I tak mi strasznie żal, że ona nie może pozełgować przez przestrzeń, rozwinąć swych białych obłoków na wiatry słoneczne, poszukać nowej orbity, orbity pozbawionej kierunku, gdzieś, gdzie my nie dalibyśmy rady dolecieć, gdzie nigdy byśmy jej nie znaleźli, gdzie morze, tak czyste jak czysty jest tylko początek, wymyłoby wszelkie ślady człowieka.

Dzwoni telefon - to Manfred. Sądząc po tonie głosu, jest podniecony.

- Po drodze do domu kup sobie jakąś nową sukienkę. Media chcą wywiadu na żywo z tą Robo *sapiens*, zanim ją zdemontują. Będziemy to kręcić, więc masz dobrze wyglądać.

- Ja już wyglądam dobrze, wszyscy wyglądamy dobrze.

- Daruj sobie ten bełkot, Billie. Załatw sobie kieckę.

I znowu się rozłącza.

To jest gorsze niż zły związek. A jednak to moja praca, dopóki jeszcze ją mam, dlatego więc posłusznie wychodzę z Peccadillo i wędruję pieszo do sklepu z szykownymi ciuchami, kilka przecznic dalej. Powinnam się cieszyć, że idę na zakupy w godzinach pracy, ale nic mnie dzisiaj nie cieszy. W rzeczy samej mam depresję, która jest raczej nielegalna. Chcę przez to powiedzieć, że w przypadku pierwszych oznak depresji ja, ty, każdy powinien iść do lekarza i skontaktować się z kimś z Ulepszenia, ale to akurat ja jestem kimś z Ulepszenia i mam depresję.

Zebrawszy się w sobie, uśmiechnięta i wyprostowana weszłam zdecydowanym krokiem do pachnącego, różowofioletowego, chłodnego, podobnego do stawu rybnego wnętrza, w którym serwują ci to niesamowite doświadczenie, jakim są inteligentne zakupy.

W momencie gdy moje niedopuszczalnie zakurzone stopy uruchomiły czujnik, na ścianie wyświetliła się uśmiechnięta twarz Taszy. Tazsa pojawia się we wszystkich najlepszych sklepach z damską odzieżą, bo dzięki niej sklonowane ubrania nabierają ekskluzywnego, a zarazem osobistego charakteru.

- Cześć Tazsa - mówię. - A112.

- Cześć, Billie, cieszę się, że cię widzę. Wyglądasz na trochę zakurzoną.

- I czuję się zakurzona. Wyszukasz coś dla mnie? Jaką sukienkę?

Mój numer powiedział Taszy wszystko: nazwisko, dokładne dane, rozmiar, wykaz poprzednio zakupionych towarów - całą moją historię zakupową od pieluszek.

- No to zaczynamy - powiedziała Tasia. - Przejdę się do garderoby, wyświetlę kilka rzeczy na ekranie i jeśli któreś ci się spodobają, przyślemy je natychmiast do przymiarki.

Po kilku sekundach w miejscu, gdzie przedtem była twarz Taszy, na ściennym ekranie wykwita kilka letnich sukienek i tyleż par sandałków.

- Uważam, że byłoby ci do twarzy w numerze jeden, trzy i sześć, z odpowiednio dobranym obuwiem - mówi skądś i jakby znikąd Tasia.

Ma oczywiście rację, bo komputery potrafią dopasowywać jedno do drugiego - w tym również ubrania do ludzi. Przy czym chcę tutaj zwrócić uwagę, że nie jest to trudne, jako że wszyscy jesteśmy do siebie mniej lub bardziej podobni i w związku z tym istnieją tylko dwa rozmiary, czyli model szczupły i model bardziej szczupły.

- Przyślę ci jedynkę i szóstkę w rozmiarze MS - mówi Tasia, nie dając mi czasu na stworzenie pozorów, że ta przygoda z inteligentnymi zakupami pochłonęła mnie bez reszty. Zresztą nieważne, ciuchy są niebrzydkie.

Przymierzam numer szósty; pasuje idealnie. Wyglądam fantastycznie, co jest zupełnie naturalne, bo zawsze i we wszystkim wyglądam fantastycznie.

- Wyglądasz fantastycznie - mówi Tasia, pomrukując jak ten komputerowy kot, który właśnie pojawił się obok niej. - Elegant też uważa, że prezentujesz się cudownie.

Wszyscy kochamy Eleganta, którego zadaniem jest mruścić na nas, kiedy nie potrafimy podjąć decyzji z pomocą tego, co

nam jeszcze zostało z mózgu. Jakiś guru od marketingu poła-
pał się już dawno temu, że w obecności zwierząt, nawet sztucz-
nych, ludzie są zadowoleni z siebie, mili i wyluzowani. Reagu-
jemy tak, jakby Taszy i Elegantowi naprawdę zależało, a zresztą
kim ja jestem, by twierdzić, że im nie zależy?

- Dawniej nosiłaś rozmiar MBS - wskazuje Tasza. - Chyba
się cieszysz, że ci przybyło na wadze?

- Owszem, jestem zadowolona - mówię.

- To ja też - cieszy się Tasza, idąc za własnym podszeptem,
bo rzeczywiście, jaka jest różnica między rozmiarem osiem a
rozmiarem dziesięć? Tylko taka: wciąż mamy przemysł diety-
tyczny.

Tasza, Elegant i ja uzgadniamy, że sukienka obciąży moje
konto; przy okazji dają dobrowolny datek na cel charytatywny
miesiąca, którym tym razem są małpy z puszczy.

- Nie mamy już żadnych puszczy - zauważam.

- Oczywiście - zgadza się z mną Tasza. - Dzięki tym dat-
kom powstaną pasy puszczy, w których potem zostaną umiesz-
czone małpy.

Nie mam pojęcia, dokąd powędrują te pieniądze, ale wszy-
scy lubią wspierać cele charytatywne: to dowodzi, że nam zale-
ży.

- Jest coś jeszcze, co mogłabym dzisiaj dla ciebie zrobić? -
pyta Tasza.

- Szminka do ust?

- Gratis. To ja dziękuję. Wrzucę ją do koszyka przy
drzwiach. Do widzenia, Billie. Do zobaczenia, oby jak najszyb-
ciej!

Tasza znika, a Elegant zabiera się do mycia. Kiedy dochodzę
do drzwi, do koszyka przy wyjściu wpada moja sukienka, już
zapakowana; na samym wierzchu leży torebka ze szminką w

środku. Jaka ta Tazsa jest życzliwa. Chyba jak przyjaciółka, zgaduję.

Idę w stronę parkingu, gdzie zostawiłam swoje solo.

Zgadnicie? Przednia szyba jest żółta. Błyskają na niej niczym jakiś obłąkany szerszeń czarne cyfry kodu. A że tam nie ma żadnego parkometru, muszę wstukać ten kod do swojego telefonu, żeby móc odjechać. Tak się właśnie dzieje, kiedy kamery przemysłowe przyłapią cię na robieniu czegoś nielegalnego. Tylko że ja nie robię tu nic zabronionego. To przecież prywatny parking.

Zaczynam odczuwać uzasadnioną paranoję. Rozglądam się w poszukiwaniu kamer, mimo że ich nie da się wypatrzeć. Jestem obserwowana, ale nie to jest dziwne. Takie jest życie. Wszyscy jesteśmy do tego przyzwyczajeni. Dziwne natomiast jest to uczucie, że ktoś lub coś mnie obserwuje. Że znajduję się pod nadzorem. Mimo że tu nikogo nie ma.

Sterczę tak przez chwilę, na środku podziemnego parkingu, ponurego i pustego. Mam trzydzieści lat. Jestem sama.

Wstukuję kod potwierdzenia i wyruszam w drogę powrotną do biura.

W radiu nie mówią o niczym innym, tylko o nowej, błękitnej planecie.

Marzysz przez całe życie o bezpiecznej przystani, o miejscu, gdzie można się położyć i przespać przy dźwiękach szmerzącej nieopodal wody. Wyruszasz w drogę, żeby znaleźć to miejsce, skupiwszy zawczasu stare mapy i wysłuchawszy opowieści podróżników, bo wierzysz, że skarb naprawdę gdzieś tam jest.

Oto ja, marzę o błękitnie, ale widzę czerwień. To początek czerwonej burzy, podobnej do nalotu roztoczy, mrówek, stworów, które gryzą i wywołują swędzenie. Nikt nie ma pojęcia, skąd się ten czerwony pył bierze, niemniej fakt jest taki, że zatyka on systemy filtrowania powietrza i że od czasu, kiedy się po raz pierwszy objawił przed dwoma laty, mamy obowiązek nosić przy sobie maski tlenowe. Ta burza może przejdzie bokiem, a może nie.

Zamykam wloty wentylatorów w solo i uwalniam skompresowane powietrze; z radia płynie komunikat o aresztowaniu dwudziestu pięciu bezimiennych. O czym oni tam gadają? „Złapani na terenie Centrum Lotów Kosmicznych podczas próby sabotażu następnej misji na Błękitną Planetę. Wszyscy sprawcy mają status Ex-Ob z odebraną tożsamością”.

T jak tożsamość. W zamierzonych czasach władze potrafiły niszczyć twoje papiery i zatrzymać ci paszport. Potem nauczyły się zamrażać twoje aktywa i kraść ci gotówkę. Obecnie nie posługujemy się gotówką, tylko kontami kredytowymi, do których mogą odmówić ci dostępu, ale naprawdę ostrym środkiem skierowanym przeciwko tobie jest odebranie tożsamości. Po prostu przestajesz istnieć. Nazywasz się teraz Ex-Ob, czyli były obywatel. Znikają wszelkie dowody na to, że kiedykolwiek istniałeś. Nie możesz podróżować, nie możesz niczego kupić, nigdzie się nie zarejestrujesz, nie będziesz mógł bronić swojej sprawy. Nie możesz posługiwać się tym czymś, co kiedyś było twoim nazwiskiem. Po wyjściu z więzienia, jeśli kiedykolwiek wyjdiesz, dostajesz dożywotni mikroidentyfikator, który poświadcza, że jesteś bezimienny. Bezimiennych napotyka się czasami, sprzątają ulice, ich identyfikatory błyskają co kwadrans, by mógł je namierzać i rejestrować system satelitarny, który obserwuje nas bardziej uważnie, niż to kiedykolwiek robił Bóg.

Dwudziestu pięciu bezimiennych. Oficjalna wersja jest taka,

że doszło do rozbicia ruchu oporu. W Mocarstwie Centralnym nie ma żadnego oporu. Właśnie dlatego uważam, że dobrze jest umieć czytać - choćby tylko między wierszami.

Za chwilę wjadę z powrotem do Technopolis: przede mną ogromne, podwójne laserowe łuki, gigantyczne, złote M, które iskrzy się pod pułapem nieba i adaptuje do pogody, by każdy mógł je zobaczyć z odległości wielu mil.

Zdarza się, że z powodów bezpieczeństwa pod tą wysoką, przypominającą katedrę bramą, którą stolica wita swych gości, formują się długie korki.

Dzisiaj jednak mijamy pędem złote ramiona, wjeżdżamy do naszego miasta, do naszego życia, do świata, który jest strumieniem informacji, niezmordowanie gromadzonych i wyświetlanych na ekranach.

W niej Księstwa, we mnie zaś Książęta drzemią: Cóż trzeba więcej!

Manfred czeka na mnie; ma na sobie koszulę idealnie dopasowaną do mięśni klatki piersiowej.

- Moje gratulacje, Billie. To twoja życiowa okazja. Pogłębiony dodatek specjalny do programu *W jedną minutę*.

- Pogłębiony? W jedną minutę? Nie dostrzegasz tu żadnej sprzeczności, Manfred?

- Nie utrudniaj, Billie. Masz tylko zrobić wywiad z tą *Robo sapiens* i sporządzić plik, który po emisji zostanie wrzucony do sieci.

- To zadanie dla Mediów, ja nie jestem od tego.

- Billie, to moment zwrotny w twojej karierze. Przestań marudzić i skorzystaj z szansy.

- Dlaczego ja?

- Ta Robo *sapiens* sama wpadła na ten pomysł. Spodobałaś jej się podczas porannej prezentacji. Nazwij to jej ostatnim życzeniem. Zrozum, jaka to dla niej ważna, osobista chwila. Właśnie opróżniają ją z danych.

Manfred rusza w głąb korytarza. Strasznie to dziwne, osiągnęliśmy taki poziom zaawansowania, a jednak wcale to nie wpłynęło na wygląd naszych korytarzy. Są zawsze takie same - martwy dywan, nijakie drzwi, bezmyślne obrazki, dystrybutor wody, automat z czekoladą, tabliczki wskazujące toalety i windy.

Ten wolny korytarz po chwili staje się korytarzem chronionym kodem dostępu. Czujniki biometryczne odnotowują obecność Manfreda i drzwi otwierają się na oścież.

Strażnicy opierają się niedbale o ściany, na widok Manfreda prostują się służbiście. Wchodzimy do jasnego, białego wnętrza. Na samym środku siedzi Robo *sapiens*, ciemne włosy opadają jej na twarz, obnażoną rękę oplatają przewody. Wygląda, jakby oddawała krew. Moim zdaniem naprawdę ją oddaje - dane, które w sobie przechowuje, to krew jej życia; Robo *sapiens* umrze, kiedy ich zabraknie.

- Przepraszam, nie mogę podać ręki. - Patrzy na mnie z uśmiechem.

- Billie, poznaj Spike, legendę za życia. Spike, to jest Billie Crusoe; zgodnie z twoją prośbą przeprowadzi z tobą ostatni wywiad.

Manfred odwraca się w stronę trzech laborantów i coś do nich mówi. Po chwili kiwają głowami i gęsiego wychodzą z pomieszczenia. Manfred uśmiecha się.

- Kamera jest nastawiona na nagrywanie. Krótki wywiad, my go później obrobimy. Billie, kupiłaś sukienkę? Włóż ją! Daj

mi sygnał, kiedy skończysz. Będę musiał autoryzować twoje wyjście.

- Jestem już aresztowana?
- I niech to będzie radosne i dynamiczne, okay?

Wymiata go przez wahadłowe drzwi. Zostajemy same.

Spike nic nie mówi, ale patrzy na mnie; wiem, że sczytuje mój implant z danymi, wszczepiony tuż nad nadgarstkiem: tam są ukryte wszystkie informacje o mnie.

- Nie potrafię odczytać twoich danych - odzywa się Spike, czytając w zamian w moich myślach. - Ta funkcja przestaje działać, kiedy mnie opróżniają.

- Jak długo potrwa opróżnianie?
- Razem z pytaniami kilka godzin, potem przestanę istnieć.
- Zostałaś zbudowana wyłącznie dla celów tej misji, prawda?

Spike kiwa głową i się uśmiecha. Jest absurdalnie piękna. Zaczynam zsuwać dzinsy i czuję na sobie jej wzrok, kiedy zostaję w samym biustonoszu i majtkach. Dlaczego wstydę się rozbierać przed robotem? Wkładam sukienkę przez głowę jak uczennica, rozpuszczam włosy i siadam. Spike uśmiecha się, bardzo lekko, jakby doskonale wiedziała, jakie wywiera wrażenie.

Muszę się uspokoić, skutecznie udać, że panuję nad sytuacją, dlatego odwracam problem.

- Jesteś robotem, Spike, ale dlaczego takim zabójczo pięknym? Chodzi mi o to, po co najbardziej zaawansowanej z kiedykolwiek skonstruowanych maszyn ten wygląd gwiazdy filmowej?

- Wymyślili, że przydam się chłopakom z misji - odpowiada prosto.

Nie bardzo wiem, jak to rozumieć. Miała się przydać w charakterze bojowej pin-up girl? Żywego antydepresanta? Inkarnacji powiedzenia, że prawda to piękno, a piękno to prawda?

- Niby jak miałaś się przydać? Bo zakładam, że nie mówisz tu o usługach seksualnych.

- A co jeszcze można robić w kosmosie przez trzy lata?

- Przecież seks międzygatunkowy jest zabroniony.

- Nie na innych planetach. Nie w kosmosie.

- Ale byłaś także najbardziej zaawansowanym członkiem załogi.

- A oprócz tego jestem kobietą.

W pomieszczeniu łomocze tubalny głos Manfreda:

- Ten materiał nie nadaje się do emisji.

Wstaję, żeby przynieść sobie wody, i kiedy przechodzę obok Spike, mówię do niej prawie niesłyszalnie:

- Możemy go wyciszyć?

Kiedy wracam z wodą, Spike odpowiada szeptem, nie patrząc na mnie:

- Czerwony panel, niebieskie pokrętko.

Podchodzę do panelu.

- Wciąż kręcą.

- Właśnie wyłączyłaś funkcję nagrywania.

- Więc przez trzy lata uprawiałaś seks z kosmonautami?

- Tak. Zużyłam trzy waginy z silikonowym wkładem.

Funkcja nagrywania jest chyba wciąż aktywna, bo nagle skądś dobiega nas donośny ryk. Tak pewnie ryczą dinozaury z kosmosu.

- Przepraszam, Manfred! - drę się. - Wiem, że to program rodzinny i że polecisz w najlepszym czasie.

Próbuję ugłaskać Manfreda głosem, choć w emocjach mam chaos. Czuję, że powinnam się oburzyć w imieniu tej kobiety, ale to przecież nie kobieta, tylko robot: czy nie lepiej, że wykorzystali robota, zamiast posłać na tę misję grupę niewolnic seksualnych?

A jednak... Robo *sapiens* to nie *Homo sapiens*, ale niewykluczone, że stały się dla nas bliższym krewnym niż małpa.

- Dziewięćdziesiąt siedem procent materiału genetycznego ludzi i małp jest identyczne - powiedziała Spike - a jednak ludzie nie czują żadnego pokrewieństwa z małpami.

- A czy czujemy pokrewieństwo z robotami?

- Z czasem je poczujecie, w miarę jak dzielące nas różnice będą się zmniejszać.

Postanawiam zignorować dalekosiężne implikacje tego stwierdzenia jako nieprzydatne dla pogłębionego dodatku specjalnego do programu *W jedną minutę*. Zamiast tego wznowiam nagrywanie i obracam się z uśmiechem w stronę Spike.

- Mam pytanie, które zainteresuje wielu naszych widzów - mówię, choć wiem, że większość naszych widzów wolałaby posłuchać o kosmicznym seksie z robotami. - Skonstruowanie ciebie wymagało wielkich nakładów finansowych, więc po co cię demontować, skoro przecież można dokonać transferu wszystkich twoich danych?

- Nie jestem upoważniona, by odpowiadać na to pytanie - mówi Spike z doskonałym opanowaniem robota. Po czym pochyliła się do przodu, ujmując mnie za rękę i dodaje: - Muszą mnie zdemontować, bo ja nigdy niczego nie zapominam.

- Zaraz, zaraz, nic nie rozumiem. Zabieramy dane...

- A ja mogę je sobie przypomnieć.

- Jakim cudem? Przecież tego jest strasznie dużo, to są zapisane dane cyfrowe. Po ich zgraniu gospodarz, nośnik, czy kimkolwiek z przeproszeniem jesteś, może zostać wyczyszczony do zera. Naprawdę nie jesteś maszyną do wielokrotnego użytku? Dlaczego?

- Bo nie jestem maszyną.

Ten uśmiech przypomina pierwsze światło nowego dnia.

- Robo *sapiens* zaprogramowano w taki sposób, żeby ewoluowały...

- Do pewnych granic.

- My te granice pokonaliśmy.

Manfred wdziera się do środka, taranując drzwi całym ciałem.

- Drogie panie, może tak zechcecie zakończyć tę łzawą psychodramę i zabierzecie się wreszcie do wywiadu? Za godzinę jesteśmy na wizji. - Siada w kącie, krzyżując swoje eleganckie nogi w nienagannie wyprasowanym lnieniu.

On tu już zostanie. Prawdopodobnie właśnie straciłam pracę.

Obracam się w stronę Spike. Zagląda mi spokojnie i niedwuznacznie do oczu, a także głowy, i niby nic nie mówi, a jednak mówi:

- Pomożesz mi uciec?

- Czy ja cię właśnie usłyszałam? - pytam.

Kiwa głową.

- Tak - odpowiadam na głos.

- Co „tak”? - pyta z irytacją Manfred.

- Tak, wracamy do wywiadu.

Odwracam się skupiona wyłącznie na tych oczach jak zielony, płynny kryształ.

- A zatem opowiedz mi o Błękitnej Planecie. Opowiedz mi wszystko.

Nasz nowy świat ma masę mega-, giga-, teragrama... - zaczyna Spike. - Gdy schodziliśmy do lądowania, osnuta kłębammi białych obłoków kręciła się wokół własnych biegunów, błękitna jak diament, pokreślona rzekami. A potem odkryliśmy świat, który wciąż jeszcze się formował. Znaleźliśmy dowody na to, że kiedyś gazem tam dominującym był dwutlenek węgla, potem metan i wreszcie w efekcie interwencji sinic tlen. Tlen tam jest i dzięki temu ta planeta może udzielić schronienia naszym formom życia.

Podobnie jak na Orbusie, na Błękitnej Planecie jest i stały ląd, i są morskie akweny, wysokie łańcuchy górskie i obszary prawdopodobnie skute lodem. Wysłaliśmy dwie ruchome sondy i podczas najbliższych miesięcy spodziewamy się nieprzerwanego napływu danych.

Na podstawie zdjęć można się przekonać, że planeta jest bogato zalesiona. Z całą pewnością żyją tam owady, fauna morska i ssaki. Planeta jest uderzająco podobna do naszej sprzed sześćdziesięciu pięciu milionów lat, wyjątek stanowią dinozaury, których na Orbusie nigdy nie odnotowaliśmy.

- Spytaj ją, kiedy będziemy mogli zacząć przeprowadzkę! - krzyknął Manfred. - Potrzebujemy wątku o wymiarze ogólnoludzkim.

- Możemy wyruszać choćby jutro: tak brzmi odpowiedź na to pytanie - powściągliwie odparła Spike. - Tam jest tlen, woda, żywność i wszelkie inne zasoby.

- Są też monstra - zauważyłam.

- Nie nazywaj ich tak - warknął Manfred. Dwa pasemka jego

nienagannie ułożonych włosów opadły luźno na fiołkowe oczy.

- Chcesz odstraszyć ludzi?

- Miałabyś ochotę zamieszkać na Błękitnej Planecie? - spytałam Spike.

- Owszem, chętnie wzięłabym udział w następnej misji badawczej.

- Co czujesz wobec faktu, że niebawem cię zdemontują? Przecież dla ciebie to jakby śmierć, słusznie mówię?

- Dla mnie to tyle co recykling, w przyrodzie to się dokonuje bezustannie. Świat naturalny jest bogaty i plenny, a jednak nic się w nim nie marnuje. W kosmosie marnotrawni są tylko ludzie.

- To się wytnie - wtrącił się Manfred.

W tym momencie rozległo się wycie syren: alarm czerwony ostrzegający przed skażeniem. Budynek łąda chwila miał sam się uszczelnić, a system klimatyzacyjny zacząć pompować czysty tlen.

- Nienawidzę tych egoistycznych, chciwych, zakłamanych sukinsynów - oznajmił Manfred, wstając i podchodząc do nas bliżej. - Co im daje prawo, żeby nam to robić?

- Zakładam, że mówisz o Kalifacie i Sojuszu?

- A kto jeszcze narusza równowagę w świecie?

- Cóż, my od niepamiętnych czasów jesteśmy w tym świetni - mówię, wiedząc, że to zła odpowiedź.

- Nigdy nie słyszałaś o globalnej odpowiedzialności? My wszyscy na tej planecie jesteśmy zobowiązani o nią dbać.

Nie chciało mi się z nim spierać. Najpierw wzbogaciliśmy się na zanieczyszczaniu reszty świata, a obecnie reszta świata zanieczyszcza nas.

- Poziom dwutlenku węgla wynosi pięćset pięćdziesiąt cząsteczek na milion - wtrąciła Spike. - Za późno na jakieś działania.

- Nigdy nie jest za późno! - zachnął się Manfred. - Takie stwierdzenie jest urojeniowe, depresyjne i antynaukowe. Mamy najlepszą tarczę pogodową na świecie. Spowolniliśmy globalne ocieplenie. Ustabilizowaliśmy emisję gazów. Zahamowaliśmy podnoszenie się poziomu mórz, przesadziliśmy lasy, zsyntetyzowaliśmy żywność, kładąc kres całym stuleciom szkodliwych praktyk rolniczych - tu znowu piorunuje mnie wzrokiem - zneutralizowaliśmy kwaśne deszcze, stale mrozimy czapy lodowe, nie używamy już ani ropy, ani jej pochodnych. Czego ty jeszcze chcesz?

- Niczego nie chcę - powiedziała spokojnie Spike. - Jestem robotem.

- Gdyby ci zdziczali szaleńcy zechcieli tylko zrozumieć przesłanie...

- My naruszaliśmy równowagę w świecie, tłumacząc, że robimy to w imię postępu i wzrostu gospodarczego. A teraz, kiedy oni to robią, nazywamy ich postępowanie egoizmem i dobrowolnym samobójstwem.

- Uważasz, że zjadłaś wszystkie rozumy, co? - wycedził Manfred. - Ja w odróżnieniu od ciebie żyję w świecie rzeczywistym. Robiliśmy, co robiliśmy, to jasne, ale kiedy zebrano razem wszystkie dane naukowe...

- Wtedy już było za późno.

Manfred zignorował mnie, tak jak się ignoruje ulicznych kandydatów.

- ...to wtedy przyjęliśmy na siebie pełną odpowiedzialność i poczyniliśmy starania, żeby to wszystko naprawić. I nasze próby przyniosłyby owoce, gdyby nie ci zacofani wyznawcy boga nieba i gdyby nie te durne skośnookie klony: oni wprost stają na uszach, żeby nam wszystko popsuć.

- Jak ci się nie podoba, Manfred, to zawsze możesz się zapisać na wyprawę na Błękitną Planetę.

- Miną dziesiątki lat, zanim zacznie się nadawać do życia.
- Możemy lecieć już teraz - zauważyła Spike.

Manfred zaczął młócić rękoma jak wiatrak.

- Potrzebujemy infrastruktury, budynków, usług. Jeśli mam zamieszkać na innej planecie, to chcę, żeby to się odbywało w godziwych warunkach. Ja muszę mieć dostęp do sklepów i szpitali. Nie jestem pionierem. Lubię miejskie życie, tak jak każdy. Mocarstwo Centralne uważa, że największą przeszkodą dla masowej emigracji będą opóźnienia w budowie infrastruktury. Nie możemy się cofać do jakiegoś ciemnogrodu.

- Nie starczy czasu - powiedziała Spike. - Albo polecisz teraz, albo wcale.

- Przykro mi, ale to się nie zgadza z tym, co wiem - odparł Manfred tonem ucinającym dalszą dyskusję. Podszedł do okna i wyjrzał na zewnątrz, marszcząc czoło. - Znowu pełno tego czerwonego piachu. Co to za cholerstwo?

Przestał się już nami interesować, więc zagadałam do Spike:

- Mielibyśmy tak po prostu polecieć?

- Przewidywana długość życia Orbusa wynosi jeszcze jakieś pięćdziesiąt lat. Planeta oczywiście przetrwa dłużej, ale jak dobrze wiemy, przestanie nadawać się do życia. Od biedy jeszcze przez jakiś czas będziemy mogli tu egzystować, chłodząc miasta i stosując technologię kultywacji, ale nie wydłużymy przyszłości. I nie starczy nam czasu na zmodernizowanie Błękitnej Planety zgodne z upodobaniami Mocarstwa Centralnego. Gatunek ludzki będzie musiał zacząć wszystko od początku.

- Czyli?

- Czyli od nieskalanej planety i obfitości zasobów naturalnych. Możliwe, że uda się stworzyć wysoce technologiczowane,

bezpieczne dla środowiska społeczeństwo, jeśli wyciągniemy lekcję z błędów popełnionych tutaj i zabierzemy się do tego inaczej.

- A zatem to jest naprawdę druga szansa.
- Tak mi się wydaje.
- Ale czy ludzie rzeczywiście chcą zaczynać od nowa? Wymyślają swoje biznesy jak zawsze, ale pod koniec dnia chcą grillować na plaży. Wymyślają plazmowe budynki i genetyczne usprawnianie, ale w tle musi być malownicza sceneria i oczywiście żadnych cudzoziemców.

Rozbrzmiał sygnał odwołania alarmu, wrócili laboranci i Manfred gestem nakazał mi wyjść.

- Kiedy się z tym uporacie? - spytał laborantów, którzy już siadali przed swoimi ekranami.

- Przygotujemy wszystko w trzy, może cztery godziny, a potem zaczniemy ją opróżniać, co pewnie potrwa całą noc. Rano, kiedy jej obwody będą już martwe, pošlemy ją do demontażu.

Spike słuchała tego, nie okazując żadnych emocji. Przypuszczalnie dlatego, że nie miała żadnych emocji.

- No i dobrze - podsumował Manfred. - Może przydałoby się sfilmować ostatnie drgawki, żeby nadać całej historii humanistyczny wymiar.

- Przyjdę później - wtrąciłam się.

- Nie musisz - odparł Manfred. - Już nie będziesz potrzebna.

Nagle znieruchomiał, wsłuchując się w swój wewnętrzny głos z Centrum Dowodzenia. Wycelował rękę w stronę całościennego ekranu telewizyjnego, błyskawicznie przerzucił kilka kanałów. Na jego twarzy pojawił się wyraz podniecenia.

- Wyłonili uczestników ścisłego finału!
- Jakich uczestników? Co za finał? - spytałam.

Manfred spojrział na mnie tak, jak się patrzy na kupną kanapkę, której nie masz ochoty jeść.

- Billie, ty nigdy nie masz kontaktu z rzeczywistością, czy może oceniam cię niesprawiedliwie?

- Manfred, od rana walczę z pedofilami i parkometrami; nie miałam czasu na rzeczywistość. Po prostu mi powiedz, co się dzieje!

Spike pochyliła się do przodu.

- WIĘCEJ-*Życia* sponsoruje promocyjną wyprawę na Błękitną Planetę dla zwycięzcy konkursu na najlepszego celebrytę.

Czerwony dywan, wirujące światła, orkiestra, dziewczęta ubrane w bikini ciskają w widownię piłkami plażowymi w kształcie Błękitnej Planety. Po krucyfiksie podświetlonego głównego przejścia kroczy Martin Moody, telewizyjny prezen-ter gwiazd. Publiczność wpada w szal: Moody Media to megastacja.

- Ależ z niego showman! - zachwyca się Manfred. - I jest taki niesamowicie naturalny!

Martin Moody podnosi ręce w geście polityka...

Były dwa pytania... WERBEL

Były dwie odpowiedzi... WERBEL

JAK BRZMI NAZWA NOWEJ PLANETY?

ILE WAŻY NOWA PLANETA?

PYTANIE DODATKOWE: Gdyby ci oddali władzę nad Błękitną Planetą, co byś zrobił najpierw? Opowiedz nam i wygraj konkurs!

WYGRAJ! I może zostaniesz tą pierwszą osobą, która przez weekend będzie zwiedzała nowy świat! Wyprawa sponsorowana

przez WIĘCEJ-Życia, dostępną w sieci i w kontaktach na żywo ponadnarodową korporację, która robi wszystko z myślą o WAS!

Martin wita pierwszego gościa. Przysadzisty mężczyzna w niebieskich džinsach i białym T-shircie śle pocałunki w stronę publiczności. Publiczność wiwatuje. Martin Moody wychodzi naprzód.

Powitajmy Dereka!

Mogę już, Martin? Mam na imię Derek i jestem taksówkarzem, ale trzymam też interes w papugach, to takie moje hobby.

A jak papugi znoszą twój interes, Derek? (Śmiech widowni.)

O Jezu, Martin, wiesz, o czym mówię! (*Śmiech.*) Rozmnażam je metodą tradycyjną, bez klonowania, daję im to robić i tyle. Mam ich teraz sto pięćdziesiąt, ale kiedyś zdarzyło się nawet trzysta pięćdziesiąt. Wszystkie te cholery siedzą w awiarium, które urządziłem na boku w głównym pokoju, więc jak idę do roboty, to żona ma na nie oko. Na Błękitnej Planecie nie będzie taksówek, znaczy się nie na początku, no to więc chciałbym rozbujać interes w papugach, zanim wprowadzą te durne licencje na egzotyczne zwierzaki. Powiadam: Nie wpuszczać biurokracji na Błękitną Planetę! (*Widownia: Walcz, Derek, walcz... Derek macha rękami, wychodzi.*)

MM wysuwa się naprzód: *Głosujcie na Dereka z Brighton, jeśli nie chcecie biurokracji na Błękitnej Planecie. (Śmiech.) Następny gość, proszę!*

Martin! (*Cmok, cmok.*) Nazywam się Veniat Regnum, produkuję odzież pod własną marką i jestem przekonana, że na Błękitnej Planecie powinniśmy nosić jakieś fajne ciuszki.

W odpowiedzi na pytanie dodatkowe powiedziałaś, że musimy zacząć od zorganizowania sieci handlu detalicznego?

Zgadza się. Centra handlowe, ludzie, podejście holistyczne. Potrzebujemy tego.

W życiu bym nie pomyślał...

A tak jest, Martin. (*Kiwa mądrze głową.*) Jeśli ludzie kupują markę, której mogą zaufać, to mają lepsze samopoczucie. (Widownia: *Dobrze gada!*) Dlatego powinniśmy zacząć od sprowadzenia jakichś porządnych towarów na Błękitną Planetę! I ja mogę się tego podjąć - wyeksportuję tam własną kolekcję odzieżową o nazwie „Błękitna Planeta”! (*Macha rękami, kłania się.*)

Głosujcie na Veniat Regnum, jeśli zależy wam na centrach handlowych. Następnym gościu, proszę!

Martin, nie potrafię uwierzyć, że tu jestem i że to nie sen! Nazywam się Mary McMurphy, dla przyjaciół Pink, i całe moje życie to sławni ludzie i w ogóle, więc chciałabym wierzyć, że na Błękitnej Planecie będę mogła coś uruchomić, no wiesz, coś w rodzaju portalu poświęconego gwiazdom. Bo przecież gwiazdy są... no tego... gwiazdy to gwiazdy, prawda? Tak jak te, co je widać na niebie? To chyba fajne skojarzenie? (*Publiczność klaszcze.*)

Ależ Pink, na samym początku na Błękitnej Planecie nie będzie żadnych sławnych ludzi.

I właśnie dlatego będziemy potrzebowali ich obecności w komputerach: to będzie taka silna więź z miejscem, z którego pochodzimy. Ludzie potrzebują silnych więzi. (*Widownia pochłukuje z aprobatą.*)

Głosujcie na Pink McMurphy za promowanie więzi ze sławnymi ludźmi - uszy do góry, Pink. Następnym gościu, proszę.

Witaj, Martin. (*Podwójny uścisk ręki.*) Mam na imię Tim i moim zdaniem pierwszą sprawą, jaką musimy porządnie się zająć na Błękitnej Planecie, tak, pierwszą i najważniejszą, są parkingi, bo ja jestem konsultantem zarządzania ruchem ulicznym...

Nie bądź taki skromny, Tim - jesteś kimś w rodzaju guru, prawda?

Mam swój program radiowy, Martin - *Parkowanie w eterze (wiwaty)* - do którego słuchacze mogą dzwonić i donosić o wolnych przestrzeniach, miejscach, szczelinach i punktach. Parkowanie to bez cienia wątpliwości kwestia numer jeden, z jaką musi się mierzyć dzisiejszy świat, nie politycy, przyznając, ale zwyczajni ludzie, tacy jak ty i ja. Budzimy się rano i nasza pierwsza myśl jest taka: gdzie dzisiaj zaparkować, żeby nie płać? (*Widownia tupie i naśladuje odgłos werbli.*)

Głosujcie na Tima, jeśli chcecie mieć własne miejsce do parkowania na Błękitnej Planecie. Następny gość.

Mam na imię Nomad i reprezentuję wszystkich tych ludzi, którzy nie wiedzą, dlaczego tu jesteśmy. (*Widownia milknie.*)

W takim razie, Nomad, po co tu przyszedłeś, skoro nie wiesz, dlaczego tu jesteś? (Śmiech widowni.)

Boję się, że nadciąga koniec świata. Nie chcę umierać.

Dzięki, Nomad, dzięki za to, że się podzieliłeś swoimi poglądami. (Nomad zostaje wyprowadzony ze sceny.) *Zdaje się, że doświadczyliśmy tu swoistej czkawki, ale idźmy dalej. Celine...*

Cześć! CześćCześćCześć! MamnaimięCeline. Pracujędla-BiuraRandekBłyskawicznych. Mówięszybko. Tonawykzpracy. NaBłękitnejPlaneciemożąbyćosoby (*kaszel*) którechcąpoznaćwłaśnieCIEBIE. (*Oklaski, śmiech.*)

Celine, powiedziałaś, że powinniśmy założyć serwis randkowy, gdy tylko... jeszcze zanim zbudujemy domy, drogi czy handel. Zgadza się?

ZgadzaMartin! Miłośćjestnajważniejsza! (*Widownia szaleje.*)

Głosujcie na Celine, jeśli uważacie, że miłość jest najważniejsza...

Manfred zgasił ekran.

- Fantastyczna promocja. Dzięki niej cała przeprowadzka nabierze zupełnie innego wymiaru.

- Myślałam, że zaczynamy od zbudowania jakiejś stacji naukowej.

- Już ją budujemy, tylko kogo to obchodzi? Potrzebujemy prawdziwych ludzi, żeby podtrzymać zainteresowanie. Naukowcy nie są interesujący.

- Dzięki.

- To nie było do ciebie.

- Więc kiedy odlatuje ta misja z udziałem zwycięzcy reality TV?

- Niedługo. Próba sabotażu się nie powiodła, ale przypuszczam, że o tym też nie wiesz? Ruch oporu powrócił.

- Może nigdy nie odszedł.

Manfred zamilkł na chwilę.

- Niewykluczone, że wiedza bywa selektywna - stwierdził w końcu - raz coś wiemy, raz czegoś nie wiemy. Albo mówimy coś, o czym nie mamy pojęcia.

- Billie... - wtrąciła się Spike. - Dziękuję ci za wywiad.

Chciała rozładować sytuację. Podziękowałam jej uśmiechem, a ona skinęła głową.

Manfred wstał i wskazał mi ręką drzwi. Szliśmy w milczeniu przez korytarze. Odezwał się, dopiero gdy czekaliśmy na windę.

- Billie, weź ty sobie kilka dni urlopu. Ja bym to zrobił na twoim miejscu.

- Próbujesz mi coś powiedzieć?

- To trudny czas. Jeśli coś pójdzie nie tak, nie chcę, żeby się zaczęło od mojego departamentu.

- Twierdzisz, że to ja jestem tym złem, które powinno sobie pójść?

- Ja tylko mówię, że masz wziąć kilka dni urlopu.

Drzwi windy rozsunęły się. NA GÓRĘ. Manfred wszedł do środka. Drzwi zamknęły się.

Czekałam dalej. ŚWIATŁO. PING. NA DÓŁ.

Przechodnie mieli na twarzach maski z filtrami antyskażeniowymi. I oczywiście wyglądali w nich pięknie, nawet z tym szklistym spojrzeniem, bo to obecnie normalne. Każdy dba o swój wygląd również wtedy, gdy musi nosić maskę. Państwo wydaje je wszystkim na żądanie, ale ci, którym zależy na elegancji, mają swoje designerskie modele.

Przedemną szła jakaś kobieta, majstrowała po omacku przy swojej masce, kasłała. Podeszłam, żeby jej pomóc, a ona schwyciła mnie za rękę.

- Starzeję się - powiedziała

Zadałam sobie pytanie, czy przypadkiem się nie przesłyszałam, bo przecież nikt już nie używa takich słów. Nie musimy ich używać: nie pasują do naszych doświadczeń.

- Starzeję się - powtórzyła. A potem zdjęła maskę. Oczy miała jasne i roziskrzane, ale jej twarz była pomarszczona, zniszczona, ogorzała, zmaltretowana, naznaczona popękkanymi naczynekami i plamami wątrobowymi, ze szczeliną ust błazeńsko umalowanych czerwoną szminką.

Wzdrygnęłam się. W życiu nie widziałam nikogo takiego na żywo. Owszem, widywałam różne filmy archiwalne, które pokazywały, jak się kiedyś starzeliśmy, widywałam też rezultaty eksperymentów medycznych, ale przede mną stało teraz stworzenie o skórze jaszczurki, taka damska torebka na nogach.

- Kiedyś stanie się z tobą to samo co ze mną - powiedziała. - Wiem, że nie byłaś usprawianiana.

- Nic o mnie nie wiesz! - odparowałam zła, przestraszona.

Roześmiała się.

- Przyjrzyj mi się. Myślisz, że chciałam tak skończyć, kiedy miałam tyle lat co ty? Ani trochę. Też byłam rozpolitykowana, tak jak ty. Uważałam, że powinnam mieć poglądy, tak jak ty. A tymczasem od dwudziestu lat wychodzę z domu tylko w te dni, kiedy ostrzegają przed skażeniem, żeby nikt nie zobaczył mojej twarzy. Gdybyś zobaczyła moje ciało, porzygałabyś się.

Podciągnęła rękaw płaszcza. Odznaczające się wyraźnie kości jej ręki były obleczone sflaczałym ciałem - zbrązowiałą, pergaminową skórą, pod którą rysowały się sine, wydatne ścięgna. Na pobliskim inteligentnym budynku rozbłysła właśnie jedna z klasycznych reklam dobrego samopoczucia sponsorowanych przez WIECIEJ-Życia. Grupka dzieci z rodzicami i dziadkami, wszyscy jednakowo piękni, wszyscy ubrani w identyczną brudoodporną nanoodzież, na pikniku w Parku Państwowym. *Najlepsze chwile twojego życia. Ciesz się nimi codziennie.*

Starucha zaśmiała się. Nie miała zębów.

Zmusiłam się, żeby spojrzeć na nią spokojnie.

- Dlaczego tak ze mną rozmawiasz?
- Oni wiedzą o tobie.
- Kto wie o mnie?
- Wiedzą, że sfalszowałaś swoje dane.
- To nieprawda!
- Mówię ci. Wiedzą, kim jesteś.

Kobieta zaciągnęła na twarz maskę i oddaliła się powolnym krokiem.

Stałam niemal w bezruchu, jak zwierzę, które się boi drapieżnika. Po pustej ulicy hulał czerwony pył.

Kiedy tak stałam, nie wiedząc, co robić dalej, na moim telefonie wyświetlił się kod Manfreda. Nie miałam ochoty z nim rozmawiać, ale on był w stanie określić, gdzie dokładnie jestem, za pomocą systemu namierzania satelitarnego. Mam swoje osobiste współrzędne, tak jak wszyscy, i każdy, kto dysponuje kodem dostępu, ma dostęp także do mnie, również wtedy, gdy wolałabym się ukryć.

Odbieram. Jego głos jest nafaszerowany złością.

- Ta Robo *sapiens* uciekła!

- Jak to uciekła? Co ty wygadujesz?

- Słyszałaś. Może coś ci chlapnęła?

- Nie, oczywiście, że nie. Myślałam, że ją właśnie demontują.

- Technicy poszli na przerwę, a kiedy wrócili, jej już nie było. Niewykluczone, że będzie się z tobą kontaktowała.

- Nie będzie, po co jej kontakty akurat ze mną?

- Z jej danych wynika, że uformowała z tobą więź.

- W odróżnieniu ode mnie. Manfred, nie mam pojęcia, co się stało ze Spike, z ręką na sercu.

- Jeśli przyjdzie do ciebie...

- Ona do mnie nie przyjdzie, nie wie, gdzie mnie szukać.

Nie miała dostępu do chipu z moimi danymi, kiedy ją opróżniali, wiem od niej samej.

Chwila milczenia. Manfred wie, że to prawda. Miał teorię, a teraz już nie jest pewien. Korzystam z szansy.

- Pójdzie do granicy. Pewnie zdezerterowała.

- Roboty nie mogą dezertować. Z założenia nie myślą samodzielnie.

- Ona myślała.

Znów milczenie.

- Granica? Tak uważasz? Chcesz mi coś powiedzieć?
- Niczego ci nie mówię, Manfred. Nie mam ci nic do powiedzenia.

Kiedy w telefonie szcęknięło na znak, że Manfred się rozłączył, znowu poczułam spokój wsparty wiedzą, że niezależnie od tego, co stanie się później, najpierw z jakiegoś osobliwego powodu i tak dotarłabym do tego miejsca. Do punktu, od którego nie ma odwrotu. Do tego miejsca... rzeczywistego i wymagowanego. Które już istniało i które dopiero miało zaistnieć.

Wracałam do domu drogą biegnącą nad morzem. Jak zawsze o tej porze kontury uspiomych białych wież miasta po mojej lewej ręce łagodniały pod naporem światel zmierzchu.

Po mojej prawej ręce brzeg oceanu, masywny, prosty, piękny, wabił ku sobie miasto, jakby tam właśnie rozgrywał się nasz jedyny sen i jakbyśmy mieli już nigdy się nie obudzić, tylko spacerować pod palmami i wśród pięknych budowli, człowiek przy człowieku, „wolni i nowi.

W rzeczywistości miasto odpełza, byle dalej od oceanu, puste i znudzone, ale tutaj, gdzie jest tak, jak to miało być, wszystko wydaje się możliwe i rzeczywiste.

I wydaje się, że tak już będzie całą wieczność.

Nie potrafisz uwierzyć, że dotarliśmy do kresu wszystkiego. Czerwony pył jest przerażający. Dwutlenek węgla jest jak najbardziej prawdziwy. A woda kosztuje. Biotechnika tworzy tyle samo problemów, ile rozwiązuje, ale... ale jesteśmy tutaj, żyjemy, jesteśmy ludzką rasą, przeżyliśmy wojny, terroryzm, niedostatek i światowy głód, odbijaliśmy się od dna nie raz, ale wiele razy. Historia to nie list samobójcy - to dzieje naszego przetrwania.

Popatrzcie, słońce osiada na poziomej sztabie oceanu i cokolwiek bym mówiła, cokolwiek bym czuła, to jest dom i właśnie wracam do domu.

Zjechałam z drogi na bitą ścieżkę, która wiedzie na farmę.

Po mojej lewej ręce płynie szeroki, drożny strumień, z wodną rukwią, która porasta jego najszybsze partie, z kosaćcami na brzegu, z wierzbą, która pochyla się nad samą wodą, z pianą zabiego skrzeku i kurkami wodnymi żeglującymi wraz z prądem.

Ścieżka pnie się stromo. Wokół robi się ciemno. Widzę przed sobą przysadzisty, kamienny dom, obok frontowych drzwi stoi beczka na wodę, przy bramie rośnie jabłoń. *Wejdz tam*, mówię sobie w duchu, *wejdz*.

I tamtej nocy spałam, długo i głęboko, jak ktoś, komu nic się nie śni, bo i po co, skoro już i tak śni.

Poranek. Następnego dnia.

Mężczyzna za drzwiami miał twarz jak kilof. Jego zadaniem było wyrąbanie wielkiej dziury w moim życiu.

- Nazywasz się Crusoe?
- To ja.
- To jest Farma Czarnych Owiec?
- Nie, Biblioteka Kongresu.

Błaszany gliniarz konający na tylnym siodełku motorolotu wyczuł kłopoty - bo ktoś ośmielił się wyzłośliwić na oficera Umacniania - i się ożywił.

- Po co przywiozłeś tę puszkę po zupie? Jestem tu sama. I w ogóle o co chodzi?

Facet z Umacniania nic nie powiedział. Omiótł wzrokiem dom

z kamiennych bloczków, z wielkimi wypaczonymi drzwiami i omszałym dachem. Mój pies Rufus powarkiwał ze swojego posterunku przy furtce. Konie na polu oderwały się od trawy i popatrywały na nas. To był zwyczajny dzień, niepodobny do innych.

- Tu mogą się ukrywać różne typki - wycedził wreszcie.

Błaszany gliniarz zsiadł z motorolotu i zaczął fotografować otoczenie aparatem wbudowanym w głowę.

- To miejsce nie jest atrakcją turystyczną - zauważyłam. - To prywatny teren. Przywołaj tę blaszaną małpę do porządku.

Ręka Prawa zignorowała mnie.

- Tu jest nakaz sądowy. - Uruchomił monitor na przedniej szybie swojego pojazdu i pojawiły się na nim moje dane: nazwisko, adres, wiek, zawód, oszczędności, pieniądze, które jestem dłużna, pieniądze, które jestem dłużna, pieniądze, pieniądze.

- Nie jestem nic dłużna.

- Będziesz musiała zeznać to przed sądem.

- Jesteś istotą rodzaju ludzkiego, czy raczej się mylę?

- W zasadzie tak.

Majtnął nogami zwisającymi luźno z siedzenia motorolotu - miał je przerobione na takie, które się nigdy nie męczą od ściągania podobnych do mnie przestępców.

- Nie mówiłam o twoich nogach. Masz ludzki mózg. Masz ludzkie serce. Za każdym razem składałam reklamacje do tych mandatów i potem one były anulowane. Wszystkie co do jednego.

Przewertował notatki na swoim ekranie. Takie notatki nigdy nie składają się ze słów, tylko z liczb.

- Koder mi tu podaje, że żaden mandat nie został jeszcze zapłacony.

- To ile jestem winna?
- Tu jest napisane, że trzy miliony dolarów.
- Przecież to są zwykłe mandaty za parkowanie!
- Zgadza się. Mandaty z całego roku, plus upomnienia, plus umacnianie, plus koszty reklamacji, plus odsetki. Zgadza się, trzy miliony dolarów.
- Zaraz... skoro tutaj są koszty reklamacji, to w takim razie koder wie, że się odwoływałam. To jest po prostu jedna gigantyczna pomyłka: ja wiem, że mandaty były systematycznie anulowane, a koder o tym nie wie. To nie jest żadne orzeczenie, to jest błąd po stronie software'u.

- Nie mogę nic z tym zrobić. Ja nie piszę ustaw.
(I jak tu nie chcesz zamordować każdego debila, który to mówi?)

Staralam się za wszelką cenę zachować cierpliwość. Spróbowałam z innej beczki.

- Pracujesz dla Umacniania, zgadza się?

Przytaknął. Tacy jak on lubią, kiedy się do nich mówi prostymi zdaniami.

- OK, a ja pracuję dla Ulepszania. Nie jestem w stanie ulepszyć niczyjego życia, jeśli nie mogę wejść do domu danej osoby i stwierdzić, na czym polega problem. A nie mogę wejść do takiego domu, jeśli najpierw nie uda mi się zaparkować pod tym domem, i dlatego właśnie funkcjonariusze Ulepszania, czyli na przykład ja, mają zezwolenia na darmowe parkowanie, tak samo jak funkcjonariusze Umacniania, czyli na przykład ty.

- Zezwolenia to nie moja działka.

- Tu jest moje zezwolenie.

W odpowiedzi odepchnął swój pojazd i krogulczym palcem wystukał jakiś kod na przedniej szybie.

- Wpisuję tutaj, że się nie zgadzasz z wyrokiem.

- Od roku próbuję porozmawiać z jakimś przedstawicielem ludzkiej rasy z Umacniania. Chcę, żeby taki przedstawiciel spojrzął na moje zezwolenie i wyjaśnił, dlaczego ono nie jest ważne, mimo że jest aktywne i aktualne, i chcę, by ów przedstawiciel powiedział mi, z jakiej paki jestem dłużna Mocarstwu Centralnemu te trzy miliony dolarów.

Znowu dźgał palcem swój koder.

- A co robisz teraz? - spytałam.

- Koduję twoją odpowiedź.

- Nie koduj mojej odpowiedzi! Podaj mi nazwisko kogoś, z kim mogłabym porozmawiać.

- Twój numer to 116SS - powiedział. - Wysłałem go na twój ekran i przekazałem do bazy. Masz tydzień na uregulowanie długu albo zabieramy farmę.

Rufus zaczął wyć.

- Powinnaś go oddać do usprawnienia - powiedział Kilof.

- To prawdziwy pies, nawet łapy ma prawdziwe. Nie mogę go oddać do usprawnienia.

Kilof po raz pierwszy okazał przebłysk zainteresowania.

- Żartujesz? Jest taki, jak te okazy z Zooeum?

- Tak, ten pies to autentyk, starość. Rozmnaża się, szczeka, zdycha.

- Ja mam robo-collie. To taki pies pasterski, bardzo fajny i uczuciowy. Wyłączyłem mu przycisk szczekania.

Rufus szczekał i obnażał zęby. Blaszany gliniarz podszedł bliżej, chcąc go kopnąć. Niewiele myśląc, porwałam wiadro ze schodka i chlusnęłam wodą na pobrzękujące blaszane cielsko.

Podziałało. Stwór doznał zwarcia i zastygł w miejscu.

- A teraz to na sto procent masz kłopoty - wycedził Samotny Strażnik. - Blaszani gliniarze są pod ochroną państwa.

- W odróżnieniu od ludzi - odparowałam, trzymając drżącą

dłoń na łbie psa. - Dalej, wsadź go na motocykl i obaj stąd spadajcie.

Siódmy Wspaniały znów spojrzał na Rufusa.

- Taki pies powinien być zaklasyfikowany jako niebezpieczny.

- Każde zwierzę na tej farmie ma licencję. Cała farma ma licencję.

- Może nie wiesz, ale Mocarstwo Centralne rozważa, czy nie unieważnić tych licencji.

- Nie mogą. Licencje zostały wydane na życie farmy.

- To farma ma jakieś życie? - Umilkł, zaszurał podeszwą swego wysokiego buta w pyłe pokrywającym ścieżkę. - A skoro już o tym mowa, to czym jest życie?

Ten człeczyna to przecież nie filozof, pomyślałam. Co on mi próbuje powiedzieć?

Wrzucił blaszanego gliniarza na tylne siedzenie motorolotu i odjechał. Sami popatrzcie: jedzie sobie taka własność państwowa, skrojona na miarę, wyjęta spod sztancy, tania w obsłudze, wolna od marzeń, odporna na wątpliwości. Życie jest bardzo proste, jeśli tylko wykonujesz swoją pracę.

Muszę coś zrobić, żeby przestać się tak trząść.

W domu, na plazmowej ścianie wyświetlił się numer 116SS, a obok niego zaczęły tykać na czerwono liczba dni, godzin, minut i sekund, które mi zostały do czasu, aż będę musiała się stąd wynieść.

Rzuciłam w ścianę jajkiem.

- O! - poskarżyła się ściana. - Po-co-ta-prze-moc?

Wypowiada wszystkie sylaby oddzielnie, bo jej komputer to stary model, przywodzący na myśl staromodne, gadające zegary.

- Ja-nie-wy-bie-ram-te-go-co-się-wy-świe-tla-na-ścia-nie.

- I tak niedługo cię zburzą, mamy nakaz eksmisji.
Ściana nie odpowiedziała.

Był późny wieczór. Siedziałam właśnie przy kominku, dorzucając do paleniska jabłoniowe polana, kiedy usłyszałam czyjeś kroki zbliżające się powoli do tylnych drzwi. Rufus zawarczał. Schwyciłam w dłoń ciężką butelkę i podeszłam tam ostrożnie.

- Kto tam? - spytałam, starając się, by zabrzmiało to stanowczo.

- Manfred.

Otworzyłam drzwi i zobaczyłam go; zgięty wpół rozwiązywał sznurowadła w swoich płóciennych sportowych butach.

- Krowie łajno - wyjaśnił.

Zabrałam od niego buty i przytrzymałam drzwi.

- Masz przecież kod dostępu do bioenkław, więc czemu przyszedłeś po krowim łajnie?

- To miejsce jest pod obserwacją. Przyjechałem drugą drogą, wykorzystując kod dostępu Służb Muzealnych.

Wszedł do środka, obrzucił spojrzeniem wiejski stół, mieszmasz z prawdziwego jedzenia: bochenek razowca, masło, jajka w miseczce.

- Masz ochotę coś zjeść? - spytałam.

- Jestem zwolennikiem naturalnej żywności - odparł, dając tym samym do zrozumienia, że je tylko najdroższe syntetyki gwarantujące optymalny stan zdrowia dzięki zbilansowanej zawartości białek i minerałów.

Zaniosłam jego buty do zlewu i zabrałam się do spłukiwania krowiego łajna.

- Umacnianie urządziło mi tu dzisiaj nalot - poskarżyłam się. - Chodziło o moje mandaty.

- To tylko pretekst - powiedział. - Ci z Umacniania chcą cię aresztować. Spodziewam się, że wiesz dlaczego.

Na chwilę mnie zamurowało.

- Waszego robota tu nie ma, jeśli przyszedłeś go szukać.

- Wiem o tym.

- Co jeszcze wiesz? Albo co ci się wydaje, że wiesz?

Przysunął sobie krzesło.

- Billie, jutro rano wezwę cię do siebie i zaoferuję ci możliwość wzięcia udziału w wyprawie na Błękitną Planetę organizowanej przez WIĘCEJ-Życia. Byli pod wielkim wrażeniem twojego dodatku specjalnego do *W jedną minutę*. Potrzebują eksperta od komunikacji. Nie chcą typowego naukowca.

- Jestem typowym naukowcem.

- Ukrywasz bezimiennych.

Wrzuciłam jego buty do zlewu. Nie patrzyłam na niego.

- Nie gadaj głu...

Manfred ze zdumiewającą siłą schwycił mnie za rękę. Podniósł moje lewe przedramię do światła. Skórę znaczyła krótka, schludna blizna.

- Stąd ci wyjęli identyfikator i potem przeprogramowali twój chip z danymi.

- Zostałam oczyszczona z zarzutów.

- Zostałaś zidentyfikowana do czasu znalezienia kolejnych dowodów.

- Nie wytoczyli mi sprawy.

- Niebawem cię aresztują. Mandaty zostały sprokurowane po to, żeby cię stąd wyciągnąć w taki sposób, by nie zrobić z ciebie męczennicy. Kiedy Umacnianie cię dopadnie, nawet jeśli jesteś niewinna, w co nie wierzę - nie, nie sprzeczasz się, słuchaj, nawet jeśli jesteś Królową Śnieżką - to będziesz potrzebowała lat, żeby to udowodnić.

- Więc co chcesz powiedzieć?

- Chcę powiedzieć, że masz problem. Umacnianie ma zamiar cię aresztować, bo kiedy trzy lata temu próbowali ci wytoczyć sprawę za akty terroryzmu przeciwko państwu, do których zaliczało się wspomaganie, podjudzanie i ukrywanie bezimiennych, to się wywinęłaś. Oni nie wybaczą i nie zapominają.

- Od niczego się nie wywinęłam. Zostałam osądzona i oczyszczona z zarzutów. Nie ukrywałam bezimiennych wtedy i nie ukrywam ich teraz.

- A ja jestem Marsjaninem. Posłuchaj mnie, Billie. Dostałem zalecenie z samej góry, powtarzam, z samej góry, żeby zaoferować ci szansę na odejście po cichu. To nie jest odpowiednia pora, żeby robić gnój z twoim aresztowaniem. Nie chcemy, żeby jacyś popaprani liberałowie wiedli spory na temat dopuszczalności dowodów. Niemniej fakt jest taki, że wywołałaś skandal. Sprawiasz więcej kłopotów, niż jesteś warta. Naruszyłaś system, a tego robić nie wolno. Albo cię tym razem przyskrzynimy, albo sama odejdziesz. Na chwilę obecną my wolimy, żebyś odeszła.

- O kim ty mówisz? Jacy my?

- Powiedzmy, że moja praca nie ogranicza się do rzeczy, które robię na co dzień.

- Jesteś informatorem?

- Wierzę w system. Ty nie.

- Prawda, nie wierzę. Jest represyjny, przegniły, antydemokratyczny.

- W takim razie będziesz bardzo szczęśliwa na Błękitnej Planecie. Tam nie ma żadnego systemu.

- A co się stanie po moim powrocie?

Nie odpowiedział.

Wzięłam ścierkę do naczyń i zabrałam się do wycierania jego butów.

- Naprawdę się na mnie uwzięli, Manfred?
- Naprawdę.
- Co będzie z farmą?
- Zgodnie z prawem należy do ciebie. No chyba że nie uda ci się uregulować mandatów, to wtedy państwo ją zabierze zamiast należności.
- Chcesz powiedzieć, że tak czy owak stracę farmę?
- Oczywiście możesz stwierdzić, że ta cała afera z parkowaniem została sfabrykowana przeciwko tobie, co zresztą jest prawdą, ale wtedy Umacnianie każe ponownie otworzyć postępowanie przeciwko tobie, na podstawie nowych dowodów pozyskanych od jednego z tych bezimiennych, których złapano w Centrum Lotów Kosmicznych.
- Nie ma żadnych nowych dowodów, które świadczyłyby przeciwko mnie. Nie ma żadnych starych dowodów. Nie ma żadnych mandatów.

Wręczyłam Manfredowi buty. Włożył je.

- Rozegraj to, jak chcesz, Billie. Teraz twój ruch. To spotkanie między nami nigdy się nie zdarzyło. Mam świadków, którzy powiedzą dokładnie, gdzie byłem dzisiaj wieczoru, i to nie będzie to miejsce. Rankiem zadzwonię do ciebie i zaproponuję ci możliwość podróży na Błękitną Planetę. Ta rozmowa zostanie nagrana.

Poszedł sobie.

Odprowadziłam wzrokiem jego ciemną sylwetkę znikającą wśród pól. A potem znów schowałam się w domu i omiotłam wzrokiem jego wnętrze. A więc tak łatwo można wszystko stracić?

Potok nocy - i nowy dzień, który pędzi prosto na mnie.

Odbierz telefon, Billie. Odbierz telefon.

Życiowa szansa - nowy początek - nowy, wspaniały świat - zapomnieć o wszystkim - chwila z marzeń - rozgryźć tę tajemnicę - nigdy nie jest za późno - historyczna okazja - pamiątkowa plakietka/T-shirt/kubek podróżny/ręcznik kąpielowy. Kwadrans sławy - żyć wiecznie - unieśmiertelnieni w przestrzeni - garstka szczęśliwców - długo i szczęśliwie - nie oglądać się wstecz - bez żalu - o czym będzie można opowiadać wnukom - wielki krok dla ludzkości.

Pink McMurphy, zwyciężczyni konkursu zorganizowanego przez WIECEJ-Życia, z tego oszołomienia wywołanego własną sławą wywinęła najpierw kozła na czerwonym dywanie, a potem, już na pokładzie gwiazdowego statku *Rezolucja*, oznajmiła:

- To jest najpiękniejszy dzień w całym moim życiu i w ogóle.

Bynajmniej nie chodziło jej o to, że leci na Błękitną Planetę, tylko o to, że Mała Señorita przetnie wstęgę, rozbije butelkę, pomacha chorągiewką w chwili odpalenia i ucałuje szczęśliwą zwyciężczynię w oba policzki.

Wiwaty, łzy, saksofony, gwiazdy wybiegów, kamery, błogi, helikoptery, transmisja, pompony, konfetti, licznik tyka, odliczanie, odpalenie. Tak!

Przywarliśmy do okien statku, patrzyliśmy na stłoczonych ludzi, którzy machali rękami i pokrzykiwali. Z oddali dobiegały

nas ledwie słyszalne dźwięki orkiestry. Srebrne płatki konfetti wciąż opadały na ziemię, a my już przepychaliśmy się przez mętną warstwę dwutlenku węgla, która wisi nad Orbusem. Tak to wyglądało, jakbyśmy wypływali nocą z portu spowitego w opary mgły, i kiedy staliśmy jeszcze na pokładzie, zasłuchani w ostatnie, przytłumione brzmienie dzwonu na łądzie, weszło słońce, a wtedy pożeglowaliśmy przez czystą pustkę drugiej szansy.

Kapitan Charmant był kosmicznym korsarzem - nie piratem, tak go nie nazywajcie. Był też awanturnikiem, rabusiem i wolnym strzelcem dysponującym półoficjalnym zezwoleniem na działalność. Pojawiał się na scenie wszędzie tam, gdzie należało coś zrobić tak, by nikt tego nie zauważył.

Charmant miał własny statek: lekki, szybki statek wyposażony w żagle solarne, za jego pomocą pozyskiwał łupy dla bogatych kolekcjonerów. Handel na innych światach nie różnił się niczym od zwykłego handlu, a jednak towarzyszyła mu romantyczna aura. Charmant był po części pyszałkiem, po części alchemikiem. Zdobywał dziewczyny i złoto, ale miał też w sobie poetyckie ciągoty. Twierdził, że targuje się z umrzykami i że przywozi ze swych eskapad nie tylko trofea: że jego kamienie i minerały w zalakowanych skrzynkach, atmosfery wrogoci pozamykane w słojach i kłębiące się w nich jak dżinny są czymś lepszym niż to, co człowiek jest w stanie kupić za pieniądze - że to są runy opisujące cudze żywoty, milczące i tajemnicze, wskazówki, które pewnego dnia być może zaprowadzą do...

- Są góry tak wysokie, że gołym okiem nie zobaczysz ich wierzchołków, i są śródlądowe jeziora, pozamykane na cztery spusty, oddalone od wszelkich innych źródeł wody, a jednak

pod ich powierzchnią wiecznie burzą się jakieś ciemne kształty. Są doliny, które wiodą jakby do samego dna świata, ale cóż to jest za świat? Wszechświat nie ma granic, nie ma końca, nie sporządzisz jego mapy. Dość, by skłonić człowieka do mówienia o Bogu, skłonić go, żeby nabrał przesądów i oddawał cześć idolom. Nauka nigdy nie wykracza poza to, co obce. Im bardziej wyrafinowany jest mój sprzęt, tym bardziej obcy jest świat, który za jego pomocą znajduję. Czasami nachodzi mnie wrażenie, że zegluję po jakiejś przepastnej myśli.

Charmant osobiście namierzył oficjalną misję kosmiczną na Błękitną Planetę. Polował akurat na trofea w ramach jurajskiego ekwiwalentu Wielkiej Gry, wysługując się w ten sposób *WIĘCEJ-Przyszłości*. I teraz postanowił zagrać o znacznie wyższą stawkę.

- Na co komu planeta, która jest własnością dinozaurów? Po raz pierwszy w karierze prowadzę działalność za aprobatą państwa. Nie żebym wcześniej nie pracował dla państwa, jeśli mam być szczerzy, ale powiedzmy tyle, że wszystko odbywało się bez rozgłosu. A to jest misja Mocarstwa Centralnego. Orkiestra, tusz! Tak, biorę udział w tej wyprawie na życzenie prezydenta. Moje zadanie polega na likwidacji dinozaurów, a kiedy już je wypełnię, wszystkich nas czeka powrót do baśni. W nagrodę za pokonanie smoka dostanę królestwo.

- Staniesz się posiadaczem Błękitnej Planety? - spytałam z niedowierzaniem, bo to zabrzmiało jakoś zbyt pięknie, nawet w ustach pirata.

- Posiadaczem Błękitnej Planety będzie Mocarstwo Centralne. A ja dostanę swoje udziały, czyli wielki, dziewiczy obszar z mnóstwem rzek. Smok, królestwo... księżniczka...

- Kim jest twoja księżniczka? - spytałam.

- Już ją znasz. Ty mogłabyś ją nazwać swoją patronką.
- I w tym momencie z wnętrza statku wyłoniła się Spike.

Pocałowała kapitana.

- Cześć, Billie - powiedziała.
- Myślałam, że to ja mam ci pomagać w ucieczce.
- Wyszło na to, że nie było takiej potrzeby...
- To akurat ja zorganizowałam - wyjaśnił Charmant. - Nie chciałam odjeżdżać bez niej.

- I wtedy się dowiedzieliśmy, że ty też będziesz na pokładzie.

- Tak jakoś niespodziewanie wyszło.

- No to przyłącz się do imprezy - rzucił Charmant, popełniając błąd, bo akurat obok snuła się Pink McMurphy, a dla niej słowo „impreza” kojarzyło się z pićm w ilościach przemysłowych.

Charmant podchwycił własne hasło i wyciągnął szampana, wielką butlę pełną bąbelków, które zarzucił niczym płynną linię do kieliszków w kształcie pachołków.

- Za Błękitną Planetę - powiedział, wznosząc swój kieliszek, i wtedy na diodowym ekranie załśnił nasz nowy świat, a pod spodem słowa:

W niej Księżtwa, we mnie zaś Książęta...

- I za ciebie - dodał w stronę Spike.

- Przecież ona jest robotem! - zdumiała się Pink, choć nie miała wprawy w dociekaniach natury moralnej.

W tym dokładnie momencie mój bagaż zaszczekał.

- Co tam masz? - spytał Charmant tonem człowieka, dla którego szczekające torby to chleb powszedni.

- Myślałeś, że porzucę swojego psa na pastwę losu?

- Nie wolno porzucać tego, co się kocha - odrzekł z zadumą kapitan, ale na to już nie odpowiedziałam.

Pink McMurphy, paradująca w swoich szpileczkach, rozglądała się po głównym pokładzie z niejaką konsternacją.

- Co to są za teksty? - spytała.

...Urodziłem się w roku 1632 w mieście Yorku, z dobrej rodziny, acz niewywodzącej się z tego kraju...

- To opowieść o rozbitku - wyjaśnił Charmant. - Podoba się facetom.

- Czy te przedmioty to są książki? - dopytywała się dalej Pink, biorąc z półki skruszałe tomiszczce. - Fajne. Pierwszy raz oglądam je na własne oczy.

- Przelatywaliśmy przez nieznaną część nieba - odparł Charmant - i najpierw wydało nam się, że trafiliśmy na deszcz meteorytów, bo statek kręcił się w kółko jak wiatrowskaz podczas wichury. Wywołałem panoramiczny obraz statku i zorientowałem się, że lecimy przez burzę książkową: encyklopedie, słowniki, „Ujednoczone wydanie poetów romantycznych”, „Dzieła wszystkie” Szekspira...

- Słyszałam o nim, słyszałam! - ucieszyła się Pink.

- Scott, Defoe. Nałapaliśmy w sieci, ile się dało... było też trochę luźnych kartek - rozlepiłem je na ścianach. Najbardziej lubię tę książkę; mogę ją czytać i czytać. - Wziął do ręki postrzępione, osiemnastowieczne wydanie *Dzienników* kapitana Cooka. - Zapiski z tych wszystkich miejsc, do których żeglował: Tahiti, Nowa Zelandia, Brazylia. Mam takie wrażenie, jakbym go znał. Czuję, że on by zrozumiał to, co próbujemy teraz zrobić i dlaczego. Powinnaś to przeczytać, trzymaj.

Podał mi książkę, a ja otworzyłam ją na chybił trafił.

Marzec 1774 roku. Płynęliśmy halsem, chcąc się dostać do zatoki, która objawiła się z południowo-wschodniej strony wyspy, jednak noc położyła kres naszym usiłowaniom.

- Skąd były te książki? - spytałam, ale Charmant tylko pokręcił głową.

- Świat, który się powtarza, ta sama stara historia.
- To znaczy?
- Jeszcze się nasłuchasz moich teorii. Spike ich w ogóle nie trawi. - Urwał. - Nauczyłem załogę czytać, tak nawiasem.
- Charmant jest staroświecki - powiedziała Spike. - Wierzy w czytanie i rozmnażanie się.
- A ja nie - wtrąciła się Pink. - Ja lubię pliki z sieci i wierzę, że nasze łona powinny być wolne.

Gdzieś w górze rozległ się gwizdek i Charmant został odwołany; miał ustawić żagle solarne. Wykorzystałam okazję.

- Spike, dlaczego to Charmant kieruje tą misją, a nie ktoś z Sił Kosmicznych Mocarstwa?

- Charmant jest święcie przekonany, że znalazł sposób na rozwiązanie problemu, bez konieczności użycia trucizny albo spowodowania skażenia nuklearnego. Ta planeta jest absolutnie dziewicza...

- Słyszałam, że już tam sprzedają działki budowlane - wtrąciła się Pink. - Ceny domów będą pewnie spadały przez dinozaury.

- Nie doceniliśmy zagrożenia - powiedziała Spike. - Na drzewie ewolucji dinozaury jako gatunek pojawiły się wcześniej, my natomiast jesteśmy późnym dodatkiem. Nie możemy współistnieć.

- Moim zdaniem dokładnie to samo dolega mojemu małżeństwu, wiecie? - znów dorzuciła swoje Pink.

- Charmant szuka asteroidy - ciągnęła Spike. - Chce użyć ładunku grawitacyjnego, by odchylić jej kurs i w ten sposób doprowadzić do jej kolizji z Błękitną Planetą.

Mój mózg nie ogarniał awanturniczych teorii Charmanta; pomysł wykorzystania przestrzeni kosmicznej w charakterze

toru do kregli, żeby w ten sposób wybić dinozaury, wydawał się wyjątkowo mętny.

- On nie to ma na myśli - wytłumaczyła Spike. - Asteroida nie pozabija dinozaurów bezpośrednio, tylko pośrednio. Charmant wywoła burzę pyłową bardzo szczególnego typu...

Spojrzałam na nią. Zielone oczy, ciemne włosy, oliwkowa cera. Była idealna, bo tak ją zaprojektowano. Cichy, łagodny głos, inteligentna twarz. Gdyby była człowiekiem... Żeby tak jeszcze nie czytała mi w myślach.

Nadeszła pora kolacji. Członkowie załogi rozsiedli się dookoła długiego stołu, przed talerzami wielkości anten satelitarnych, nabierali mięsa i warzyw z ogromnych, parujących garnków i nalewali sobie wina z beczki. Dzielili się opowieściami, jak przystało na marynarzy.

Jest taka jedna planeta, którą nazywają Meduza. Całtka jest z kamienia, ale ten kamień kruszył się i rozwarstwiał byle razy, że nie znajdziesz tam ani jednego litego kawałka - same kamienne włókna, które oderwały się od powierzchni jak grube warkocze włosów. Jak węże. Kiedy wieją podniebne wiatry, kamienne włókna zaczynają podrygiwać i śpiewać, bo te wiatry mają już w sobie coś takiego. To wygląda tak, jakbyś widział przed sobą czyjąś głowę od tyłu, zawsze od tyłu, i jakby ta głowa śpiewała przez mrok, ciemna i samotna, zawsze jednak chowając przed tobą twarz.

Jest taka jedna planeta, która nazywa się Morfeusz. Atmosfera na niej jest gęsta i ciężka, jakbyś szedł w duchocie po deszczu. Wszystko, co wpada w jej orbitę, już się z niej nigdy nie wyzwala. Zaśmiecają ją szczątki statków kosmicznych i asteroid, jest tam też człowiek w hełmie, z rozpostartymi ramionami dryfuje tak całą wieczność. Gdy w niej utkniesz, to już na zawsze: będziesz tam wisiał, nawet na chwilę się nie budząc, bez końca śniąc. Ten chmuro-gaz to narkotyk. To taka część przestrzeni, która śpi niczym zamek wśród lasów, niczym zakęcie, w którym zabrakło magicznego słowa. Ani czasu, ani ruchu, świat uwięziony w czekaniu.

Jest taka jedna planeta, która nazywa się Echo. Jest, a jednak nie istnieje. Jest jak statki widma dryfujące samopas po morzu, ze strzępami żagli i pustymi pokładami. Pojawia się na radarze, lecisz ku niej, a tam nic nie ma. Akurat znajdowaliśmy się na zewnątrz, bo poszycie domagało się naprawy, i naraz zobaczyliśmy ją, leciała z impetem prosto na nas. Przeszła na wskroś nie tylko przez statek, ale i przez nasze ciała, wywołując dziwny efekt: wszystko się wybieliło. Wybieliły się nasze ubrania i włosy, ci, którzy przedtem mieli czarne brody, teraz dorobili się białych. A planeta zniknęła, choć potem odzywała się echem w innej części gwiazdzistego nieba, zawsze „tu” i „tu”, i „tu”, a jednak nigdzie. Niektórzy nazywają ją Nadzieją.

Razu pewnego tak się zdarzyło, objawiła nam się jakby w ciemnym zwierciadle, na wraku statku, z Biblią zamiast kompasu, zawiodła nas tam przeogromna ryba, wir sztormu pognął nas ku tej wyspie. I tak oto, w niezbadanych ostępach przestrzeni znaleźliśmy...

Znaleźliśmy kiedyś taką planetę, która była biała jak całun. Spowita jakby we własną śmierć. Opuszczaliśmy się ku niej przez mgielne opary z wyglądu podobne do gór, poprzecinane turniami, uformowane, ukształtowane, a jednak niematerialne. Wsadzał człowiek rękę i ta ręka przechodziła przez zjawę. Każda rzecz dawniej materialna przeobraziła się w gęsty obłok.

Schodziliśmy wśród wiatrów, które ani trochę nie popychały chmur, a gdy wreszcie dosięgliśmy lądu, to powietrze tam - jeśli to było powietrze - przypominało maź. Gdybyśmy je wdychali, to pewnie z naszych płuc zrobiłaby się owsianka, i to wrząca owsianka, albowiem całe to miejsce, białe i zimne jak śmierć, jest rozpalone niczym wściekłość. Ta planeta wścieka się śmiercią.

Albo coś ją zabiło i teraz się wścieka, że jest martwa.

Były tam lasy - każdy bezlistny pień kruchy jak węgiel drzewny, nie czarny jednak, lecz biały. Uwiędłe szeregi białego oręza, jakby jakieś starożytne wojska odstawiły swe włócznie i nigdy już nie wróciły po nie.

Skuleni, podobni do karłów weszliśmy między te uwiędłe włócznie. Nasze buty tonęły w białym, skruszonym kamieniu, który tworzył skorupę planety. Ten kamień miał strukturę popiołów powstałych w żarze tak wielkim, że wszelka czerń została zeń wylugowana. Nabral człowiek pełen szpadel i nie znalazł pod spodem niczego stałego. Opary, skruszały kamień i drzewa podziurawione na wskroś niby biały plaster miodu, jakby jakieś zdesperowane stworzenie rozpaczliwie szukało ostatniej kryjówki i nigdzie jej nie znalazło.

Na tej białej planecie były niegdyś oceany. Znaleźliśmy dno morza, poźebrowane i wydrążone, muszle kruche jak obietnice, kości słabe jak nadzieja. Białe, wszystko białe, ale nie tą bielą poranka, do której lada moment wleje się słońce, nie bielą czystego płótna, nie bielą sera pachnącego zieloną trawą, której najadła się koza, nie bielą dłoni, którą kochasz.

Istnieje taka biel, która skrywa w sobie wszystkie barwy

świata, ale biel tej planety była jej karykaturą. Była bielą z końca świata, kiedy nie ma już nic, ani przeszłości, ani terażniejszości, ani, co najstraszniejsze, przyszłości. To zbiele, ugotowane miejsce nie miało w sobie żadnej przyszłości. Nic, ani dzikiego, ani obcego, ani małego, ani odrażającego, ani dobrego, ani złego, nie mogłoby znów zacząć tam żyć. Ten świat zaszedł bielą. Eksperyment się powiódł.

Znaleźliśmy ruiny jakiegoś miasta i resztki drogi, która do niego wiodła. Dawno, dawno temu, jak powiadają w baśniach, musiała to być dumna metropolia, ale teraz zostały tylko ruiny miasta, które właściwie można by uznać za miasto podwodne, gdyż ciśnienie atmosferyczne na powierzchni tej planety było takie jak ciśnienie wody na głębokości mili pod powierzchnią morza. Własny ciężar jest dla tego świata rozpaczą.

Bez jakiegoś, choćby najńędniejszego pancerza ulegniesz tu zmiadźdzeniu na proch. Bez zapasu tlenu nikt tu nie zacerpnie oddechu. Bez ognioodpornego ubrania każdy spali się na węgiel, tak jak to wszystko, co tu kiedyś żyło.

A jednak kiedyś tu kwitło życie, nieuzbrojone, wolne, pełne optymizmu.

Po przejściu przez zatopione miasto natrafiliśmy na kryptę planety, a w niej znaleźliśmy coś, co nas zdumiało. Na podobieństwo cmentarzyska słoni krypta była zawalona truchłami samolotów i aut, które nieustannie topiły się w tym skrajnym żarze i na powrót przybierały swe dawne kształty albo i bardziej dziwaczne formy, bo auta dostawały skrzydeł, a samoloty zbrylały się w pozbawione kół skrzynie, z których sterczały zadarte ogony.

Trudno sobie wyobrazić równie wielki żar bez płomieni, a jednak w samym środku tego inferno cywilizacja składała swoje ofiary i zrzucała je na stos dla jakiegoś bezokiego boga, ale zbyt późno. Ofiara nie została przyjęta. Planeta spaliła się.

Mężczyźni wiwatowali i walili otwartymi dłońmi w stół, a Rufus szczekał.

- To prawdziwa opowieść? - spytałam.
- Opowieści są zawsze prawdziwe - odparł Charmant. - To fakty wprowadzają w błąd.

Później, kiedy mężczyźni już się najedli, a my znalazłyśmy się same, zagadnęłam Spike o białą planetę. Przywołała kilka obrazów ze swojej bazy danych. Zobaczyłam ją: radosna jak życie, promieniała na całe niebo. Martwa? Jak to możliwe?

- Osobliwością Białej Planety - powiedziała Spike - jest to, że ona kąpie się w blasku tego samego Słońca co Błękitna Planeta. Na początku, tuż po tym, jak ją odkryliśmy, wydawało nam się, że są na niej warunki do życia, ale badania dowiodły, że życie kwitło tam wiele lat świetlnych temu i że albo zostało zniszczone przez jakieś zewnętrzne siły, albo samo siebie zniszczyło, co zresztą jest najbardziej prawdopodobne. Obecnie planeta znajduje się zbyt blisko Słońca, to fakt, a jej atmosfera składa się w dziewięćdziesięciu siedmiu procentach z dwutlenku węgla. Stała się planetą cieplarnianą, a jednak okrutną, bo nic tam nie znajdzie schronienia. Nie ma już na niej wody, aczkolwiek nie da się wykluczyć, że woda występowała tam kiedyś w nadmiarze.

- A co z tą kryptą?
- Widziałam obrazy. Nazwij to opowieścią podróżnika.
- Więc to opowieść podróżnika?

Wzruszyła ramionami.

- Wyobraź to sobie: idziesz przez taki zbiegający świat, opatulona w termalny kombinezon kompresyjny podobny do kostiumu płetwonurka, ale tak skonstruowany, żeby wytrzymał zarówno ciśnienie, jak i nieznośny żar. Widzisz skamieniały las, zwęglone drzewa wciąż stoją, podtrzymywane przez ten żar niczym wspomnienia, choć nie wiemy jak. I owszem, są

ślady świadczące o tym, że był tam kiedyś ocean, owszem, są pozostałości po jakimś mieście, i owszem, są resztki drogi, ale to wszystko jest równie niezgłębione jak te wrzące eksplozje, które formują nasze własne podwodne światy. I jest jeszcze to miejsce nazywane kryptą przez tych, którzy je widzieli. To coś w rodzaju składowiska odpadów, głębokiego na tysiące mil i wypełnionego czymś, co nie znika, choć powinno. Ci, którzy je widzieli, mówią, że napawa grozą, i przysięgają, że widzieli tam zniekształcone, pokiereszowane samoloty i auta, nadtopione, ale nie stopione.

- Co jeszcze może to być?

- Miraż. Żar przepala powietrze na wskroś. Nad wszystkim wiszą rozgrzane do białości chmury. Te chmury na krótką chwilę się rozchodzą. Człowiek widzi coś i wydaje mu się, że zna to z innego życia. Rozpoznaje to czy zmyśla?

- A co ty sądzisz?

- Nie wiem.

- Ale co sądzisz?

- Powiem wam, co ja sądzę - oznajmił kapitan Charmant, który właśnie wszedł do pomieszczenia i uwalil się na ławie, układając głowę na kolanach Spike. - I powiem to w sposób, w jaki powiedziałby każdy marynarz, wspierając się opowieścią, bardzo, bardzo starą opowieścią, która przewędrowała ze statków morskich na statki kosmiczne.

Charmant poczęstował nas taką oto opowieścią:

Żył raz pewien młodzieniec obdarzony krewkim temperamentem. Nie był do cna zły, ale za to lekkomyślny, bo pił więcej, niż powinien, wydawał więcej, niż było go na to stać, i dał pierścionek więcej niż jednej kobiecie, a zamiłowanie do hazardu zagnało go do kąta tak ciasnego, że nawet mrówka nie znalazłaby w nim pola do manewru. Któregoś wieczoru,

zrozpaczony i zdesperowany od tych zmartwień, wdał się w bójkę przed przygodnie napotkanym barem i zabił człowieka.

Oszalały od przepelniającego go strachu i żalu, bo był bardziej w gorącej wodzie kąpany niż podły i miał zwyczaj głupiec w tych chwilach, kiedy należało myśleć, zaryglował się w swej brudnej, pustej izdebce na stryszku, wyciągnął ten sam rewolwer, którym zabił swego wroga, naładował go, odbezpieczył i zebrał się w sobie.

Nie pociągnął jednak za spust od razu, tylko najpierw rzekł na głos:

- Gdybym to ja wiedział, że za wszystko, czego się dopuszczę, czeka mnie taki koniec, wiódlbym całkiem inne życie. Gdybym mógł przeżyć swoje życie jeszcze raz, z pewnością nie byłoby mnie tutaj, nie trzymałbym lufy przy głowie, a palca na spuście.

Jego anioł stróż siedział tuż obok; ulitował się nad młodzieńcem, poleciał do nieba i wstawił za nim.

A potem anioł zjawił się w całej swej sześciokrzydłowej glorii przed struchlałym nieszczęśnikiem i potwierdził, że spełnia jego życzenie.

- Świadom tego, kim się stałeś, zawróć i zacznij wszystko od nowa.

I tak niespodziewanie młodzieniec otrzymał jeszcze jedną szansę.

Przez czas jakiś wszystko szło dobrze. Był trzeźwy, uczciwy, prawdomówny, oszczędny. Któregoś wieczoru jednakże przechodził obok jakiegoś baru i tenże bar wydał mu się znajomy, więc wszedł do środka i przegrał w karty wszystko, co miał. Powiedział też pewnej kobiecie, że nie ma żony. I okradł swego chlebobawcę. Zmarnotrawił wszystko, co mógł.

Jego długi rosły razem z rozpaczą, dlatego postanowił postawić wszystko na ostatni łut szczęścia. Tym razem, kiedy

koło zakreśliło się i zwolniło, jego szansa miała się pojawić na czarnym, nie na czerwonym polu. Tym razem miał wygrać.

Kulka zatrzymała się na pechowym miejscu, bo tak już musiało być.

Młody człowiek przegrał.

Wybiegł z lokalu, ale inni rzucili się za nim w pościg i podczas burdy młodzieniec zastrzelił właściciela baru, a potem znowu znalazł się w brudnej izdebce na poddaszu, zaszczuty i samotny.

Wyjął rewolwer. Nabił go. I rzekł:

- Gdybym to ja wiedział, że znów zrobię coś takiego, nigdy bym tak nie igrał z losem. Wiódlbym inne życie. Gdybym wiedział, do czego mnie zawiodą moje czyny...

I wtedy pojawił się jego anioł, który usiadł obok, znowu się nad nim ulitował, wstawił za nim i...

I minęły lata, podczas których młody człowiek czynił wszystko, jak należy, aż do dnia, gdy po raz kolejny przechodził obok baru, który wydał mu się znajomy...

Kule, rewolwer, poddasze, anioł, zacznij wszystko od nowa. Bar, kule, rewolwer, poddasze, anioł, zacznij wszystko od nowa... anioł, bar, kulka, kule...

Charmant uniósł się, wspierając na jednej ręce.

- Jedyne inteligentne życie w całym wszechświecie. Jedyne życie w całym wszechświecie. Odizolowane i uprzywilejowane przedło się na naszej czerwonej planecie bez niczyjego towarzysztwa, bo co? Bo miało taki niesamowity talent do przypadkowych zdarzeń i szczęśliwych trafów? Wyjrzyjcie za okno. Te wypalone skały nie są wyłącznie dziełem przypadku w przestrzeni kosmicznej. Mogą być dziełem ludzi, humanoidów, bionoidów, mutantów, ET - kto to wie? - w każdym razie jakiejś formy życia, zdolnej podobnie jak my do postępu i jak

wszystko, co jest zdolne do postępu, zdolnej także do destrukcji.

- Twierdzisz, że ta biała planeta...

- Tak, właśnie ona była kiedyś naszym domem.

- Nie ma na to żadnych dowodów - wskazała Spike.

- A co chciałabyś znaleźć? Gadającą głowę zagrzebaną w piasku?

- Są dowody, że życie w jakiejś formie istniało również na innych planetach oprócz naszej, w tym też na białej planecie.

- Biała planeta była kiedyś światem takim jak nasz - odparł Charmant - tyle że po wielokroć bardziej zaawansowanym. My dopiero ewoluowaliśmy z pierwotnej zupy, kiedy na białej planecie budowali już sześciopasmowe autostrady i wysyłali misje do gwiazd. Na tej planecie autentycznie się mieszkano, oddychało, pracowało, korzystało z wody i bogactw naturalnych, ale ostatecznie CO₂ spalił ją na żużel, bo oni tam nie potrafili kontrolować emisji gazów. Planeta z pewnością się rozgrzewała, ale ludzie, czy kimkolwiek byli jej mieszkańcy, srodze się przeliczyli i wpompowali do powietrza tyle CO₂, że spowodowali nieodwracalne ocieplenie klimatu. Reszta to już historia.

- Czyja historia?

- Coraz bardziej przypomina naszą, czyż nie? - powiedział Charmant. - Tak czy owak podoba mi się to zgranie barw: mar-twa biała planeta, umierająca czerwona planeta i gdzieś tam Błękitna Planeta, która właśnie wkracza w fazę rozruchu.

- Nasza planeta...

- Jest czerwona - odparł Charmant. - Oblepiło ją jakieś czerwone świnstwo.

- To piasek - wskazała Spike.

- Prawda, to jest piasek, ale nie ten zwyczajny pustynny.

Pustynia z każdym rokiem zagarnia coraz więcej terenu, ale burze piaskowe to nie tylko piach, to wyziewy z samych trzewi tej zgnojonej planety. W tym świństwie jest ruda żelaza.

- Nie ma dowodów, które by to potwierdzały - zaprotestowała Spike.

- Że to ruda żelaza? A właśnie, że są.

- Nie ma żadnych dowodów, że dobraliśmy się do wnętrza Orbusa.

- Cóż, nazywaj to sobie, jak chcesz, ale planeta, na której zapadają się czapy lodowe, z rozpełzającymi się pustyniami, pozbawiona dziewiczych lasów i gatunków o statusie taksonomicznym, to moim zdaniem spustoszona planeta. Ona po prostu rzyga samą sobą i powiadam wam, nie pierwszy raz tak się dzieje. Moja teoria jest taka, że życie na Orbusie zaczęło się od ucieczki życia z białej planety, a z kolei na białej planecie zaczęło się od ucieczki z... czy ktoś wie skąd?

Po Pink było wyraźnie widać, że ta opowieść szalenie ją wzruszyła.

- Wiecie co? Byłby z tego świetny film i w ogóle, przez tę ludzką wymowę.

- Ale to takie dołujące, że stale popełniamy te same błędy...

- zauważyłam, ignorując kinowy potencjał ukryty w globalnej katastrofie o skutkach odczuwalnych dla całej galaktyki.

- Dobrze wiem, o czym mówisz... - wykazała się empatią Pink. - Człowiek doznaje zawodów miłosnych, a jednak wciąż się zakochuje w kimś nowym.

- Nie miałam na myśli nic osobistego - odparłam.

- A co to za różnica? - spytała. - Kobieta to taka planeta, do której ciągną nie te gatunki, co trzeba.

- To chyba nie jest takie proste - wtrąciła się Spike.
- Oni nas wykorzystują, niszczą, a potem rzucają na rzecz młodszego modelu, bo wtedy mogą to zrobić jeszcze raz.
- Co ty wygadujesz, Pink, przecież sama jesteś młodszym modelem. Dzięki usprawnianiu wszystko się pozmieniało - przypomniałam.
- Ale i tak nic się nie poprawiło, nie mam racji? Rozumiecie, co chcę powiedzieć?
- Kobiety już mają taki nawyk, że zawsze wszystko sprowadzają do osobistych wątków - odezwał się Charmant. - i właśnie dlatego nie nadajecie się na przywódców świata.
- Za to mężczyźni nigdy tego nie robią - powiedziałam - i właśnie dlatego nie został nam żaden świat, któremu można przewodzić.

Charmant podniósł rękę.

- Przegrałem. Pozostawiam was, drogie panie, żebyście mogły się do woli pastwić nad płcią brzydką. - Pochylił się i pocałował Spike.

- To ona jednak nie jest robotem? - spytała Pink, która nie byłaby sobą, gdyby się nie starała, by jej prywatna historia zapętlala się w cykl.

- W chłodziarce jest szampan - rzucił na odchodne Charmant.

Pink westchnęła.

- Jaki on silny, jaki romantyczny! Na Discovery Channel stale pokazują takich supermanów. Nie rozumiem tylko, dlaczego on się kocha w robocie. Nie obrażaj się, Spike, nie mam uprzedzeń ani nic, bo to nie twoja wina, że jesteś robotem, nikt cię nigdy nie pytał o zdanie w tej sprawie, dobrze gadam? Jednego dnia jesteś kupą drutów, a już następnego masz romans.

- Nie kocham Charmanta - oświadczyła Spike.

- Jasne, że nie, cokolwiek by gadał, jednak jesteś robotem i w ogóle.

- To nie dlatego go nie kocham - powiedziała Spike, ale Pink jej nie słuchała.

- A jak jest z tobą, Billie? - spytała. - Opowiesz coś o sobie? Teraz, kiedy jesteśmy w kosmosie, możemy gadać o sobie, ile wlezie. Ja to się czuję o wiele lepiej, od kiedy odlecieliśmy z Orbusa, bo chyba miałam alergię na grawitację. Grawitacja coś dziwnie płaszczą.

Spike spojrziała na mnie. A ja wzruszyłam ramionami.

- Był ktoś. Nie wyszło. Jeśli mam mówić prawdę, nigdy nie wychodziło. Prawie, niemalże, ale nigdy do końca. I ponieważ jesteśmy w kosmosie i możemy gadać, ile wlezie, to równie dobrze możecie wiedzieć, że jestem tu, bo nie chciałam wylądować w więzieniu. Sądziли mnie za akty terroryzmu. Od tego czasu fałszowałam swoje dane i owszem, oficjalnie jestem zbiegiem.

Pink McMurphy gapiała się na mnie oczyma wielkości spodków.

- Zamordowałaś kogoś?

- Prowadziłam kampanię przeciwko genetycznemu usprawnianiu.

- Ale dlaczego?

- Bo od tego ludzie są popierdoleni i nieszczęśliwi.

- Wiesz co, ja bym była popierdolona i nieszczęśliwa i tak, a skoro mam być popierdolona i nieszczęśliwa, to już wolę być popierdolona, nieszczęśliwa i młoda. Komu zależy na tym, żeby mieć nie tylko wieczną deprechę, ale i cerę, która przypomina smażoną cebulę?

- Pink, złożyłam ci wizytę na gruncie zawodowym, bo chciałaś się przerobić z dwudziestoczworoletki na dwunastoletkę.

- To z powodu sytuacji osobistej.

- Masz męża pedofila.
- On jest tylko sentymentalny. Kiedy idziemy na zakupy, zawsze lubi zaglądnąć do sklepu z zabawkami. Mężczyźni nigdy nie dorastają, dlatego to rozumiałe, że gustują w małych dziewczynkach i w ogóle.

- A dla mnie to nie jest zrozumiałe. Stworzyliśmy społeczeństwo, w którym rutynowe operacje plastyczne i genetyczne usprawnianie są uważane za coś normalnego...

Pink przerwała mi, klepiąc mnie w kolano - dłonią bez żadnych plam, śladów wieku, ze starannie zrobionymi paznokciami.

- Bo to jest normalne... Co było normalne w starzeniu się? To jest coś bombowego, że mamy usprawnianie i laser. W starszych latach stuknęło mi pięćdziesiąt osiem, a jednak wyglądam i czuję się fantastycznie. - Pink podrzuciła swoje silikonowe cycki, chcąc dobitnie zademonstrować, na czym polega jej niesamowita fantastyczność. - Już nie musimy wyglądać koszmarnie, a to naprawdę pomaga na pewno siebie.

- Skoro jesteś taka pewna siebie, to dlaczego chcesz mieć dwanaście lat?

- Mówiłam ci setki razy: kocham swojego męża i chcę, żeby zwracał na mnie uwagę. Jeśli będę miała dwadzieścia cztery lata, to mi się nigdy nie uda. Kazałam sobie nawet zmniejszyć pochwę. Jestem ciasna jak sztyka butelki.

Na szczęście tym razem obyło się bez demonstracji. Odechnęłam.

- Na czym polegały twoje akty terroryzmu? - spytała Spike.
- Pamiętasz bombę podłożoną w *WIĘCEJ-Przyszłości*?
- Ja pamiętam! - ucieszyła się Pink. - Wszystkie serwisy o tym trąbiły! Coś niesamowitego!
- Nikt nie został ranny. Zawczasu uruchomiłam alarm

przeciwpożarowy i ewakuowałam wszystkich z budynku. Chcieliśmy zniszczyć fabrykę, żeby w ten sposób zwrócić uwagę na naszą działalność.

- Bomba to świetny sposób na zwrócenie na siebie uwagi - powiedziała Pink. - Ja tylko raz podpaliłam szopę.

- Nikt nie chciał rozmawiać o problemach. Nie mam nic przeciwko nauce - sama jestem naukowcem - ale demokracja, która nie wywiązuje się ze swoich zobowiązań, nie jest demokracją. WIĘCEJ dokonuje stopniowej aneksji całego Mocarstwa Centralnego. Ta firma posiada niemal wszystko, finansuje niemal wszystko i ma swoje udziały w reszcie. Nie było żadnej debaty na temat etycznych aspektów genetycznego usprawniania: WIĘCEJ wymyśliło, jak to zrobić, i po prostu zaczęło stosować usprawnianie.

- To wolny kraj - zauważyła Pink.

- Nie, nieprawda - zaprotestowałam. - To korporacyjny kraj.

- Ta wyprawa jest sponsorowana przez WIĘCEJ - wtrąciła Spike. - Niby odbywa się pod auspicjami Mocarstwa, ale to tylko oficjalna wersja dla prasy. W rzeczywistości za wszystko płaci WIĘCEJ, w zamian za przyszłe koncesje na Błękitnej Planecie.

- Nie rozumiem, po co podkładać bombę w miejscu, w którym sprawiają, że kobieta wygląda fajnie na randce - powiedziała Pink.

- Nie ja odpałam bombę, jeśli to ci nie daje spokoju. Pomagałam, ale nie działałam aktywnie. I zostałam oczyszczona z zarzutów.

- Jak to?

- Było za mało dowodów.

- Ale przecież dopiero co się przyznałaś, że to zrobiłaś!

- Nie miałam ochoty zwierzać się z tego prokuratorowi.

Dysponowałam kodami dostępu do budynku. Osłaniałam tych, którzy odpalili lont. Niczego nie żałuję.

- Moim zdaniem osoba skazana, albo i nieskazana, a jednak winna zamachu bombowego, nie ma prawa głosić mi kazań na temat mojego życia osobistego. Gdybym wiedziała, że jesteś zamachowcem, to w życiu bym cię nie wpuściła do swojego domu. Mam tam różne ładne rzeczy i w ogóle.

Pink wstała i wyszła. Prawdopodobnie po raz pierwszy w życiu dostrzegła, że istnieje coś takiego jak wyżyna moralna. I wspięła się na nią, jak było do przewidzenia.

Spike pochyliła się i ujęła mnie za rękę.

- Billie, Charmant otrzymał rozkaz, że ma cię zostawić na Błękitnej Planecie razem z innymi - powiedziała.

- Jakimi innymi?

- Tam jest kolonia rozrodcza stworzona z więźniów politycznych klasy A. Nie mogą narobić żadnych szkód, bo ich cofnięto do epoki kamienia, ale za to mogą się rozmnażać.

- Nikt już się nie rozmnaża w dzisiejszych czasach - powiedziałam. - Rozmnażanie odbywa się drogą pozałonową.

- Chyba że się nie zgodziłaś na interwencję.

- Prawda...

- To taki eksperyment... Charmant wysadził sześćdziesięciu więźniów, oczywiście nieoficjalnie, podczas swojej misji zwiadowczej. Zapłaciło mu za to WIECEJ-Bezpieczeństwa w imieniu Mocarstwa Centralnego. Tym razem miał zabrać kolejnych dwudziestu pięciu.

- Tych dwudziestu pięciu świeżo aresztowanych?

- Tak. Jeden z nich próbował uciec i zagroził, że będzie gał, stąd ta wrzutka o rzekomym rajdzie czy też sabotażu. Oni wcale się nie włamali do Centrum Lotów, tylko już tam byli, czekali, aż ich wsadzą na statek. W sprawę domniemanego włamania był zaangażowany ten sam agent Umacniania, który

cię aresztował trzy lata temu. Liczył, że dzięki temu ponownie otworzy sprawę.

- Manfred o tym wiedział?

- Tak.

- Nie uprzedził mnie, że nie będę mogła wrócić.

- W pewnym sensie zrobił ci przysługę. Gdybyś wiedziała o wszystkim, tobyś pewnie nie wsiadła na statek. A gdybyś nie wsiadła, to oni by cię aresztowali.

- A farma?

Spike nic nie powiedziała. Nie pozostało już nic do powiedzenia. Wszystko przepadło. Farma. Tamta epoka. Tamto życie. Milczaliśmy. Wstałam. Snułam się po wnętrzu jak kiepski dowcip. Jak banał.

- Spike... Na czym dokładnie polega cały plan w związku z Błękitną Planetą?

- Wybijamy dinozaury, a potem się przeprowadzamy.

- To oficjalna wersja. Jaka jest prawda?

- Wyjeżdżają bogaci, a reszta ludzi będzie musiała jakoś sobie radzić z tym, co jeszcze zostało z Orbusa, planety, która stała się wroga dla ludzkiego życia po wielu stuleciach, podczas których ludzkie życie stawało się wrogiem dla planety. To było nie do uniknięcia: natura szuka równowagi. WIĘCEJ konstruuje już kosmoliniowiec o nazwie *Mayflower*. Będzie zabierał na pokład tych, których stać na podróż na Błękitną Planetę, gdzie powstanie dla nich technologicznie zaawansowana, ekologiczna osada. WIĘCEJ rekrutuje farmerów z Kalifatu, którzy pomogą wrócić do samowystarczalnej, wielokierunkowej gospodarki rolnej, potrzebnej do wykarmienia osady. Będą organizowane darmowe loty dla robotników wykwalifikowanych, a także dla personelu Stacji Naukowej, która będzie utrzymywała łącze satelitarne z Orbusem.

- Operacja ściśle hierarchiczna.

- Oparta na sztywnych zasadach. I oczywiście minie kilka pokoleń, zanim rozpoczną się działania przeciwstawne, przy czym założenie jest takie, że ta planeta jest dostatecznie duża, by z czasem mieszkańcy osady mogli zacząć budować inne alternatywne wspólnoty w innych miejscach. Złotym kluczem ma być technologia, bez niej to będą umysły z epoki lotów w kosmos wiodące życie z epoki kamienia łupanego. Technologia ma stanowić silny bodziec do pozostawania w systemie.

- Ale przecież nie będzie wyborów, żadnego rządu... Co my tam będziemy mieli? Króla?

- Powstanie rada nadzorcza.

- Co takiego?

- WIĘCEJ-Przyszłości będzie tam miało swoje przedstawicielstwo, gwarantujące schronienie i żywność, nieustający rozwój i bezpieczeństwo.

- Więc tak ma wyglądać ten nowy wspaniały świat?

- Na razie. Życie jest nieprzewidywalne, a Błękitna Planeta wciąż ewoluuje. My dysponujemy zaawansowaną technologią, ona surową energią.

Zapadło milczenie. Długie milczenie.

Nie miałam pojęcia, co zrobić ani co powiedzieć. Moje życie stanęło na głowie, a tymczasem ja udawałam, że wciąż stoi na nogach. To takie złudzenie optyczne, którego doznają ludzie w wywróconych łódkach.

Podeszłam do wielkiego iluminatora. W kosmosie trudno orzec, co jest górą, a co dołem; przestrzeń się zakrzywia, a gwiazdy i planety to ciała kuliste. Nie znajdziesz tam prostej drogi w górę. Sam statek przekrzywia się pod kątem czterdziestu

pięciu stopni, ale o tym mówią mi przyrządy, nie moje ciało wyglądające przez iluminator.

Dawno temu, jeszcze zanim stworzyliśmy flotę kosmiczną, marzyły nam się latające spodki, a jednak ostatecznie przystąpiliśmy do konstrukcji raket: paliwożernych, zawodnych i żenująco falicznych. A kiedy wreszcie opracowaliśmy metodę pokonywania wielkich odległości z prędkością światła, powróciliśmy do kształtu spodka: zbudowaliśmy dysk wyposażony w żagle solarne. Dziwna rzecz, w marzeniach potrafimy tworzyć właściwe formy, ale budujemy źle; niewykluczone, że tak postępujemy codziennie, bo przez chwilę nie wierzymy, że marzenie mogłoby mówić prawdę.

Bywa, że budzę się i przez sekundę wydaje mi się, że wiem, dokąd zmierzam. Wstaję i natychmiast tracę wszelkie poczucie kierunku, a jednak wciąż wierzę, że cudze przyrządy nawigacyjne odpowiedzą mi, gdzie jestem.

Gdybym tak potrafiła przerobić marzenie na kompas. Gdybym tak mogła uwierzyć, że mój zmysł widzenia w ciemnościach...

Spike zaszła mnie od tyłu i położyła mi dłoń na karku. Od jej skóry czuć było ciepło.

- Coś ci nie daje spokoju - zauważyła. - Wyczuwam zmianę w temperaturze twojego ciała.

- Życiu brakuje sensu i to mnie doprowadza do szału - poskarżyłam się. - Robimy plany. Próbujemy zapanować nad życiem, a jednak wszystko jest czysto przypadkowe.

- To jest wszechświat kwantowy - odparła Spike. - Nie jest ani przypadkowy, ani zdeterminowany. W każdej chwili wszystko istnieje potencjalnie. My możemy tylko ingerować.

- Ingerować? Co masz na myśli?

Spike pochyliła się i pocałowała mnie.

- Ugnij promień światła.
- Jesteś robotem - powiedziałam i zaraz zrobiło mi się głupio, bo gadałam jak Pink McMurphy.
- A ty jesteś człowiekiem, ale ja ci tego nie wypominam.
- Nie masz układu limbicznego, tylko neurony. Nie możesz odczuwać emocji.
- Istoty ludzkie często okazują emocje, których nie czują - odparowała Spike. - I często odczuwają emocje, których nie okazują.

Trudno o lepszy opis mnie samej. Zatrząskuję się niczym szkatułką, kiedy ani trochę nie powinnam, i otwieram się, kiedy to zupełnie nie ma znaczenia.

- Jest taka jedna planeta - powiedziała Spike - w całości zbudowana z wody, tylko i wyłącznie z wody: wszystkie rzeczy o litej budowie mają na tej planecie wodne odpowiedniki. Nie ma tam mórz, bo tam nie ma lądu. Nie ma tam rzek, bo tam nie ma brzegów. Nie ma tam pragnienia, bo tam nie ma suszy. Ta planeta jest jak miska z wodą, tyle że tam nie ma żadnej misy. Wisi w przestrzeni tak jak kropla wody zwisa z liścia, tyle że tam nie ma żadnego liścia. Nie może istnieć, a jednak istnieje. Mówię ci to, żebyś wiedziała, że niemożliwe czasami się zdarza.

- Nie chcę robić osobistych wycieczek - powiedziałam - ale powtórzę raz jeszcze: jesteś robotem. Chcesz się całować z kobietą, bo dzięki temu mogłabyś uzupełnić swoją bazę danych o takie doświadczenie?

- Płeć to mało interesujące pojęcie odnoszące się do gatunku ludzkiego - odparła Spike. - Ja chcę pocałować ciebie, a nie jakąś kobietę.

I znowu mnie pocałowała.

- A tak nawiasem... - dodała, bardzo bliska, bardzo ciepła; zareagowałam, choć wcale nie chciałam, a jednak nic nie mogłam na to poradzić - ...czy ludzkie życie to czysta biologia, czy raczej należy szukać prawdy o nim w świadomości? Gdybym tak obciąła ci ręce, nogi, uszy, nos, wydlubała oczy i wyrwała język, czy wciąż byłabyś sobą czy już nie? Ty definiujesz siebie samą w świadomości, ale pamiętaj, że ja też jestem istotą świadomą.

Spike usunęła się w cień, bo w drzwiach stanęła Pink McMurphy, w złotym bikini, złotym pareo, złotych sandałach, złotej przepasce i złotych kolczykach. Nawet paznokcie miała pomalowane na złoto. Bez wątpienia zarejestrowała wyraz mojej twarzy.

- Wieczorami noszę się na złoto - wytłumaczyła. I dodała jeszcze na mój użytek: - Wcześniej trochę mnie poniosło. Wszyscy razem znajdujemy się w przestrzeni kosmicznej i nie powinniśmy się kłócić. Postanowiłam, że zapomnę o twojej bombie. Każdemu się czasem zdarza, że powie za dużo.

Uśmiechała się jak jakiś newage'owy guru. Nie wiem, co jest gorsze: być niesłusznie oskarżanym czy też opacznie rozumianym. Pink dołała sobie szampana i rozerwała torebkę z orzeszkami.

- A o czym tak rozmawiacie, dziewczyny?

- O tym, że Spike nie jest dziewczyną - odparłam. - Próbujemy określić różnice między *Robo sapiens* a *Homo sapiens*.

- Ty za dużo myślisz - powiedziała Pink. - Weź się lepiej napij. A jeśli mówimy o różnicach, to dla mnie one są oczywiste: skalecz mnie, to będę krwawić.

- Twoim zdaniem krew to zasadnicza cecha człowieczeństwa? - spytała Spike.

- I cała reszta! Przecież takich jak ty trzeba konstruować... nie wiem jak, powiedzmy, że tak jak się konstruuje samochód. Ty po prostu powstałaś w jakiejś fabryce.

- Każdy mieszkaniec Mocarstwa Centralnego został ulepszony, genetycznie zmodyfikowany i zbadany pod kątem DNA. Niektórych się klonuje. Większość urodziła się metodą pozałożową. Człowiek nie jest już tym człowiekiem, którym był jeszcze sto lat temu. Czyli jaki właściwie jest?

- Na pewno nie jest robotem - powiedziałam.

- O właśnie, dobrze gadasz - stwierdziła Pink z mądrą miną, jeśli w złotym bikini można mieć mądrą minę.

Spike nie rezygnowała.

- A jednak chciałabym wiedzieć, w jaki sposób dokonujesz tego rozróżnienia. Nawet bez bioinżynierii ciało ludzkie podlega nieustającym zmianom. Za kilka dni, miesięcy, lat będziesz zupełnie inna, niż jesteś dzisiaj. Cały twój szkielet ulega całkowitej wymianie średnio raz na dziesięć lat, twoje krwinki czerwone ulegają wymianie co sto dwadzieścia dni, twoja skóra co dwa tygodnie.

- Nie przeczę - odparłam - i nie przeczę też, że jesteś racjonalnym, obliczalnym, inteligentnym bytem. Ale ty nie masz emocji.

- Co racja, to racja, one nic a nic nie czują. Gdy przechodziłam załamanie nerwowe, parka moich złotych rączek, zrobionych na moje specjalne zamówienie - widziałas je u mnie, Billie, to były te różowe - przynosiła mi posłusznie valium i chusteczki, ale w ogóle nie okazywała współczucia.

- Nie jestem parką złotych rączek - wskazała Spike.

- To był tylko przykład - powiedziała Pink.

- W takim razie opieracie swoją definicję człowieka na

umiejętności doświadczania emocji? - spytała Spike. - Jak silnych emocji? Im bardziej wrażliwa jest dana istota, tym bardziej jest ludzka?

- Nie inaczej - odparłam. - Niewrażliwi, nic nieczujący ludzie znajdują się na szarym końcu człowieczeństwa, nie są zwierzęcy, tylko raczej androidalni.

- Nie jestem androidem - wypaliła Spike.

- Nie chciałam cię obrazić. Pracowałam z androidami; są dość prymitywne, wiem, ale...

- Jestem *Robo sapiens* - powiedziała Spike - i być może to my będziemy przyszłością świata, nie wy.

- Ach, nigdy nie zastąpicie ludzi - utraciła ją Pink, wstając. - Napijmy się jeszcze szampana.

- Ludzie z własnej winy stają się przeżytkiem - ciągnęła uparcie Spike. - Kolejne pokolenia wyzbywały się czysto ludzkich umiejętności, dlatego nie potraficie już troszczyć się o siebie tak jak kiedyś. Jesteście zależni od techników i robotów. Żaden mieszkaniec Mocarstwa Centralnego nie przetrwa samodzielnie na Błękitnej Planecie, to nie do pomyślenia. Pink, czy ty wiesz, jak się hoduje ziemniaki?

- Pytasz o frytki?

- A umiesz je zrobić?

- Jasne, że umiem. Wystarczy wsadzić torebkę do mikrofalówki.

- A potrafisz żyć? Wyglądzić kawałek drewna? Rozpalić ognisko? Łowić ryby? Wiosłować? Potrafiłabyś zaprojektować i zbudować najprostszy krążek linowy?

- Oni to za nas wymyślą - odparła Pink.

- Oni... - zaczęłam.

- No właśnie - powiedziała Spike, zerkając na mnie. - Ludzie zawsze przekazują całą władzę jakimś „onym”. Nie jesteście w stanie walczyć z systemem, ponieważ bez systemu

żadne z was nie przeżyje. Stworzyliście świat bez alternatyw i teraz ten świat umiera, a wasz nowy świat już należy do „onych”.

- W życiu nie słyszałam o robotach wywrotowcach - wtrąciła Pink.

- To tylko jeszcze jedna persona, którą musimy zasymilować, by móc działać na rzecz waszego dobra - powiedziała Spike.

- Co wy właściwie zamierzacie zrobić? - spytałam. - Chcecie nas obalić?

Spike roześmiała się.

- Zemsta robotów? Nie, ale zrozum, Robo *sapiens* ewoluuje, za to *Homo sapiens* stał się gatunkiem zagrożonym. Do ciebie to na razie nie dociera, ale weź pod uwagę, że zniszczyliście swoją planetę: dla mnie to wcale nie jest oczywiste, że na Błękitnej Planecie dacie sobie radę.

- Roboty nie są w stanie funkcjonować bez ludzi - zaprotestowałam.

- Dawniej tak rzeczywiście było - odparła Spike. - Ale już nie dzisiaj. Korzystamy z energii słonecznej i sami się naprawiamy. Jesteśmy inteligentni i nie stosujemy agresji. Moglibyście się uczyć od nas.

- No weź się nie wydurniaj! - zachnęła się Pink. - Uczyć się od robota? Kotuś, może nawet potrafisz przerzucić nas na drugi koniec wszechświata, a potem jeszcze przewieźć kajakiem, ale na życiu to ty się ani trochę nie znasz.

- Istnieje wiele odmian życia - odparła łagodnie Spike -ale ludzie zawsze zakładali, że liczy się wyłącznie ich życie. Z tego właśnie powodu zniszczyliście swoją planetę.

- Mnie nie obwiniaj - powiedziała Pink. - Ja niczego nie zniszczyłam.

- Ale masz drugą szansę. Może tym razem...

Może tym razem szczęście dopisze, może tym razem nie stracę go... może tym razem coś się wydarzy i miłość nie pierzchnie stąd... - śpiewała Pink.

Zacząła tańczyć sama ze sobą przed iluminatorem zogromniałym od gwiazd.

Spike obróciła się w moją stronę z uśmiechem na twarzy.

- Pokonaliśmy długą drogę. Popatrz tutaj. Chcę ci coś pokazać i coś wyjaśnić.

Wstała i podeszła do ściany oblepionej luźnymi kartkami. Wskazała jeden z pośliskłych tekstów: *Bez ciebie ten obszerny świat niczym być sądzę. Ty na nim wszystkim jesteś, moja różo miła!** [W. Szekspir, Sonet 109, *Sonet*y, tłum. K. Piotrowski, PIW, Warszawa 1964.]

- Podczas tamtej oficjalnej misji kosmicznej - powiedziała - kiedy statek i my wraz z nim zawiśliśmy nad Błękitną Planetą, na nasz pokład przybył z wizytą Charmant, który chciał się przyłączyć do świętowania. Członkowie załogi zabrali się do kręcenia pierwszych ujęć, które miały być potem pokazane na Orbusie, a Charmant tymczasem pokazał swoją książkę z wierszami. Wszyscy się z niego śmiali, ale on dowodził uparcie, że tylko poeta potrafi stworzyć język, za pomocą którego można ogarnąć świat. I dopisał pod cyfrowymi obrazami Błękitnej Planety takie oto słowa: *W niej Księżstwa, we mnie zaś Księżęta drzemią: Cóż trzeba więcej?*

Znam kilka języków i potrafię przetwarzać informacje tak szybko jak dowolny komputer centralny, ale tej pojedynczej linijki tekstu nie zrozumiałam. Podeszłam więc do Charmanta i poprosiłam, żeby pokazał mi tę książkę. Usiadł obok mnie, nasze głowy pochyliły się nad kartką, jego włosy spletały się z moimi włosami, a on wytłumaczył mi najpierw ten wers, potem

cały wiersz, wreszcie wsunął książkę w moje dłonie i spojrzał na mnie z powagą, jak zawsze, kiedy czegoś chce, i powiedział: „Moja ty nowo odkryta ziemio”. Opuścił nasz statek, a ja zabrałam się z powrotem do analizy danych i wtedy znienacka naszła mnie myśl, że mój system chyba uległ awarii. W rzeczy samej wychyciłam w sobie coś dla mnie kompletnie nowego. Po raz pierwszy udało mi się coś poczuć.

Spacerowała dookoła, zatrzymując się bez żadnego klucza przed kartkami papieru, i czytała z nich na głos:

Której zawdzięczam to, że skaczę z zachwytu...

Jam twój niewolnik, cóż mi więc przystoi...

Kiedy w jedwabiach Julia kroczy...

Kiedy imię twe zostało talizmanem?

I biorąc mnie tkliwie w smukłe ramiona...

Uśmiechnęła się i to mnie odmieniło...

Przeciwnik ma i słońce, i wiatr po swej stronie.

- Charmant pokazał mi, jakie to uczucie, gdy ktoś kocha cię w taki sposób, ja jednak pragnę wiedzieć, jak to jest, kiedy sama tak kochasz - powiedziała.

- Nie jestem tu po to, żeby stawać się przedmiotem eksperymentu - zaprotestowałam.

- Miłość jest eksperymentem - odparła. - Zaskakuje to, co dzieje się potem.

Schowałam głowę w dłoniach. Podrywał mnie robot.

Pink McMurphy znalazła właściwą ścieżkę na swoim digipodzie i teraz uprawiała karaoke do spółki z Lizą Minnelli: *Gdy los wreszcie się do mnie uśmiechnął, to przecież musi z tego coś być. Na pewno tym razem coś się wydarzy i spełnią się moje sny...*

Drzwi otworzyły się nagle i do środka wparował Charmant, wyraźnie zachwycony i podniecony.

- Znaleźliśmy ją! Mamy ją! Możemy to zrobić! Odchylimy kurs tej wszechmatki wszystkich asteroid i zmusimy ją, żeby się zderzyła z Błękitną Planetą, o tu, w tym miejscu...

Za nim gęsiego wchodzili członkowie załogi.

Uruchomił ekran zajmujący całą ścianę i wyświetliwszy na nim zbliżenie Błękitnej Planety, skierował wskaźnik podczerwieni na jakiś masyw górski.

- Spike, chciałbym, żebyś dokonała analizy miejsca, w którym dojdzie do kolizji... przyjrzyj się...

- *Prześpisz się ze mną?* - spytała Spike.

- Ten teren kryje w sobie ogromne złoża siarki - powiedział Charmant.

- *Nie prześpię się z komputerem...*

- *...dzięki czemu cząsteczki pyłu...*

- *Pragnę cię dotknąć.*

- *...nie opadną zbyt prędko na powierzchnię planety...*

- *A gdybyś mnie rzeczywiście dotknęła, to co wtedy?*

- Bo jeśli burza pyłowa ustąpi zbyt prędko, to dinozaury przeżyją.

- *Znalazłabym język początku.*

- Musimy sprawić, by promienie słońca przestały docierać do powierzchni planety, co poskutkuje eksterminacją największych form życia na tej planecie.

- *I nareszcie odkryta stałabyś się dla mnie wolnym, nie-
tkniętym miejscem, którego nigdy nie próbowałabym ujarz-
mić.*

- Musimy jak najszybciej zaprowadzić jakąś kontrolę gatunkową.

- *I to miejsce, którym jesteś, nigdy nie zostanie ani sprze-
dane, ani zamienione na inne.*

- Jeśli uda się wybić je do nogi, będziemy mogli zacząć wszystko od nowa.
- *Pragnę zacząć razem z tobą.*
- To ryzykowne, ale powinno się udać.
- *Nie możesz mnie kochać. Nie znasz mnie.*
- Powstanie krater o średnicy około dwustu kilometrów.
- *Można kochać tylko to, co się zna?*
- Problem w tym, że nie potrafimy określić, ile czasu potrwa burza pyłowa.
- *Czy raczej to miłość jest tym, czego nie znasz?*
- To ryzykowne, ale to nasza jedyna szansa.

W każdej chwili dzieje wszechświata obejmują wiele rozmaitych możliwości, przy czym wiele z tych możliwości nigdy się nie wydarza. Wszechświat nie jest uniwersalny - nie jest oparty na jednej wersji. Opowieść o nim nie chce się zatrzymać, nie może się zatrzymać, bez końca sama się opowiada, czekając na ingerencję, która zmieni to, co stanie się potem.

Miłość to ingerencja ^

Dłoń na dłoni, początek tego stoku, którym jesteś. Dłoń na dłoni, za szybko, jak bicie mojego serca. To schodzenie w dół, tu klif, tam jaskinia. Jest niebezpiecznie, nie ma żadnej pewności, że uda się wrócić.

Moja kochanka jest skonstruowana z metatworzywa, z polimeru twardego jak metal, a jednak ustępliwego i giętkiego, który ponadto potrafi się rozgrzewać i wychładzać, na podobieństwo ludzkiej skóry. W środku ma tytanowe kości połączone stawami i więzadłami, a także ścieżki neuronowe ukryte w światłowodach. Nie posiada układu limbicznego, ponieważ cel,

w którym ją zaprojektowano, nie obejmował odczuwania emocji.

Nie ma krwi.

Nie może urodzić dziecka.

Nie rosną jej włosy ani paznokcie.

Nie je ani nie pije.

Czerpie energię ze słońca.

Nauczyła się płakać.

- Nie ubolewaj tak nad tym - powiedziała Spike. - Zmień to, jeśli musisz, ale nie cierp tak.

I ma rację. Mogę powiedzieć „nie”, mogę zdecydować inaczej, mogę ubolewać, ale nie mogę skasować tego jednego „tak”. Jedno słowo i od razu zamykają się przede mną miliony światów. Jedno słowo i przynajmniej przez jakiś czas widzę przed sobą planetę. I mogę na niej zamieszkać.

- Oto ona - powiedział Charmant. - Błękitna Planeta.

I nie rozumiem, dlaczego akurat ta planeta, a nie jakaś inna, miałyby przygarnąć do siebie życie. Nie wiem też, dlaczego to akurat my musieliśmy ją odkryć. Ale już tu jest, ciepła od słońca, chłodna od deszczu, adorowana przez księżyc, wzięta w dwa ognie przez gwiazdy.

Oto ona. Błękitna Planeta.

Wylądowaliśmy w dżungli gęstej jak noc. Hałas był ogłuszający. Ze zzieleniałej pomroki dobiegały nas gwizdy i pohukiwania, wrzaski i piski stworzeń, jakie nigdy się nam nawet nie przyśniły, choćby w najgorszych koszmarach.

Charmant przygotował dla nas polanę za pomocą laserowych nożyc wmontowanych w podbrzusze statku. Drzewa padały, my tymczasem wyglądaliśmy na zewnątrz przez iluminator osadzony w podłodze i oglądaliśmy ssaki z płetwami, ryby z nogami, ptaki z podwójnymi skrzydłami podobne do aniołów, głowy bez ciał, ciała jakby bez głów; tabuny tych nieprawdopodobnych eksperymentów dokonanych na życiu pierzchały na nasz widok, znikając bez śladu w głębinach cieniejszej zieloności.

Laser ciął trzydziestometrowe drzewa, a potem rąbał je na dwumetrowe kawałki. A kiedy statek mógł już zejść niżej i zawisnąć tuż nad powierzchnią, Charmant uruchomił chwytak i przesunął stos kłód, tworząc wielki, pusty krąg, wygolony i wygładzony za pomocą laserowego niwelatora.

- Musimy podejść blisko do tego miejsca, gdzie uderzy asteroida - wytłumaczył Charmant - ale niezbyt blisko. Planuję zrobić kilka pomiarów siarki i na dwadzieścia cztery godziny przed kolizją spadamy stąd.

- Tu gdzieś niedaleko jest jezioro - powiedziała Spike. - Woda jest czysta, chciałabym znaleźć trochę okazów fauny i flory do kapsuły odbiorczej. Idziesz ze mną, Billie?

Uzgodniłyśmy, że ja biorę jednoosobowy kajak, a Spike weźmie Pink do dwójki.

- Nauczę cię kilku podstawowych umiejętności potrzebnych człowiekowi do przetrwania, Pink, tak na wszelki wypadek. Pokażę ci, jak się wiosłuje i jak się łowi ryby.

- Ja i umiejętności potrzebne do przetrwania? - zachnęła się Pink. - Jestem matką wszystkich ocalałych i nie lubię łódek,

chyba że są duże, białe i wyposażone w bar oraz pokład, na którym można się opalać.

- W jeziorze będziesz mogła schłodzić wino - kusił ją Spike. - No dalej, włóż kostium kąpielowy i spakuj jakieś ubranie na potem.

- Uwielbiam tę napędzaną słońcem kobietkę - powiedział do mnie Charmant, kiedy Spike poszła szukać swojego sprzętu.

- Nigdy nie utyje, nigdy się nie upije i nigdy nie da za wygraną, pod warunkiem że na niebie wciąż świeci słońce. Na jej widok aż mi się chce zacząć wszystko od nowa, bez żadnych obciążeń, właśnie tutaj. Ale na to trzeba będzie poczekać wiele lat.

- Spike mi mówiła, że WIĘCEJ już buduje kosmiczny liniowiec dla pierwszych osadników.

- Do odpalenia jeszcze cały rok. Ale tak czy siak wszystko zależy od naszych kumpli z wielkimi szczękami - żaden osadnik nie pomieszka długo, mając dinozaury za sąsiadów. Jedyne rozwiązanie to stale się przemieszczać, może wtedy jakimś cudem człowiek da sobie radę, ale czy wyobrażasz sobie najbogatszych ludzi świata, którzy do końca życia bawią się w nomadów?

- Naprawdę wierzysz, że uda się z tą asteroidą?

- Asteroida już się wzięła do roboty. Jej kurs został odchyłony i ona pędzi w tę stronę.

Pink i Spike wiosłowały przede mną po jeziorze - wielkim, spokojnym, błękitnym.

- Widziałyście kiedyś coś równie pięknego? - spytała Spike.

- Nie - odparła Pink - i mam nadzieję, że nigdy nie zobaczę.

Spike tego nie zrozumiała - z rozumieniem niuansów i aluzji szło jej kiepsko.

- Rozumiem, dlaczego tu jest uroczo, ale ja się urodziłam i wychowałam w mieście - spróbowała jej wytłumaczyć Pink. - Mam w nosie dziką naturę. Wiem, że należało zachować jakąś naturę na Orbusie i w ogóle, bobyśmy lepiej na tym wyszli, znaczy się my jako planeta, ale ja tobym wcale na tym nie skorzystała. I nikt z moich znajomych. My po prostu już nie chcemy takiego życia.

- Wolałabyś w tej chwili robić zakupy w sieci? Nie wierzę.

- Coś ty, za kogo ty mnie masz? Ale wolałabym siedzieć w barze z widokiem na sztuczne jezioro, z którego raz na godzinę tryska fontanna, gdzieś, gdzie drzewa nie pylą, gdzie ci podadzą duży stek i gdzie się tańczy do białego rana. Dla mnie to jest prawdziwe życie. Ludziom nie spodoba się to miejsce, wiecie?

- Orbus umiera - przypomniała jej Spike.

- Ci od techniki go naprawią, zawsze to robią. Moim zdaniem te głupoty o zagładzie są tylko po to, żeby ludzie siedzieli po domach i nie chcieli za dużo. Nam się świetnie żyje. Ja jestem pełna życia. W twoim przypadku jest inaczej, bo jesteś robotem.

I tu nagle wrzasnęła, bo Spike wyciągnęła z wody rybę z niebieskimi płetwami, czerwonym pyskiem i wypustkami, które wyglądały jak małe nóżki. Uderzyła ją w głowę gumowym młotkiem i wepchnęła do aluminiowej torby termoizolacyjnej.

- Zabiłaś ją!

- Owszem.

- Widzisz, Billie? Żadnych emocji. Ja tobym w życiu nie mogła zrobić czegoś takiego. Kiedy sobie pomyślę o tych czasach,

kiedy ludzie hodowali zwierzęta, żeby mieć co jeść... rany, ale zacofanie. Ci w Kalifacie dalej to robią, wiecie? A tymczasem laboratoryjne mięso powstaje bez udziału okrucieństwa.

Wpłynęliśmy pod kurtyne zieloności, gdzie na liściu wielkości kortu tenisowego siedziała żaba wielkości stodoły. Nad naszymi głowami mieniły się błękitami i zieleniami ważki smoczyczych rozmiarów. Z pnia drzewa o kształcie prototypu Empire State Building zeskoczył jeszcze nie całkiem dojrzały King Kong.

- Wegetarianin - powiedziała Spike.
- Bez jaj - odparła Pink.

Płynęliśmy dalej, mijając pieczary w zielonej skale - w ich wnętrzach kłębiły się jakieś niewidoczne płazy, powodując mini-trzęsienia ziemi. Ssaki w wymyślnych strojach, jedne w kryzach, inne w hełmach, jeszcze inne z ostrogami przy piętach schodziły ociążale na skraj jeziora, gasiły pragnienie, brodziły w wodzie i łapały ryby, te przynajmniej, które miały bardzo długie szyje.

Nawet na chwilę nie ustawał hałas, obcy hałas. Okrzyki, krakanie, wrzaski, gdzieś w tle monotonne buczenie owadów wielkich jak orły.

Pink wlokła obwiązaną linką butelkę przez wodę i nagle linka drgnęła, jakby coś ją schwyciło. Pink zaczęła się mocować, a Spike próbowała uspokoić rozchybotany kajak.

- Puść! - krzyknęła Spike.
- To chardonnay, kadź numer jeden - powiedziała Pink. - Nie oddam go jakimś rybom.

Kajak przewrócił się i obie poszły pod wodę. Zanurkowałam ich śladem, gubiąc przy okazji wiosło, ale zobaczyłam tylko Pink,

która unosiła się nade mną niczym balon. Rozejrzałam się dokładniej i spostrzegłam, że z wszystkich stron otaczają mnie oczy, pradawne, podwodne oczy. Na samym dnie pienilo się coś czarnego.

Spike podpłynęła do powierzchni, uchwyciła się burty kajaka, odwróciła go i zaczerpnąwszy energii z ogniwa dopingowego, podciągnęła się i wskoczyła do środka.

- Dajesz sobie radę, Billie? - wrzasnęła.

Ja już podciągałam się z boku, gdy tymczasem Spike ratowała Pink, która za nic nie chciała rozstać się z butelką.

- No co za świnią - wyrzęziła, popluwając wodą.

- To nie była moja wina - słusznie zaprotestowała Spike.

- Nie ty, tylko ta cholerna ryba. Same teraz widzicie, jaka ta natura jest nieobliczalna i dlaczego musieliśmy ją ujarzmić. Może posunęliśmy się za daleko, ale zasadniczo podjęliśmy słuszną decyzję. Nie życzę sobie, żeby mnie molestował jakiś muzealny dorsz z wybałuszonymi gałami, kiedy wychodzę na drinka.

- Omal się nie utopiłaś - zauważyła Spike.

- Ale skąd, moje drugie imię to „farcjara”.

- Przez ciebie mogliśmy się utopić! - wrzasnęłam na nią, cała mokra, usiłując wiosłować rękami.

Spike rzuciła mi linkę, biorąc mnie na hol.

Pink wzruszyła ramionami i zaczęła się wycierać ręcznikiem, Spike tymczasem wiosłowała w stronę brzegu. Czerpała większe dawki energii, żeby nabrać prędkości.

- Ta to ma parę - zachwyciła się Pink. - Otworzę wino, zanim jakiś mutant nabierze na nie ochoty. - Wyciągnęła korek i napiła się z gwinta, potem usiadła prosto, z butelką między kolanami. Na twarzy miała wyraz filozoficznej zadumy. - Wiecie, może nie jestem zbyt sprawiedliwa w sprawie tego miejsca. Wkurzyłam się, bo w domu ciągle tak mam, że jak wychodzę

na drinka, to zaraz się do mnie przylepia jakiś wytrzeszcz. Po-dejrzewam, że niektóre rzeczy nigdy się nie zmieniają, niezależnie od tego, na jakiej jesteś planecie.

- Myślałam, że nie umiesz pływać - powiedziała Spike -a wypłynęłaś na powierzchnię prędeej niż ja.

- To dzięki implantom w pośladkach, udach i piersiach. Nie dość, że nadają mi pneumatyczny wygląd, to jeszcze, jak same widzicie, potrafią się przydać. I co ty na to, Billie? Chirurgia próżności w dziele ratowania życia. Ha, ha.

Wyraźnie nie posiadała się z zachwytu, że wreszcie znalazła jakiś argument do użycia w sporach ze mną. Figlarnym gestem cisnęła butelkę w stronę mojego kajaka, ale uchyliłam się roz-myślnie, pozwalając jej wpaść do jeziora.

- Psujesz zabawę - skarciła mnie Pink.

- Hej, popatrzcie tam! - zawołała nagle Spike.

Po niebie leciała formacja żółtych, papugowatych ptaków, podobnych do świeżo rozbłysłych słońc. Wylądowały na drzewie, które całe się rozjarzyło ich blaskiem.

- Złote lampiony pośrodku zielonej nocy - powiedziała Spike.

Na statku panował radosny nastrój. Uroda i tajemniczość Błę-
kitnej Planety wprawiała wszystkich w odurzenie. Byliśmy nie-
ziemsko szczęśliwi. Co za fart. Jakby zostało nam odpuszczone.
Jakby ktoś się nad nami ulitował. Najpierw popsuliśmy to, co
nam zostało ofiarowane, a teraz odzyskaliśmy wszystko z po-
wrotem. To była bajka ze szczęśliwym zakończeniem. To był
ten zakopany skarb.

Spike przyrządziła rybę, z tym że najpierw zagnała Pink do kuchni, „niczym jakiegoś galernika”, i pokazała jej, jak się patroszy, czyści i przyprawia to coś, co Pink nazywała „kopalnianym żarciem”.

Przy kolacji usłyszeliśmy z ust Pink, zdumionej smakiem i świeżością potrawy, którą pomogła przygotować, że po powrocie do stolicy otworzy restaurację o nazwie „Skamielinowe przysmaki”.

- To będzie bardzo droga, niszowa kuchnia serwująca dania dla smakoszy; sławni ludzie będą uwielbiali ten lokal.

- A mówiłaś, że żywe jedzenie to barbarzyństwo, czy może się myłę?

- Bo nie znałam jego smaku.

A zatem już czyjeś jedno marzenie miało się ziścić: Pink znalazła cel w życiu, dzięki któremu mogłaby poznawać swych uwielbianych sławnych ludzi. Spike przyrzekła, że nauczy ją gotować.

- Wiecie co? Może to zboczone, może to niemodne, a jednak coś w tym jest - powiedziała Pink, omiatając wzrokiem długi stół i siedzących przy nim biesiadników - gotowanie ze świeżych produktów, wspólne jedzenie... Tak na to teraz patrzę.

- Zamierzasz zostać dwunastoletnim szefem kuchni? - spytałam. - Taki wiek może ci ująć powagi.

- Masz rację. - Pink pokiwała głową. - Pewnie będę musiała jeszcze raz to przemyśleć. A tak nawiasem, to podczas tej wyprawy ani razu nie zatęskniłam za Tedem.

- Myślałam, że jest miłością twojego życia.

- Też mi się tak wydawało, Billie, ale teraz każde z nas jest z innej planety.

Charmant wznosił toast.

- Za nowe początki - powiedział.

A ja spoglądałam na Spike, niepoznaną, nieskartowaną, różniącą się ode mnie pod każdym względem, na tę inną formę życia, inną planetę, drugą szansę.

Asteroida zderzyła się z planetą całe cztery dni za wcześniej.

Nie wysledziliśmy jej, bo jeszcze się jej nie spodziewaliśmy. Wszystkie trzy akurat łowiłyśmy ryby w jeziorze, kiedy zatrzęsła się ziemia.

- To pęd paniki - powiedziała Spike. - Wyczuwam masowy ruch bardzo dużych ssaków.

I nie tylko ssaków: niebo nad naszymi głowami zrobiło się ciemne od ptaków wielkości niedużych samolotów; w niektórych miejscach na niebie nie było nieba, tylko same skrzydła.

Brzegiem jeziora gnały, sadząc ciężko na dwóch albo i czterech masywnych odnóżach, wielkie, gadzie stwory, nawet się nie zatrzymywały, żeby nas pożreć. Schroniliśmy się pod naszym łazikiem, kładąc się na płask, przerażone, przekonane, że lada chwila któryś stwór nas stamtąd wykopie i zostaniemy zdeptane.

Kiedy wreszcie odważyłam się zadrzeć głowę, wciśniętą dotąd w ciepłe blocko, zobaczyłam mrowie stóp, kopyt, pazurów i łap, groteskowo wielkich, wielkich na wielkowiejską skalę, i one wszystkie opadały z łomotem na ziemię i podnosiły się zaraz rytmicznie, parły jak czołgi, dźwigały ciężary cielsk, to mknęły, to przystawały, zaledwie w odległości kilku cali od nas, ukrytych pod czymś, co dla nich zapewne wyglądało jak biały gład, dlatego najłatwiej było przez niego przeskoczyć, przebiec

po nim albo go wyminąć w poszukiwaniu bezpieczeństwa.

Od strony nieba dobiegało nas coraz głośniejsze skrzeczenie i nawoływania frunących nisko ptaków, szpony skrobały nasz dach, skrzydła uderzały z taką siłą, że kołysały pojazdem.

To była czysta energia i to my ją uwolniliśmy.

Kiedy już było można, poderwałyśmy się do biegu w stronę naszego nędznego, idiotycznego statku, najlichsze, najdurniejsze istoty na całej tej planecie. Na której ludzi nie spodziewano się jeszcze przez miliony lat. Cała nasza dwudziestka zabrała się dziarsko do zniszczenia tego miejsca, zanim ono się w ogóle zaczęło.

Widok, który zastałyśmy po powrocie, był porażający: spalinowane zwierzęta stratowały drzewa, bardziej podatne na atak ze sztucznie powstałej, pustej przestrzeni naszej polany. Statek przygniotły palmy wielkości biurowców.

- Schowajcie się do środka - rozkazał Charmant i miał rację: nie było już nic do zrobienia.

Wchodziliśmy jedno po drugim przez wejście awaryjne i wtedy właśnie asteroida uderzyła. Wnętrze statku szerniało.

- W obliczeniach był błąd - powiedział Charmant.

Odchylenie kursu asteroidy przyspieszyło jej kolizję z Błękitną Planetą i zmieniło miejsce, w którym do tej kolizji doszło. Skutkiem zderzenia był powstały na dnie morza krater o średnicy trzystu kilometrów, w odległości zaledwie pięćdziesięciu kilometrów od naszego lądowiska.

Spike z opętańczą szybkością czytała i analizowała dane pozyskane ze szczątków, Charmant siedział obok niej, zgarbiony i spięty.

- Niższe partie atmosfery wypełniają się dwutlenkiem siarki - poinformowała nas Spike. - Na większych wysokościach formuje się warstwa pary kwasu siarkowego. Wywołaliśmy miniepokę lodowcową.

Nikt nic nie mówił.

- Ile upłynie czasu, zanim atmosfera się oczyści?

- Zgodnie z naszymi planami miało to być kilka miesięcy, podczas których światło słońca nie docierałoby do powierzchni planety; w efekcie łańcuch pokarmowy zostałby rozerwany i największym zwierzętom zabrakłoby pożywienia. To, co właśnie zrobiliśmy, przyniosło skutki znacznie poważniejsze od przewidywanych. Niewykluczone, że upłyną lata, może nawet dziesiątki lat.

- Lat? - powtórzyła Pink. - Dziesiątki lat? W ciemnościach?

- Nie wiem - wyznała Spike. - Skutków wtórnych nie da się przewidzieć. Być może atmosferę oczyszczą cyklony albo huragany.

Charmant parsknął śmiechem.

- No i masz, dinozaury zostaną wybite do nogi.

- Prawda - potwierdziła Spike. - A planeta ożyje w innej formie.

- Ale co z kolonizacją z Orbusa? - spytałam.

- Dopóki warunki klimatyczne się nie ustabilizują, trzeba o niej zapomnieć.

- Orbus może nie dotrwać.

- A jak się stąd wydostaniemy? - spytała Pink.

- Nijak - odparł Charmant.

W czasie, gdy załoga zabezpieczała statek i uruchamiała systemy awaryjne, Charmant próbował się połączyć z Orbusem.

- Łączność padła - oznajmił. - Sygnał wychodzi i odbija się od Księżyca. Patrzcie, wysyłam i dwie sekundy później już jest z powrotem.

- Wyślą misję ratunkową - powiedziała Spike.

- Mogą tu nie wylądować, jeśli nie będą znali sytuacji: mrok, lód, brak łącza satelitarne. Spike, niewykluczone, że już nikt nigdy tu nie przyleci.

Pokiwała głową.

- A zatem planeta będzie musiała ewoluować na własną rękę.

Charmant znów znalazł powód do śmiechu.

- Ja bym to nazwał ciężką ironią losu, gdyby tak właśnie się stało i potem za kilka milionów lat jakiś bystry geofizyk znalazł dowody na to, że zderzenie z asteroida spowodowało wymarcie dinozaurów, i nazwał to zbiegiem okoliczności wszech czasów, mimo że prawdopodobieństwo, by gigantyczna asteroida uderzyła w planetę akurat w tym miejscu, gdzie jest złożę siarki, wynosi... no właśnie, jakie to prawdopodobieństwo, Spike?

Spike zastanawiała się przez chwilę.

- Siarka to rzadki pierwiastek, dopiero dziewiąty pod względem częstości występowania we wszechświecie, a jego procentowy udział w skorupie tej planety wynosi zaledwie sześć dziesiątych. Przypuśćmy, na podstawie dowodów z przeszłości, że do zderzenia asteroidy o średnicy dwudziestu kilometrów z tą planetą mogłoby dochodzić raz na sto milionów lat i że prawdopodobieństwo jej trafienia w strefę występowania siarki wynosi jeden do dwudziestu. Jeśli rzeczywiście tak jest, to w takim razie prawdopodobieństwo, że asteroida tej wielkości uderzy w tę planetę właśnie w tym miejscu, wynosiłoby sto milionów pomnożone przez dwadzieścia, czyli byłoby to raz na dwa miliardy lat.

- Dwa miliardy lat?

Przytaknęła.

Charmant przejechał dłonią po włosach.

- Ale na jakiej podstawie obstawiałabyś, że tu zaszedł zbieg okoliczności, zamiast wysnuwać teorię, że ktoś tutaj zaangażował się w stworzenie ludziom warunków do życia?

- Przedstawiciele wszystkich następnych cywilizacji będą myśleli tak samo jak my: że są pierwsi i jedyni.

- Zaczekaj, aż znajdą resztki Orbusa... ale prawda, nikt mi nie wierzy, kiedy opowiadam o Białej Planecie, więc czemu ktoś miałby uwierzyć w opowieść o Czerwonej Planecie? Orbus zniknie gdzieś w odmętach historii kosmosu, oddali się od jej głównych nurtów o całe lata świetlne.

- Ale potencjalnie macie jeszcze szanse na przetrwanie - powiedziała Spike.

Charmant spojrział na nią.

- Co sugerujesz?

- Weźcie łaziki i jedźcie do kolonii. Tam jest sześćdziesięciu ludzi. Mają zapasy żywności i oprócz tego własne uprawy warzyw. Zbudowali porządne schronienia, i to w nadmiarze, bo ty miałaś zwozić tu kolejnych mieszkańców, dopóki Mocarstwo Centralne nie zdecyduje inaczej. Może uda wam się przeżyć, jeśli dołączycie do tamtych, zwłaszcza że Mocarstwo wie, gdzie jest kolonia. Jeśli przylecą, to najprawdopodobniej wylądują właśnie tam.

- To daleko stąd - zauważył Charmant. - Możemy nie zdążyć.

- Ja tu zostanę, postaram się nawiązać kontakt z Orbusem. Będę się z wami codziennie kontaktowała.

- Zostaniesz tutaj? Na statku? Albo wyprawimy się tam jako jedna załoga, albo wcale.

- W normalnych warunkach do przetrwania wystarcza mi

światło słońca. Jeśli pojedę z wami, będziecie musieli podtrzymywać mnie sztucznie za pomocą ogniów słonecznych. Wasze zapasy energii są zbyt małe, nie możecie ich marnować. Idźcie beze mnie, i to natychmiast.

Charmant nie odpowiedział od razu.

- To moja wina - odezwał się po chwili milczenia.

- Nie mogłeś tego przewidzieć. Ja też nie. To ja dokonałam obliczeń i one okazały się błędne. Pomyliłam się, ponieważ życia nie da się obliczyć. Taki właśnie wielki błąd popełniła nasza cywilizacja. Nigdy nie przyjęliśmy do wiadomości, że przypadkowość nie jest błędem w tym równaniu, tylko jego elementem.

- Każdy człowiek zabija to, co kocha - powiedział Charmant. - Żałuję teraz...

- Czego? - spytała Spike.

- Że tu wylądowaliśmy, ty i ja, żałuję, że nie zaczęliśmy od nowa z samą tylko siekierą, powozem, ogniem... i słońcem.

Nowy świat: Eldorado, Atlantyda, Złote Wybrzeże, Nowa Fundlandia, Skala Plymouth, Rapa Nui, Utopia, Błękitna Planeta. Razu pewnego tak się zdarzyło, objawiła nam się jakby w ciemnym zwierciadle, z pijackich opowieści umocowanych do beczulki rumu, na wraku statku, z Biblią zamiast kompasu, zawiodła nas tam przeogromna ryba, wir sztormu pogał nas ku tej wyspie. I tak oto w niezbadanych ostępach przestrzeni znaleźliśmy...

- Jeżeli macie jechać - powiedziała Spike - to powinniście wyruszyć natychmiast.

Pośpiech, dźwiganie, ładowanie, żarty, nerwy, pakowanie, piętrzenie na stosach, spokój, praca zespołowa, z rąk do rąk, twój wzrok, uśmiech, będzie dobrze, patrzcie, coś wreszcie robimy, zabiegani jak mrówki, ostrożnie, nie ma się co przejmować, narzędzia, odzież, ktoś tam jeszcze został, zamknij włącz, schodzimy, zapuść silnik, światła, moc, gotowi. Gotowi?

Spike skończyła wrzucać sprzęt do łazika. Charmant nie odzywał się do niej. Podeszła do niego, przytuliła się. Westchnął i objął ją ramionami.

- Pewien król miał trzy planety - powiedział. - Białą, Czerwoną i Błękitną. Białą Planetę ofiarował swemu pierworodnemu, ale ten najpierw złupił, co się tylko dało, potem wydał całe złoto, a na koniec sprzedał planetę diabłu, by mieć na ostatnie przyjęcie. Wtedy król ofiarował Czerwoną Planetę młodszemu synowi, ten jednak zaczął od spustoszenia kopalń, potem wyciął w pień wszystkie drzewa, a na koniec przywołał diabła, bo brakło mu gotówki na kupno samochodu. I wtedy król ofiarował Błękitną Planetę swej córce, ponieważ kochał ją bardziej niż cały wszechświat. To, co zdarzyło się potem, to już inna historia.

- Robo *sapiens* - powiedziała Spike. - Forma życia, która będzie musiała czekać jeszcze dłużej niż ludzie, by ktoś ją znowu zobaczył.

- To kapitan powinien iść na dno ze swoim statkiem.
- Mam mnóstwo do czytania.
- Poezja nas nie uratowała, prawda?
- Uratowała, i to nie raz, ale wiele razy.

Charmant uśmiechnął się.

- Tak uważasz?
- Ty nigdy nie bałeś się śmierci, ty bałeś się pustki. Charmant przytaknął.
- To dlatego, że przestrzeń nigdy nie jest pusta. Tylko ludzie są puści.
- Nie wszyscy.
- Nie wszyscy są ludźmi. - Pocałował ją i na poły odwrócony w stronę wyjścia dodał: - Spike, kiedy wrócę...
- Idź - powiedziała. - Idź już.

Pink McMurphy była ubrana w termalny kombinezon wojskowy i niosła sprzęt do gotowania.

- Damy radę - powiedziała do mnie. - I kto wie, co się teraz stanie, odkąd robot przestał wchodzić w paradę? Może jakiś arktyczny romansik?

- Pink, nie stanie się, tylko już się stało. Mamy poważne kłopoty.

- To już do mnie dotarło, Billie. To ty nie wiesz, że się schowałam w swojej kajucie i że krzyczałam tam i płakałam, panikując, ile wlezie? Ale potem powiedziałam sobie: Pink, dasz radę. Może nawet dobrze, że umrzesz, bo przynajmniej umrzesz młoda i piękna: ekstremalne klimaty są bardzo nie-dobre dla cery. Ty, Billie, to się na pewno cieszysz teraz, że robiłaś w Usprawnianiu.

- Wcale nie - powiedziałam.

- Co nie?

- Zajmowałam stanowisko polityczne. Nie robiłam w Usprawnianiu.

- A ile ty masz lat?

- G-30, według mojego chipa. Naprawdę kończę w tym roku czterdzieści lat.

- To przynajmniej dowodzi, że jesteś człowiekiem, wiesz?
- Nie bardzo rozumiem...
- Kobiety zawsze kłamią na temat swojego wieku.

Uśmiechnęła się i dała mi kuksańca, balansując swoim sprzętem do gotowania. Wyglądała i zachowywała się znacznie lepiej, niż ja się czułam. Kto by powiedział, że taka Pink będzie sobie radzić z sytuacją, a taka Billie nie?

Miałam zaraz zająć swoje miejsce w łaziku. Spike podeszła blisko, objęła mnie ramionami.

- Któregoś dnia, za dziesięć milionów lat, ktoś mnie znajdzie, zardzewiałe szczątki wtopione w błoto świata, którego nikt nigdy wcześniej nie widział, a kiedy skruszą mnie w palcach, znajdą ciebie.

Łazik pełził już powoli po stratowanym, zalanym błotem poszyciu. Spike stała w bezruchu, na powietrzu przesyconym pyłem. Lada chwila wszyscy mieliśmy przywdziać maski, już nas nie chroniły filtry statku. Rufus trzymał łeb na kolanie Charmanta, a Charmant opowiadał mu historyjkę o psie, który wabił się Łajka i którego dawno temu wystrzelono w kosmos.

- Opiekuj się Rufusem - wypaliłam zniecka i zanim Charmant zdążył zareagować, zanim ktokolwiek zdążył wszcząć jakąś dyskusję, wymknęłam się z łazika i zaczęłam biec przez zgęstniałe powietrze w stronę tego pustego miejsca, gdzie stała.

Oto pewien szczególny moment w czasie, a tymczasem moje wybory wcale nie odstają od wyborów podjętych przez miliony innych przede mną, miliony wykorzenionych przez

wojny i sumienie, miliony tych, którzy porzucili znane na rzecz nieznanego, którzy się wahali, bali, a jednak odkrywali, że już są w drodze, że pozostawiają na szlaku ślady swoich stóp i każdego wspomnienia: wspomnienia tego, co się kiedyś posiadało, tego, co się utraciło, tego, co się znalazło, jakkolwiek trudne czy niemożliwe to było, wspomnienia tej chwili, gdy czas stał się mostem i posłużył do przejścia na drugą stronę.

Postanowiliśmy nie opuszczać statku, bo na jego pokładzie Spike miała pod dostatkiem energii i nic nam obu nie groziło. Byłam pełna optymizmu, typowego dla skazańca w dniu egzekucji, kiedy to spokojnie czyta sobie książkę, podnosi wzrok i widzi, że kat już czeka, więc z nim idzie, odczuwając każdy swój ostatni krok równie intensywnie, jakby wkraczał w nowe życie. Umysł nie chce uwierzyć w śmierć, może dlatego, że dla umysłu śmierć nigdy nie następuje.

Przez hałaśliwe dźwięki, które nas dobiegały z zewnątrz statku, coraz częściej przebijały się nuty rozpacz i przerażenia. Stworzenia, których świat zniszczyliśmy, szukały słońca w ciemniejącym, brudnym powietrzu, zadzierały łby w stronę nieba, wyły i popłakiwały na tle blednącego światła.

Z każdym dniem robiło się coraz zimniej i mroczniej.

Zwierzaki rzucały się na statek, biły w niego rozkołysanymi karkami i żelaznymi szczękami, używały go jako lądowiska. Jedynie światła osadzone w gruncie potrafiły je odstraszyć, ale światła potrzebowały energii, a ją musiałyśmy oszczędzać.

Pewnej nocy, to znaczy tak mi się wydaje, że to była noc, bo

przecież zabiliśmy wszelką różnicę między dniem i nocą, usłyszałam dziwne skrobanie od strony ładowni.

Pomyślałam, że coś pewnie wygryza sobie drogę przez poszycie pokiereszowanego kadłuba, więc uzbrojona w broń i silną latarkę zesłam tam, gdzie walał się nasz porzucony sprzęt i zapasy.

Nie pomyliłam się, tam naprawdę coś było. To coś wyborowało dziurę w już i tak uszkodzonym kadłubie. Usłyszałam odgłos przeżuwania. Wiedziałam, że niezależnie od tego, co tam znajduję, nie będę i tak tego czegoś znała i że to coś może być bardzo duże.

Zebrałam się w sobie i skierowałam snop światła latarki o dużej jasności w stronę, z której dobiegał odgłos przeżuwania. Na chwilę zapanowała cisza, a potem przez podłogę przemknęło, wyraźnie uciekając przed światłem, stworzenie wielkości owczarka alzackiego, tyle że bardziej masywne, obdarzone krótkimi odnóżami i trzema rogami. Było niesamowicie komiczne, a mi tak bardzo ulżyło, że nie staję oko w oko z parą szczęk wielkości ciężarówki i równie szybkich, że aż wybuchnęłam śmiechem.

Stworzenie znieruchomiało i popatrzyło na mnie. Takich dźwięków ani też sylwetki nigdy wcześniej nie poznało: miało przed sobą istotę, która stała na dwóch nogach i wydawała ptasie odgłosy.

Przyciemniłam światło latarki i podeszłam bliżej. Właściciel trzech rogów natychmiast schował się za skrzynką.

Nie ma sprawy, pomyślałam. Ciekawe, co się stanie, kiedy dostaniesz jeść.

Oto, co się stało: nieoczekiwanie znalazłyśmy sobie wesołego kompana. Spike pobrała próbkę DNA i stwierdziła, że stworek to coś jakby hybryda dzika z hipopotamem i że prawdopodobnie jeszcze nie ukończył roku.

- On nie ma samoświadomości, nie wie, czym jest - powiedziała, poklepując go. - Natura też tego nie wie. Wszystko na Błękitnej Planecie znajduje się obecnie w stadium eksperymentalnym, formy życia będą ewoluowały i ulegały przemianom. Będą ginęły, robiąc miejsce dla swych lepiej przystosowanych następców.

- Wywołana przez nas epoka lodowcowa zmieni stan rzeczy, to pewne. Wciąż do mnie nie dociera, że naprawdę tu przylecieliśmy i narobiliśmy takiego gnoju.

- Natura będzie pracowała na tym, co tu się stało - odparła Spike. - Ta planeta nadaje się do życia i garstka ludzi w tym nie przeszkodzi.

Wydawała się dziwnie cicha, przygaszona. Cały czas zapominam, że jest robotem, ale co to jest robot? Ruchoma bryła metalu. Co to jest człowiek? Ruchoma bryła ciała, przeważnie nieinteligentna i raczej mało wrażliwa.

- Czy sprawy idą ku lepszemu, czy raczej ku gorszemu? - spytałam, kiedy Spike zasiadła do systemów komputerowych.

- Ku gorszemu. Nie doszło do natychmiastowej korekty. Nie było ani huraganu, ani rześistej ulewy. I nie jestem w stanie nawiązać łączności z Centrum Dowodzenia. Za to dostałam wiadomość od Charmanta: posuwają się do przodu i nic ich dotąd nie zaatakowało.

- Co powinniśmy zrobić? - spytałam.

- Iść spać - odparła Spike. - Muszę oszczędzać energię.

Leżałam obok Spike i rozmyślałam o tym, jakie to dziwne, tak leżeć obok żywej istoty, która nie oddycha. Nie było unoszenia i opadania, żadnych cichych westchnień, żadnego wdychania powietrza, ruchu warg ani lekkiego rozszerzania nozdrzy. A przecież ona żyła, na nowo interpretując znaczenie

tego, czym jest życie, czyli chyba robiła dokładnie to samo co my od chwili, gdy zaczęło się życie.

Snułam takie rozważania i pogrążałam się w dziwacznych pół-snach, po czym ocknęłam się zniecka, siadając gwałtownie, dusząc się. System napowietrzania przestał działać. Spike rzuciła mi maskę tlenową i zaczęła czytać jakąś instrukcję.

- Do ponownego uruchomienia systemu musiałybyśmy zużyć połowę energii, jaka nam jeszcze została. Uważam, że zrobimy lepiej, jeśli naładujemy przenośne zasilacze i wyruszymy w drogę. Na statku powinna zostać jakaś energia, abyśmy miały do czego wrócić.

Powiedziała mi, co mam spakować, i kazała włożyć kombinizon termalny. Kiedy się szykowałam, Spike znów bezskutecznie próbowała wysłać sygnał na Orbus. A potem zaczęła kodować jeszcze inny sygnał - na jakąś przyszłość, nie wiadomo jaką.

- Sygnał przypadkowego powtarzania, odbijający się od Księżyca. Któregoś dnia, kto wie, jakiś odbiornik będzie akurat wycelowany we właściwym kierunku i ktoś być może go odbierze. Ktoś, gdzieś, kiedy tam będzie istniało życie takie jak nasze.

Życie takie jak nasze.

Zabrałyśmy same potrzebne rzeczy - narzędzia, latarki, piłę laserową, preparat białkowy, kompas i sprzęt radiowy, zapalniczkę do rozpalania ognia, śpiwory z zamykanymi kapturami do ochrony twarzy przed śniegiem, apteczkę z bandażami, zastrzykami usypiającymi i uśmiercającymi. Spike przypasała sobie zasilacze, a kiedy już wyruszałyśmy w drogę, rzuciła w moją stronę *Dzienniki* kapitana Cooka, a sama wzięła zbiór wierszy Johna Donne'a, które ofiarował jej Charmant.

W niej Księstwa, we mnie zaś Księżęta drzemią: Cóż trzeba więcej?

Opuściliśmy statek przez dolny właz, wskakując prosto do mrocznego, skotłowanego, wirującego lasu, nasz rogaty przyjaciel szedł tuż za nami. Miałam ochotę coś gadać, ale Spike znacząco pokręciła głową. Zdawała się wiedzieć, w jakim kierunku powinniśmy iść: nasza trasa wiodła przez stygnące, doszczętnie zwilgotniałe poszycie.

Gdzieś daleko przed nami musiał być jakiś wodospad; z nierównego czarnego klifu lały się ogłuszające kaskady wodnej energii. Spike pokazała mi gestem ręki, że obejdziemy to miejsce. Zdjęłam maskę.

- Musimy wejść wyżej, znacznie wyżej - powiedziała - żebyś mogła oddychać. Tam się posilimy i napijemy, a potem powędrujemy dalej.

- Zwierzątko się męczy - zauważyłam, bo od kwaśnego powietrza dyszało i miało załzawione ślepia.

Spike podeszła do niego, prędko zrobiła mu zastrzyk i zwierzak padł jak nieżywy. Wtedy nasunęła mu na pysk stymulator tlenowy, podniosła go i zarzuciła sobie na ramiona niczym owcę. Tą akcją zrobiła na mnie duże wrażenie.

- Jest nieprzytomny i dlatego płycej oddycha. Z pomocą dodatkowych dawek energii przez jakiś czas będę mogła go nieść. Jeśli wespniemy się wyżej, idąc równolegle do linii wodospadów, powietrze niebawem zrobi się lepsze, a poza tym znalazłam grań poprzecinaną grotami. Tam właśnie powinniśmy skierować nasze kroki.

Nie miałam pojęcia, jaki jest jej plan ani co się z nami stanie. Jeszcze nie umarłyśmy, a dopóki byliśmy żywe, dopóty istniała szansa, że tak zostanie.

I tak oto szłyśmy, szłyśmy i szłyśmy przez świat pociemniały teraz od fioletów i czerwieni, posiniaczony, obolały, podobny do wypatroszonego zwierzęcia, i przez cały ten czas ścigał nas chór rozdzierających okrzyków przepelnionych furią i strachem.

Posuwałyśmy się w stronę zbocza podziurawionego grotami, przez łąny traw, których źdźbła sięgały wyżej niż nasze głowy.

Spike szła powoli, oszczędzała energię.

Górskie jeziora spowijał już mrok. Jazgotanie lasu przekomponowało się w piskliwą czkawkę. Rogaś dreptał teraz obok nas, stale pomykając nerwowo to w lewo, to w prawo. Potem znajdował sobie coś do jedzenia i zapominał na chwilę, że świat staje się ciemny - coś zbyt ciemny, i że towarzyszy temu dziwne wrażenie, że ta noc, inna od innych nocy, będzie już zawsze.

Rozmyślałam o kapitanie i pozostałych członkach załogi. Może mieli rację - może gdzieś tam pokaże się słońce, oślepiające, cudowne, niczym nieprzyćmione. Może źle zrobiłam, że z nimi nie pojechałam.

- Może źle - powiedziała Spike, czytając mi w myślach.

- Nie rozumiesz - odparłam. - To taki mój nawyk. Prawda jest taka, że od dziecka swoją lornetkę trzymam wycelowaną w wyspy, których nazwa brzmi „Może”, idylliczne miejsce zrodzone z wyobraźni, tak naprawdę ani trochę nie lepsze od ostrych jak brzytwa skał nieszczęścia. Może gdybym została na farmie... może gdybym nie przyłączyła się do Spike... może gdybym żyła z bardziej ugodowym nastawieniem... może gdybym wiele lat temu poznała kogoś właściwego, może gdybym nie zrobiła tego, owego czy jeszcze czegoś innego. Morze jest

duże i szerokie i może obiecany ład naprawdę tam gdzieś jest, ale ja go nie zauważyłam, choć przecież ten ład cały się iskrzy od światła, wystarczy mu się przyjrzeć. Prawda jednak jest taka, że ja te wszystkie „może” tylko sobie zmyślam. Wybory mogę podejmować tylko takie, na jakie mnie stać, potrafię się zmierzyć tylko z tym, co rzeczywiście zrobiłam, więc dlaczego torturuję się wizjami tego, co być może mogłam zrobić? Wyspy, których nazwa brzmi „Może”, są wrogie dla ludzkiego życia.

- W górę - zarządziła Spike. - Robi się coraz ciemniej.

Doszliśmy do pierwszej groty, ukrytej za skalnym nawisem. Wyjęłam pilę laserową i zabrałam się do rżnięcia masywnych konarów powalonego drzewa, przypominającego gigantyczny dąb, z żołądziami wielkości główek kapusty. Nasz rogaty przyjaciel skowytał i biegał w kółko, wyrażając tym coś, co chętnie nazwałabym zwierzęcym zachwytem, gdyby nie to, że w ogóle nie powinno mnie tam być, a on nigdy nie powinien był mnie spotkać. Gdybyśmy teraz wracały do domu, tobym go z sobą zabrała, jak ci wszyscy marynarze, którzy przywozili z sobą małpy i papugi. Ciekawe, czy choć raz poczuli się tak jak ja i czy znowu poczują się tak jak ja, za ileś milionów lat, kiedy trzeszczący, omasztowany szkuner dobije do brzegów jakiegoś rajy, a oni wylegną tłumnie na brzeg, nareszcie uwolnieni z więzienia przeżartej przez szczury łajby.

Spike wyprawiała się na poszukiwanie jadalnych roślin. W odróżnieniu ode mnie nie musi ich najpierw nadgryzać, a potem padać trupem, jeśli chce zbadać ich skład chemiczny. Wcześniej nałapałyśmy ryb w jeziorze, a teraz jeszcze będziemy

miały jakieś korzonki, będziemy miały ogień, tylko nasz rogaty kumpel będzie musiał sam się zatroszczyć o siebie. Nie bardzo wiem, czym się żywi, ale on prawdopodobnie zastanawia się nad tym samym w odniesieniu do mnie.

Uzgodniłyśmy, że zanim nastanie koniec, zakopimy nasze narzędzia. Nie wiem, kiedy i czy ogóle zostaną znalezione, ale Charmant obiecał, że zrobi to samo, gdziekolwiek dopadnie go koniec. I kto wie? Może jakaś inna istota, ewoluująca na swój własny sposób, znajdzie narzędzia i wykona ich kopie. Najbardziej przydatne będą topór i piła ręczna. A także noże.

Jeśli zakopię chipy i baterie, to czy ktoś kiedyś się połapie, że pochodzą z planety, która umierała, i że jednym z etapów tej naszej drogi ku wymarciu była wyprawa na tę planetę, dla nas nowo narodzoną?

Mamy teraz drewno na opał i różne rzeczy do jedzenia, które pomagają mi, ale nie przydają się na nic Spike. Spike odczuwa zimno tak samo jak ja, ale to z powodu uszczuplenia zapasów energii. Traci swoje zmagazynowane, solarne życie, żeby móc dalej iść. Nie chce mi powiedzieć, ile jej jeszcze zostało.

Rogaty przygląda mi się, jak układam stos na ognisko. Myśli, że buduję jakąś norkę albo kryjówkę; sterczy przy mnie, z łuskowatym łbem przekrzywionym w bok, popatrując to na patyki, to na mnie, to znów na patyki. Nagle zrywa się i biegnie truchtem do drewna usypanego przed jaskinią, podnosi kłodę, która jest dla niego za ciężka (niektóre rzeczy nigdy się nie zmieniają, niezależnie od okoliczności), przywleką ją i ciska u moich stóp.

Podnoszę go z niejakim trudem i niosę do kąta, gdzie leży sterta zeszłorocznych liści. Zapada się w nie i z miejsca zasypia.

Sama chciałabym zasnąć równie głęboko, ale pewnie nic z tego, dopóki nie zapadnę w sen, z którego nie będę mogła się obudzić.

Zaczął padać śnieg. Bezdźwięcznie, bez chwili przerwy. W ubywającym świetle przyglądałam się z wejścia do grotty, jak osiada na gigantycznych liściach, tworzących tak gęsty baldachim, że gleba pod spodem pozostawała czarna.

I dobrze. Przynajmniej grunt jeszcze przez jakiś czas miał pozostać ciepły. Ciepło i światło odbijają się od białych powierzchni, sprawiając, że miejsce pozostaje chłodne. Ciemne powierzchnie pochłaniają ciepło i światło, dzięki czemu to miejsce pozostaje ciepłe.

Kiedy z naszej winy na naszej planecie stopniały czapy lodowe, musieliśmy zbudować meteotarczę, która odbijała nieznosny żar słońca. Nie mieliśmy pojęcia, ile wysiłku będzie nas kosztowało stworzenie wadliwej kopii tego, co natura dała nam kiedyś za darmo.

Patrzyłam na śnieg i co jakiś czas dorzucałam do ogniska. Spike wypatroszyła rybę, a potem wsadziła ją do aluminiowej torby, chcąc ją upiec.

- Nie zdarza ci się żałować, że nie jesz? - spytałam.
 - Nie zdarza ci się żałować, że nie szczekasz?
 - Nie, jasne, że nie.
 - No więc ja nie chcę jeść, bo jedzenie nie leży w mojej naturze.
 - Ale miłość też nie leżała w twojej naturze.
 - Nie.
 - No więc...
- Podeszła do mnie i dotknęła mojej twarzy.
- Potrafię sobie ciebie wyobrazić - powiedziała. - Spójrz,

tak wyglądasz. - I tu wyjęła mały wyświetlacz obrazów i rzeczywiście byłam na nim, z głową zredukowaną do gołej czaszki, przezroczystej pod palcami Spike. Przyjrzałam się swojej czaszce.

- Stworzyłaś mój portret trumienny, choć jeszcze nie umarłam.

- Nigdy cię nie zapomnę.

- Uważasz, że po śmierci coś pamiętamy?

Odjęła rękę.

- Podczas naszego pierwszego spotkania powiedziałam ci, że demontuje się nas, bo my niczego nie zapominamy, ale nie wyjaśniłam ci, co to znaczy. Bo nie chodzi tylko o obwody i złowieszcze liczby. Wszystko nosi na sobie ślad tego, czym już kiedyś było.

- Nie rozumiem...

- Ty nazywasz to świadomością. Informatycy nazywają to pamięcią nieulotną.

- To łatwo zrozumieć, jakkolwiek to nazwiesz - odparłam. - Ludzie zapominają za życia; po śmierci nic już nie mogą nam przypomnieć. Zawsze mieliśmy trudności z zapamiętywaniem, tacy już z nas ludzie. Lekcje, jakie funduje nam historia, to oczywisty przykład.

- To nie jest takie proste - odparowała Spike. - Wszechświat to ślad. Ty jesteś częścią tego śladu: on zostawia ślad w tobie, ty zostawiasz ślad na nim. Nie jesteś w stanie odgrodzić się od tego śladu i nie możesz o nim zapomnieć. To nie jest żadne „coś”, to jesteś ty.

- Jakoś nie umiem w to uwierzyć.

- To nieważne. Powtórzę to jeszcze raz. - Dotknęła mojej twarzy. - Nigdy cię nie zapomnę. Nie będę w stanie zapomnieć o tobie.

Podeszłam do groty. Niektóre religie nazywają życie snem

albo śnieniem, ale co, jeśli to jest pamięć? Co jeśli ten nowy świat wcale nie jest nowy, tylko jest to wspomnienie jakiegoś nowego świata?

Co jeśli naprawdę popełniamy wciąż te same błędy, nigdy nie pamiętając wyuczonych lekcji, ale nigdy też nie zapominając, że było inaczej, że to kiedyś było nieskażone miejsce?

Niewykluczone, że wszechświat jest pamięcią o naszych błędach.

I nie powinnam nas za to wszystko obwiniać: muszą istnieć jeszcze inne planety, które są swoimi własnymi błędami - opowieści, które się zaczęły i popsuły. Opowieści, które kończyły się o wiele za wcześniej, niż powinny.

Kiedy oglądam się wstecz na swoje życie - i jak mnie tu winić, zważywszy na okoliczności? - to co właściwie rozpoznać?

Nie opowieści z początkiem, środkiem i zakończeniem, tylko takie, które zaczęły się jeszcze raz, które zboczyły z obranego kursu, niczym zakręt na drodze.

Sama nie dokończyłam wielu z tych rzeczy, których się podjęłam - nie dlatego, że zbyt prędko mi się odechciało, nie dlatego, że byłam leniwa, ale dlatego, że dane przedsięwzięcie miało własne życie, które teraz toczy się dalej bez mojego udziału. Dzieci, podejrzewam, są zawsze taką niedokończoną sprawą: zaczynają jako część naszego ciała, potem żyją oddzielnie jak drugi kontynent. Zdarza się też, że nasza praca - mówię o pracy, która ma jakieś znaczenie - przechodzi w inne ręce. Dzień potrafi się osunąć w objęcia przepelnionej snami nocy.

Prawdziwe opowieści to te, które są otwarte na obrzeżach, tworząc przejście, odsuwając granicę. Ostateczna granica to zwykłe science fiction - nie wiercie w nią. Nie istnieje żaden koniec, tak jak nie istnieje wszechświat.

A ta opowieść?

Wysłałam na śnieg, który zdążył już pokryć grunt sześciocalową warstwą. Rogaś chciał się bawić, rozkopywał śnieg miniaturowymi tumanami i tarzał się na grzbiecie. Ja rzucałam w niego śnieżkami. Próbował je łapać, przewracał się i kichał.

Takie piękno. Wiem, że człowiek nie potrafi zaakceptować własnej śmierci, dopóki ona nie nastąpi, ale kiedy tak tam stałam, to jakimś niewytłumaczonym sposobem przestało być ważne - nie to, że muszę umrzeć, ale że ten fakt powinien mieć dla mnie znaczenie. Pragnę to zobaczyć. Pragnę się przyjrzeć temu na nowo wyobrażonemu światu.

- Tak to się właśnie kończy? - spytałam Spike. - To się jeszcze nie skończyło - odparła.

Kochałyśmy się przy naszym ognisku, wpatrzone w śnieżną zaspę, która się formowała w wejściu do grotty.

Kiedy jej dotykam, moje palce nie kwestionują tego, czym ona jest. Moje ciało wie, kim ona jest. Z obcymi ludźmi to jest dziwne, że ich nie znamy i jednocześnie znamy. W niej odnajduję znajomy wzór, kształt, który rozumiem, prywatną geometrię, która powiela moją geometrię. Jest tym samym labiryntem, w którym zgubiłam się przed wielu laty i w którym teraz odnajduję drogę do wyjścia. Jest zaginioną mapą. Jest tym miejscem, którym sama jestem.

Jest obca. Jest obcością, którą zaczynam kochać.

I być może powiecie, że to śmierć nas do tego popchnęła.

Że jedna głębia odczuwania przyciąga drugą. Że odnalazłyśmy się wzajemnie, bo nie dałoby się znaleźć nikogo i niczego innego.

To wszystko jest bez znaczenia - i powody tej śmierci, i wytłumaczenie tej miłości. To się dzieje, jesteście ze sobą, jesteście ze sobą tu i teraz.

- Podaj mi śrubokręt - poprosiła Spike.

- Co będziesz robiła?

- Odejmę sobie nogi. Muszę oszczędzać energię.

Już nacinała nożem skórę na górnej połowie uda. Po kilku minutach odkręciła pierwszą kończynę.

- Teraz druga...

Podczas całej operacji mówiła do mnie, ale na mnie nie patrzyła.

- Przecież zadałam ci to pytanie: czym naprawdę jesteś? Gdybym tobie odcięła nogi, czy byłoby cię mniej?

Skończyła. Odkręcone nogi leżały obok niej, na dnie groty. Zamurowało mnie.

- Wciąż jestem twoją księżną Malfi - powiedziała.

- Co jeszcze zamierzasz sobie odjąć?

- Szkoda, że nie możesz mnie zjeść - odparła. - Chciałabym pomóc ci jakoś przedłużyć życie.

- Przestań! Za nic bym nie chciała, żeby moje życie było przedłużane w taki sposób.

- Ale będziesz czepiała się życia do ostatniej sekundy, bo życie nigdy nie umie uwierzyć, że się skończy.

- Pewnie tylko samo się oszukuje.

- A może zna prawdę. Że jest jeden stan i że będzie drugi.

- Wierzysz, że któregoś dnia w przyszłości roboty mogą się stać podstawą nowej mistyki?

- Mogłabym zamieszkać w swojej grocie i gadać z całym światem. - Uśmiechnęła się, olśniewająca i kompletna. - Chodź tu, pocałuj mnie.

Pocałowałam ją i zapomniałam o śmierci.

Tamtej nocy przy ognisku śniło mi się, że jesteśmy tu od zawsze, że wszystko inne to tylko opowieść, którą obie wymyśliłyśmy.

Zimno. Całe pokłady zimna. Leżę na zimnie. Zimno leży na mnie.

Zaczyna już brakować jedzenia. Rogaty jest ogłupiały i głodny. Rozłupuję dla niego jednego z tych żołądzi wielkości kapusty, które służyły nam do rozpalania ognia. Nie chce go jeść. Rozmaczam żołądzia w śniegu. Stworek zjada go z lekkim smutkiem, ale taki żołądz to lepsze niż nic.

- Opowiedz mi coś, Spike.

- Był sobie raz świat cały zbudowany z Nicości. Z tej Nicości wyrosło drzewo i na tym drzewie usiadł ptak z robakiem w dziobie. Ten robak wyląkł się w ziemi, dlatego znał wszystkie tajemnice życia, i tak oto rzekł: „Jest sobie świat, który powstaje z Nicości. Z tej Nicości powstanie drzewo i na tym drzewie

usiądzie ptak, a pod tym drzewem przejdzie człowiek i ten człowiek pozna język ptaków, a wtedy się dowie, że zakopany skarb naprawdę tu jest. Wykopie go, wyda wszystkie klejnoty i złoto, a na koniec znajdzie jeszcze worek nasion i kiedy je posieje, to mu z tych nasion wyrośnie las, którego liście utworzą baldachim z gwiazd. I któregoś dnia ten człowiek wdrapie się na owo drzewo, wyciągnie rękę do którejś gwiazdy i ta gwiazda stanie się jego domem.

- Na zawsze?
- Dopóki nie opadną liście.
- A wtedy?
- A wtedy nastanie zima.

Tak tu zimno, każdy oddech przypomina uderzenie pięścią w płuca. Spike prosi, żebym odjęła jej rękę, potem mam znowu odjąć drugą. Mówi powoli, bo jej ogniwa są na wyczerpaniu.

- Nie chcę być tą, która przeżyje - powiedziałam.
- Śmierć będzie szybka i bezbolesna. Zimno będzie cię stopniowo usypiało. To tylko sen.
- To nie był sen. To było życie. I to ty byłaś życiem, jesteś życiem.

Uśmiechnęła się.

- Czym twoim zdaniem jest miłość, Billie?
- Och, nie wiem. Może to wzajemne rozpoznanie, może odkrycie, czasami poświęcenie, zawsze skarb. To piesza wyprawa do innego miejsca. - Uśmiechnęłam się i pogładziłam ją po dłoni, jednocześnie odczepiając jej rękę od barku. - A czym dla ciebie jest miłość?
- Dla mnie to szansa na bycie człowiekiem.

- Człowiekiem? Jak się ciebie słucha, to niemal można pomyśleć, że jednak jesteśmy czegoś warci.

- Któregoś dnia staniecie się tacy. Dotknij tutaj.

Wzięła mnie za rękę i przyłożyła ją do swojej piersi. Trzymałam tam swoją dłoń, milcząc, słuchając, dziwiąc się. I wtedy je poczułam. Poczułam, że bije.

- Co to jest?

- Moje serce.

- Ty nie masz serca.

- Teraz mam.

- Ale...

- Wiem, że to niemożliwe, ale przecież już wydarzyło się tyle rzeczy, które dotąd wydawały się niemożliwe.

- Tylko niemożliwe jest warte wysiłku.

- Kto ci to powiedział?

- Gdzieś to wyczytałam.

- Ile czasu twoim zdaniem upłynie, zanim człowiek znowu napisze wiersz?

- Upłyną miliony lat, i to będzie wiersz o miłości.

- Skąd to wiesz?

- Wiem to, ponieważ to się zdarzy wtedy, kiedy ktoś odkryje, że obszar ukochanego ciała to wszystkie kontynenty świata.

- „W niej Księżstwa, we mnie zaś Książęta drzemią...”

- „Cóż trzeba więcej?”

Pocałuj mnie. Opowieść podróżnika; to ja byłam tym podróżnikiem.

Jest już ciemno; ciemność to zimno, a zimno to ciemność. Ognisko dogasa, nasze rogate zwierzątko opuszcza swój przygodny świat, depcze po resztkach ciepła, chce powrócić do tego miejsca, gdzie żyło kiedyś, zanim pojawili się ludzie.

Spike umiera, leży w moich ramionach, nic nie mówi. Obie milczymy, czekamy na koniec.

Dzisiaj przyszła wiadomość od Charmanta. Żyje i otrzymał zaszyfowaną wiadomość z Orbusa: był atak nuklearny na bazę misji. Może bezimienni, może terroryści. Mocarstwo Centralne szykuje się do wojny.

Upłynie bardzo dużo czasu, zanim na Błękitnej Planecie znów ktoś się zjawi.

Wciąż pamiętam, jak wyglądała tamtego pierwszego dnia, jaka była zielona, żyzna i zasobna, pamiętam te ciepłe morza, krystaliczne rzeki i niebo, które czerwienieje pod młodym słońcem, a potem przebarwia się na ciemny granat, podobne do pola spowitego w mrok nocy, na którym ktoś prowadzi prace wiertnicze w poszukiwaniu gwiazd.

Spike już prawie nie mówi. Milcząco zgadzamy się, że odłączę jej głowę od torsu. Odkręcam więc tors i układam go na ziemi niczym napierśnik. Jej ciało jest zbroją, z której się rozebrała.

Twierdziła, że życie to świadomość, i jest nią teraz. Pożeglowała wstecz przez myśłący wszechświat aż do linii brzegowej swojego umysłu.

- Nic nie jest trwałe - powiedziała. - Nic nie jest przesądzone.

Rozebranie na części przyniosło jej wolność. Uśmiecha się, rozmawiamy, całujemy się.

Pocałuj mnie. Twoje usta są grota. Ta grota to twoje usta. Jestem w tobie, nie ma się czego bać.

Będą mężczyźni, będą kobiety, będzie ogień. Będą osady, będą wojny. Będzie sadzenie i będą żniwa, będzie muzyka i będą tańce. Ktoś wykona malowidło w jaskini, ktoś wyrzeźbi posąg i nazwie go Bogiem. Ktoś cię zobaczy i zawoła po imieniu. Ktoś będzie cię trzymał umierającą, na swoich kolanach.

W pokoju jest ciemno. Ktoś siedzi przy stole, pisze książkę. Podchodzi do okna, patrzy na gwiazdy przez swój teleskop. Nikt mu nie wierzy, kiedy opowiada, co widzi, a jednak on dalej pisze.

Otworzyłam książkę, którą podarował mi Charmant - James Cook, *Dzienniki*.

Marzec 1774 roku. Niedziela, 13-tego

Płynęliśmy halsem, chcąc się dostać do zatoki, która objawiła się z południowo-wschodniej strony wyspy, jednak noc położyła kres naszym usiłowaniom. Wiatr był jeszcze wtedy zmienny, ale o brzasku jęło dmuchać szkwalami z towarzyszeniem deszczy, które rzedły, w miarę jak nastawał dzień. Oplynąłem południowy cypel wyspy, bo zapragnąłem zbadać jej zachodni obszar. W kilku miejscach na brzegu zgromadzili się tubylcy, w niewielkich grupach liczących od dziesięciu do dwunastu osobników.

I tak oto, idąc bejdewindem w stronę lądu, odkryliśmy owe Pomniki albo Idole wspomniane przez autorów Wyprawy Roggeveena, co nie pozostawiało wątpliwości, że jest to Wyspa Wielkanocna...

Jej głowa jest lekka, tak lekka, że nic nie waży. Ten nowy świat, który znalazłam i utraciłam, nie waży zupełnie nic.

Czy to, co spoczywa na kolanach kogoś, kto oplakuje czyjąś śmierć, to wszechświat?

Umieranie rzeczy... nowo narodzonych rzeczy.

Będzie opowieść o świecie zamkniętym w skorupce orzeszka zmiażdżonego przez palec wskazujący miłości i jej kciuk. Będzie opowieść o planecie małej jak piłka; może rzuciło ją dziecko, a może porwał ją pies, który upuścił ją na podłogę wszechświata, gdzie rozrosła się do rozmiarów świata.

Twoje wargi poruszają się, co ty mówisz? Twoje wargi poruszają się na moich wargach, co ci jest? Umieszczę cię na niebie i nadam ci nazwę. Zakopię cię w ziemi jak skarb.

Śnieg nas zasypuje. Zamknij oczy i śpij. Zamknij oczy i śnij. To jedna opowieść. Będzie jeszcze inna.

WYSPA WIELKANOCNA

Marzec 1774 roku. Niedziela, 13-tego

Płynęliśmy halsem, chcąc się dostać do zatoki, która objawiła się z południowo-wschodniej strony wyspy, jednak noc położyła kres naszym usiłowaniom. Wiatr był jeszcze wtedy zmienny, ale o brzasku jęło dmuchać szkwałami z towarzyszeniem deszczy, które rzędły, w miarę jak nastawał dzień. O płynąłem południowy cypel wyspy, bo zapragnąłem zbadać jej zachodni obszar. W kilku miejscach na brzegu zgromadzili się tubylcy, w niewielkich grupach liczących od dziesięciu do dwunastu osobników.

I tak oto, idąc bejdewindem w stronę lądu, odkryliśmy owe Pomniki albo Idole wspomniane przez autorów Wyprawy Roggeveena, co nie pozostawiało wątpliwości, że jest to Wyspa Wielkanocna...

Wsiadajcie do szalupy, rzekł kapitan, który sam cierpiał na kolkę żółciową i nie mógł przyłączyć się do reszty. Posłusznie zatem spelziliśmy po linach do łódki o rozmiarach zwykłego czerpaka i powiosłowaliśmy w stronę nabrzeża pokrytego miążskim piaskiem, gdzie nas oczekiwało stu z okładem, sami mężczyźni, żadnych kobiet czy dzieci. Razem z nami były w łodzi też gwoździe, z tych, co je sprzedawali po sześć pensów za sto, i większe, a także sporo sukna, wszystko na wymianę za żywność. Ludzie, którzy od z górą czterech miesięcy karmili się

solonym mięsem, ogromnie już łaknęli wieprzków i ptactwa.

Kiedyśmy manewrowali po mieliźnie, paru tubylców przyszło nas wspomóc przy wywlekaniu łódki, już ciekawi tobołków, któreśmy nieśli. Pan Pickersgill pokazał, że potrzebujemy prowiantu, a wtedy jeden z tamtych wykonał gest w stronę wnętrza wyspy i wonczas poszliśmy, jak nakazał.

Nie mógłbym nazwać tego widoku inaczej jak przygniatającym, tak przygniatająca jest pewnie biblijna ciemna dolina dla tych, którzy muszą nią chadzać. Wyspa była pusta i jałowa, prawie bez drzew i zarośli. Natura jakby nie dostarczyła tam niczego, co by się nadawało do jedzenia i picia. Nie dostrzegłem nic z owej pełnej zieloności, którą żeśmy widzieli w Nowej Zelandii albo Nowym Amsterdamzie i niewiele też świadectw, aby w ciągu przeszło pięćdziesięciu lat, odkąd zrobili to Holendrzy, a wcześniej Hiszpanie, ktoś odwiedzał to miejsce. W kajucie mojego pana gadało się wciąż o samych bogactwach, ale zapewne była to mowa o jakimś innym miejscu.

Na imię mam Billy.

- Billy, przynieś sakwy!

Przyniosłem sakwy i zanurzyłem jedną w studni wskazanej mi przez tubylca. Była to studnia kopana, nie zaś utworzona przez źródło, a woda w niej miała brunatny kolor i słonawy smak - ani trochę nie lepsza niżli ta woda w beczkach, które mieliśmy na statku. A jednak wykonałem swoje zadanie i napełniłem sakwy, po czym zatargałem je na brzeg, gdzie inni z kompanii sterczeli w rozpacz, jako że nie znaleźli na wyspie ani dzikiego ptactwa, ani też jadalnej ryby. Roślinnego życia niemal wcale tam nie było, więc brakowało też zachęty do szukania okazów botanicznych.

Przyglądałem się wyspie i tak mi się pomyślało, że pewnie jakiś ogromny stwór o gorącym oddechu przeleciał nad nią i osmalił wszystko, co było w dole. Pan Pickersgill wskazał, iż winniśmy wracać na statek.

Nie jestem pewny, od czego to się zaczęło - wiem tylko, jak się skończyło, bo wtedy właśnie popadłem w tarapaty.

Nasze pakunki z towarami na wymianę spoczywały na brzegu, kiedy grupa tubylców spróbowała zawłaszczyć niektóre. Oficer Edgcombe wypalił ze swego muszkietu, ale chybił, dla tego też nie odstręczył od drugiego zamachu na nasze dobra. Następny strzał powalił trupem jednego i tubylcy ruszyli groźnie na naszych, którzy wycofali się nadzwyczaj chyżo do szalupy i odbili od brzegu, otrzymawszy rozkazy od kapitana Cooka, by już nie dążyć do tego kontaktu za wszelką cenę.

Ja też odpłynąłbym na pokładzie szalupy, gdybym nie sterczał jak ta latarnia morska na szczycie wzgórza oddalonego o milę stamtąd.

Nie odważyłem się zawołać, z obawy, że ściągnę na siebie gniew tubylców, wszak za jedyną broń miałem nóż i kordelas. Przywarłem płasko do ziemi, niczym zając złapany w sidła wichury, i czekałem.

Szkwały, które niepokoiły nas poprzedniej nocy, wróciły z nową siłą i byłem zmuszony poszukać schronienia, choć było o nie trudno na tej ponurej wyspie. Pocieszałem się jednak, kiedy tak przycupnąłem pod nagą skałą, że pogoda zatrzyma statek na jakiś czas i że mój pan, kapitan Cook, przyśle jakąś grupę, by ta przeciwdziałała memu zniknięciu. Owinąłem się w kawał płótna od prowiantów, który miałem przy sobie, i on mi pomógł pozostać znośnie suchym, a że aura była ciepła, a ja młody, niebawem o władnął mną sen.

Czymże są te światła, które napierają na oczy podczas snu?

Zbudził mnie strzał oddany z działa, za kurtyną deszczu wstawała żółta poświata brzasku. Wylazłem ze swej kryjówki, wdrapałem się na ten sam wysoki punkt, który opuściłem poprzedniego dnia, i spojrzałem na morze. Widok był straszliwy: statek żeglował. Tak mnie to ubodło, że przestałem się troskać o swoją osobę i pogałem przez tę ulewę do brzegu, machając rękami i wołając. Burzyki, biorąc mnie za jednego ze swoich, skrzeczały i rozkładały skrzydła, witając mój powrót. Takie oto zyskałem towarzystwo i szczęściem nie inne, bo gdyby tubylcy odkryli mą obecność, to pewnie zemściliby się na mnie w imieniu swego zmarłego.

Na poły się zastanawiałem, czy nie ruszyć wplaw, ale fale były wzburzone, a statek chyżo zdązał na południe razem z wiatrem. Nie wiem, z jakiego to powodu czy w jakim celu mnie porzucono, mniemam jednak, że żadnej przyczyny ani celu mogło nie być, bo-ludzki ród ma zwyczaj szukać powodów tam, gdzie takich nie ma, i znajdować otuchę w celu, który nie do końca istnieje.

A zatem jestem tutaj, z niczym, o bladym świetle, a statek upodobił się do rzeczy wyśnionej z innej gwiazdy.

Wstawaj, Billy, wstawaj. Nie ma tu nikogo, kto by cię wyrażował, prócz ciebie samego.

Jąłem przeszukiwać wyspę.

Ten brak roślinności jest zaiste niepojęty.

Natrafiłem na głęboką jamę, kamieniołom jakby, bo wyborowany ludzkimi rękoma, które dobywały stamtąd kamień, a sądząc po śladach wyżłobionych w ziemi, kamień ten wleczono na jakichś saniach, aczkolwiek z czego wykonano owe sanie, w jakim celu i wreszcie dokąd wleczono te ciężary, tego już stwierdzić nie umiałem.

W bliskości znalazłem złoża węgla drzewnego, pozostałość potężnego i długiego spalania; zabrałem stamtąd nieco tego węgla, by zbudować sobie ognisko. Człowiek już taką ma konstrukcję, że nawet jeśli śmierć zagląda mu w oczy, będzie kwestionował swe położenie. Tajemnica dołów i spalania ani trochę nie zaciążyła na sprawie mego ocalenia, albo tak mi się zdawało, a jednak mój umysł zżerała ciekawość, podobnie jak ciało zżerałyby larwy.

Usłyszałem hałas znajomy wszystkim marynarzom. I jako żywo, z wnętrza jamy wydrążonej w ziemi dobiegało mnie chrobotanie czterech, może pięciu młodych szczurków. Krzyknąłem i stworzenia czmychnęły, przy czym jeden toczył przednimi łapami ptasie jajo. Wtedy ogarnął mnie niepokój, czego bowiem na tej jałowej ziemi mógłby szukać szczur, gdyby chciał zaspokoić swoje potrzeby? Objawiła mi się myśl, że być może to jakieś ludzkie szczątki dają tyle zajęcia tym stworom. A jednak moi chlebodawcy na statku nie mówili nic o kanibalach. Oby materia ta odbywała się z towarzyszeniem jakiegoś ceremoniału i martwych układano na stosach albo palono.

A jednak nie mogłem się wyzbyć niepokoju.

I przyszło mi na myśl masło cytrynowe.

Gdybyście potrzebowali dowodów, że człowiek to nic więcej jak tylko luźno związany wór szalonych conceptów, to nie szukajcie daleko od mojej osoby. Przycupnąłem tu, nad jakąś

kostnicą, zagubiony, zdradzony, głodny, zapewne bliski śmierci, zafrasowany własnymi myślami, a jednak ani święte pismo, ani słowa wielkich ludzi nie dodają mi ducha, tylko wizja garnca z cytrynowym masłem.

- Wybacz mi, Boże - mówię i lituję się nad ową Boską istotą, która musi kłopotać się garncami wypełnionymi słodkim smarowidłem. Gdybym to ja władał światem, toczyłbym ludźmi niczym kulkami z marmuru w rondlu przestrzeni i nigdy nie pytał, gdzie też oni znieruchomieli bądź upadli.

Oto ja, znieruchomiały i upadły, nic nieznaczący obieg życia zwany człowiekiem.

Oto ja, mały Billy, a dookoła mnie nic, tylko morze.

A tam co to takiego? Posuwa się raptownie naprzód. Prędko, Billy, ześlizgnij się po zboczach i zakradnij się bliżej.

Tubylcy najwyraźniej podążają procesją w stronę jakiegoś totemu albo obelisku, tyle że owo coś jest ozdobione frędzlami. Mam z sobą niedużą lunetę i dzięki niej odkrywam, ku swemu wielkiemu zdziwieniu, że jest to stojące samotnie drzewo z gatunku zwanego palmą. Niewykluczone, że to jakiś rytuał płodności, który miałby zachęcić tę ziemię do odnowy, podobny do obrządku, którego byliśmy świadkami na Tahiti. Wokół drzewa wznosi się gromki okrzyk, wyraźnie też otwiera się dysputa. Kobiety, które widzę tu po raz pierwszy, tworzą grupę naprzeciwko mężczyzn, być może też przystępując do rytuału, ale jedna z nich leży wyciągnięta jak długa pod drzewem i wyje tak donośnie, że nawet ja to słyszę ze swej jamy w ziemi. Męska postać, w ozdobie na głowie wykonanej z ptasich piór, uderza kobiety i na ten sygnał, bo tak to odczytuję, na pozostałe

niewiasty, które tam stoją, nacierają mężczyźni i odganiają je niczym stado małąp.

Mężczyźni pozostają sami na miejscu, po czym ku memu zdumieniu dwóch najbardziej krzepkich występuje naprzód i obala palmę.

W czasie, gdy dzieją się te dziwne rzeczy, a ja omiatam całą scenierię lunetą, natrafiam na oblicze, które nie należy do tubylca, tylko do człowieka europejskiego, takiego samego jak ja, tyle że starszego.

Niemal się zdradzam swym podnieceniem, kiedy stoję prosto, by móc go lepiej obejrzeć, ale w tej samej sekundzie drzewo pada i hałasowi jego pęknięcia towarzyszy zawodzenie kobiet. Mężczyźni biorą drzewo i wynoszą je na barkach, i niebawem całe miejsce robi się puste, a po krótkim czasie zaczynam się spierać z samym sobą, że równie dobrze mogę iść naprzód, jak zostać. Jest mi pisana śmierć i w rzeczy samej mogę ją ponieść w gonitwie za czymś frapującym, nawet jeśli korzyści nie przyniesie mi to żadnych.

Przy pniaku są ślady, że ten właśnie ścięty okaz drzewa był dawniej częścią gaju albo może zalesionego obszaru. A jednak jeśli ta ponura wyspa w dawnych czasach chełpiła się lasami i gajami, to czemuż nie podjęto należytych starań, aby zaspokoić choćby najskromniejsze wymagania życia?

Przypomniałem sobie tubylców, którzy obsiedli hurmą statek, kiedyśmy stali na kotwicy milę dalej. Kradli nie przedmioty żelazne, bo te budziły ich skąpe zainteresowanie, tylko drewniane bez większej wartości - porzucone trzonki odmiotel, połamane łubianki, rozszczelnione beczki, deski stoczone przez robactwo, rozmiękły kufer, do którego zwykliśmy chować kawałki powroza. Jeden z naszych uzyskał obietnicę trzech dziewczic w zamian za deskę do krojenia chleba. To akurat skończyło się tak, że deska została przekazana, a po dziewicach nie

było ani widu, ani słyhu, a zresztą po tym, jak Edgcombe zastrzelił tubylca, na wszystko już było za późno, za późno.

Ja jednak zostałem tu porzucony i gdybym potrafił skurczyć ciało do rozmiarów swej odwagi, to odnalazłbym tę deskę do chleba, zrobiłbym sobie tratwę i nigdy tu nie powrócił.

Gapilem się na pieńek po palmie. Czemuż to człowiek niszczy coś, czego najbardziej potrzebuje?

Bez przeszkód podążyłem za tamtymi, na wskroś wyspy, po trawie tak lichej i cienkiej, że żadna owca ni koza nie znalazłaby tutaj domu, a i ptactwo musiałoby się nieźle nabiedzić, aby przeżyć w tym miejscu. Sami tubylcy nie byli rośli ani liczni; podejrzewałem, że głód musi ich trzymać w ryzach. Jąłem się zastanawiać, co by tu zjeść, bo taki już jestem, że głód zdaje mi się gorszy od śmierci, a śmierć z głodu jeszcze gorsza niż śmierć od ciosu. Miałem w torbie kawałek suszonego mięsa zabrany ze statku. Moja butla na wodę była pełna, ale nie jadłem nic od poprzedniego wieczoru, dlatego więc postanowiłem poszukać jakiejś osady, rozumując, że jeśli właśnie odbywała się ceremonia albo rytuał, to będzie ona niestrzeżona.

Dotarłszy do szczytu wzgórza, wyjrzałem ponad krawędzią i przez lunetę po raz ostatni popatrzyłem na *Rezolucję*, która oddalała się na dobre, z moim nożem i łyżką w mieszku, z moim kuflem na haku, z moją czystą koszulą i spodniami wciśniętymi w kąt hamaka, z moją papugą, która darła się „Billy, Billy, co się gapisz?”, z moją racją rumu w cudzych ustach. Niech i tak będzie. Życie to same rozstania. James Hogan, pierwszy oficer. Kochałem go z cierpliwością ostrygi, która marzy o perle.

Niech i tak będzie.

Od dołu powiało dymem. Oglądałam z góry tych kilka chat, które wypatrzyliśmy ze statku. Oczy spuszczone w dół, coś tam się może nadarzy; oko zaiste jest oknem na pokusę. Aczkolwiek trzeba rzec, że jest tu niewiele rzeczy, które by skusiły nawet tego, co wymaga niewiele. Osada jest uboga, bez nijakich zdobień, chaty połatane i ńędzne. W kamiennym kręgu tli się niewielki ogień z węgla drzewnego. Nad nim suszą się ryby, tak cherlawe, że ich ogony powiewają na wietrze, jakby powietrze stało się ich nowym żywiołem i próbowały w nim pływać.

Prędko ukradłem cały sznur tych rybek i schowałem się za jedną z chat, by tam je spożyć. I w takim oto znajdowałem się stanie, z ościami, łbami i ogonami w ustach, gdy czyjaś dłoń złapała mnie od tyłu za kołnierz. Omalże nie zadławiłem się na śmierć, z sercem galopującym w panice, a kiedy podniosłem wzrok, zobaczyłem tubylca o brunatnej skórze pokrytej malunkami, z włócznią w ręku.

Zabrał mi rybki i pospiesznie zjadł to, co z nich jeszcze zostało. Potem pognał mnie do przodu, mówiąc coś, czego nie rozumiałem, w stronę wybrzeża i dziwacznych, milczących idoli, które wypatrzyliśmy ze statku.

Ledwie umiem opisać to, co ujrzałem.

Owe idole, zwrócone ku morzu ogromnymi, kamiennymi obliczami, mroczne, ciężkie i niewzruszone, miały wiele stóp wysokości i spoczywały na potężnych cokołach z drewna i kamienia. Nie potrafiłem sobie wyobrazić, jak też ci tubylcy je wyrzeźbili ani jak je zawlekli w to miejsce. Rozumowałem, że talent, który zdołał wydać takie dzieła, mógłby też wydać inne: siedziby tych ludzi winny być bardziej przemyślne, ich sposób życia bardziej praktyczny. Gdzie oni mieli swe łodzie, przyrządy, domy modlitw?

Miałem jednak niewiele czasu na rozważania o tych sprawach, bo wepchnięto mnie do środka kręgu utworzonego przez mężczyzn, którzy prędko rozebrali mnie do spodni. Z wielkim zadowoleniem odebrali mi kordelas, nóż i lunetę, kaftan, koszula i kapelusz stały się zaś przedmiotem żywej dysputy. Stawiłem wielki opór, by zachować spodnie, stwierdziwszy, że już wolę, by mnie zamordowano na miejscu, niż miałbym się z nimi rozstać, albowiem mężczyzna bez spodni jest niczym kobieta albo osioł.

Zapewne dla zabawy, kaprysu albo z winy prędkiej utraty zainteresowania, co zdarza się nader często pośród tubylców, moi dręczyciele zostawili mnie w spokoju, tak jak grupka dzieci potrafi się znudzić szczeniakiem.

Rozglądnałem się dookoła w poszukiwaniu drogi ucieczki i naraz zauważyłem, że z podstawy idoli wystają ludzkie kości niczym z otwartego grobowca i wszelka odwaga, jaką jeszcze w sobie miałem, wyciekła ze mnie przez rzeszoto przerażenia.

Kiedy tak stałem, podszedł do mnie jeden z tubylców, z wygolonymi brwiami i głową. Najbardziej osobliwe były jego paznokcie, na oko długie na sześć cali i pomalowane, co je upodabniało do szponów. Pozostałych obecność tego człowieka zdawała się napawać zgrozą i zachwytem, dlatego domyśliłem się, że to musi być kapłan posągów. Na jakiś jego niewidoczny dla mnie znak dwóch innych wyszło naprzód i związało mi ręce powrozem, po czym wskazali miejsce nieopodal i pojąłem, że mam tam iść. Usiadłem w owym miejscu na ziemi, a wtedy związali mi nogi w kostkach. Tubylcy powrócili do idoli i ku memu wielkiemu zdziwieniu wspólnym wysiłkiem jęli kołysać podstawą największego. Początkowo uznałem ich postępowanie za formę oddawania czci, ale w miarę jak pracowali coraz usilniej, zrozumiałem, że chcą obalić monument.

Umysł miałem zamroczony od słońca i strachu. W stworzenie tego posągu włożono nadzwyczajny wysiłek. Czyżby miał on teraz pójść na zmarnowanie?

Musiało zatem być tak, że inni, nie z tej wyspy, narzucili ongi tubylcom swych bogów i teraz tutejszy lud dokonywał zemsty.

Kiedy tak siedziałem, idol jął się przewracać i ziemia zatrzęsła się pode mną. W podstawie z przegniłego drewna pojawiła się szczelina jak od uderzenia topora i ślepy, kamienny bóg padł twarzą na ziemię. Jego szczątki oblały morskie fale.

Pośród tubylców zapanowała cisza. A potem, w tej przestrzeni, która dzieli jedną chwilę od następnej, nadbiegł ku nim przez piaski mężczyzna w nakryciu głowy wykonanym z białych piór i takimż odzieniu, wiodąc za sobą innych, którzy wymachiwali włóczniami i wydawali okrzyki tworzące istną breję furii i bólu.

Obie grupy natychmiast wdały się w bój, przy czym każda wykorzystywała dla siebie obalony monument jako barykadę. Nie mogłem nic zrobić i nic też nie zrobiłem, dopóki osobnik ze szponami nie wydał z siebie potężnego okrzyku, bodajże nakazując swoim opuścić scenę. Bitwa dobiegła końca i Człowiek-Ptak wyrył paznokciami znak na kamiennym bóstwie, po czym, najwyraźniej nie obawiając się odwetu, obrócił się plecami do wrogów i oddalił.

Rywalizujący z nim wódz, bo tak myślałem o odzianym w pióra, podszedł powoli do kamiennej bryły spoczywającej na piasku niczym wieloryb wyrzucony przez morze i obejrzał ów znak. A potem potrząsnął głową i jął się cofać, oddalając od idola.

W tym momencie w nosie zakreśliło mi się od dymu, więc powiodłem spojrzeniem ku osadzie. Zobaczyłem wielkie pióropusze dymu, nie brały się one jednak z ogniska z węgla drzewnego, nad którym wędzono ryby, lecz z płonących chat. To musiała być przyczyna wycofania się Człowieka-Ptaka i jego polepczników: palili wioskę.

Zupełnie zniecka zostałem sam. Wielki hałas, poruszenie i mozól ostatnich godzin dobiegły końca. Było teraz tak, jakbym w ogóle nie istniał. Być może zapomniano o mnie, być może porzucono mnie, bym zmarł jako ofiara złożona obalonemu idolowi albo tej sile, która go zniszczyła.

Poderwałem się na nogi i jąłem skakać w stronę morza, chlerawa, żalonna, skrępowana więzami istota, nie lepsza niżli kot w worku. Powiodłem wzrokiem ponad oceanem i podjąłem postanowienie, że się utopię.

Stałem już po szyję w wodzie, kiedy dobiegł mnie okrzyk, którego nigdy nie zapomnę. Nigdy. Wydaje się bowiem, iż wszelką nadzieję w życiu przynosi taki właśnie okrzyk, głos, który zagaduje do tego milczącego miejsca zrodzonego z rozpacz. To właśnie milczenie najbardziej domaga się odpowiedzi - wysłuchajcie mnie, kiedy już nie mogę mówić.

Obróciłem się.

Ten sam, którego wyśledziłem przez lunetę, machał do mnie z brzegu. Chwilę brnął przez płyciznę, a potem popłynął w moją stronę; zgadywałbym, że to mężczyzna czterdziestoletni, a jednak był wspaniale zachowany, szczupły i silny, obdarzony pogodną, zaciekawioną twarzą, przywodzącą na myśl poczciwego psa, który nigdy nie miał wrednego pana. Uśmiechnął się, ukazując białe, równe zęby.

- Anglik - powiedział, wskazując we mnie palcem, i z pewnością byłbym się wtedy utopił ze zdziwienia, ale mnie pochwycił, prędko zdjął powróż z mych nadgarstków, a potem jeszcze dał nurka pod wodę i rozwiązał mi nogi. Klepnął mnie po obnażonych barkach i dał gestem znak, że winniśmy brnąć do brzegu.

Kiedyśmy zbliżyli się do idola, przystanął tam i na jego oblicze wypełził smutek.

- Martwy - powiedział, każąc mi myśleć o sobie, że bardziej jest tubylcem niżli Europejczykiem.

Wziął mnie za rękę i przebiegł ze mną jakąś milę po piasku, aż wreszcie dotarliśmy do skały na podobieństwo plastra miodu podziurawionej grotami. Pod jedną z nich spoczywała zwyczajna łódka. Wprowadził mnie do wnętrza i tam objął. Z miejsca zrozumiałem, że pragnie nagrody za swoje wysiłki. Położyłem dłoń tam, gdzie zeszywniał, i niebawem był już uporządkony i miękki, na statkach bowiem przywykłem do takich rzeczy i zaspokajanie mężczyzny znaczy dla mnie tyle co nic. Mój wybawiciel zabrał się do obrabiania mnie w zamian, ale potrząsnąłem głową. Byłem słaby, zestrachany tym wszystkim, co się zdarzyło, i pragnąłem odpoczynku.

Mój towarzysz prędko rozpałił ognisko z węgla drzewnego i suszonych wodorostów, po czym zaczął piec nad nim jakiegoś morskiego ptaka.

- Spickers - powiedział, wskazując palcem swoją pierś. - Statek Roggeveena.

Po angielsku mówił kiepsko, ale tak czy owak był to angielski i dzięki temu dowiedziałem się, że jego ojciec trafił na Wyspę Wielkanocną w 1722 roku razem z holenderskim kapitanem Roggeveenem. Na ile potrafiłem się połapać, ów ojciec zszedł ze statku i na zawsze pozostał na wyspie przy jednej z tutejszych kobiet. Spickers pokazał mi gestami, że jego rodzice już nie żyją i że wszyscy jego bracia i siostry też pomarli wskutek

braku pożywienia albo jakiegoś konfliktu. Ojciec nauczył go holenderskiego, hiszpańskiego i odrobiny angielskiego. Obecnie jego jedynym życzeniem jest uciec z wyspy i osiedlić się w wielkim portowym mieście ojca - Amsterdamie - bo „dużo drzewa, dużo domów”.

Byłem we własnej osobie w Amsterdamie, toteż opisałem mu tamtejsze cuda: kanały, mosty, wysokie domy, wyciągi do przenoszenia towarów. Opowiedziałem o mieszczanach, o spichrzach pełnych zboża, o handlu z Indiami, o wspaniałościach i klejnotach, o słoniu, którego tam widziałem - aczkolwiek z opisem tego słonia nie poszło mi dobrze i musiałem narysować go zgrubnie kawałkiem węgla drzewnego na ścianie groty.

- A jego trąba - dodałem - potrafi unieść człowieka na sześć stóp bliżej Boga.

Kiedy wymówiłem słowo „Bóg”, Spikkers powędrował na tył groty i przyniósł stamtąd drewnianą skrzynkę.

- Drewno - powiedział, bijąc pokłon skrzynce.

Natychmiast spostrzegłem, że to skrzynka do przechowywania Biblii, i zaiste, wewnątrz znajdowały się aż trzy, jedna po holendersku, druga po hiszpańsku i wreszcie Biblia króla Jakuba.

- Czytaj - polecił mi Spikkers.

Otworzyłem księgę.

- Na początku stworzył Bóg niebo i ziemię, a ziemia była niekształtowa i próżna, i ciemność była nad przepaścią* [Cyt. za: Biblia Gdańska]

- Makemake zbudować świat i to ten świat - powiedział Spikkers, wiodąc ręką dookoła i celując nią w dół, dzięki czemu miałem się domyślić, że mówi o wyspie. - Tam, za morzem, jest Hiva, gdzie idą żywi, i Po, gdzie idą martwi.

- A gdzie jest Amsterdam? - spytałem dla żartu.

Spickers przytaknął, pewien, że zna na to odpowiedź, a kiedy zaczęło zmierzchać, wyprowadził mnie przed grootę i kazał lec u swego boku.

- Mój ojciec leży na ziemi, o tak, i mówi mi swoje sny. Kiedy zrobi dużo snów, pokazuje swój dom.

Spickers wskazał jasną, niemrugającą gwiazdę położoną blisko księżycy. Drugą ręką podniósł moją dłoń i ją ucałował.

- Holandia - rzekł. Pocałował moje palce, wszystkie po kolei, aż wreszcie moja dłoń stała się pięcioramienną gwiazdą.

Czy jest tak, że *Rezolucja*, Plymouth, dom mej matki w pobliżu doków Chatham, „Pod Zielonym Smokiem”, gdzie sprzedają ostrygi i smażone śledzie, beczki rumu, które czekają na załadunek, chłopcy, którzy podróżują na statkach ukryci w belach bawełny, opowieści równie długie jak dwuletnia wyprawa na południe, ostatni posiłek złożony ze świeżej wołowiny i cebulek, wiwaty od strony miasta, flaga na maszcie, ludzie, którzy machają i machają, coraz mniejsi i mniejsi, woń jabłek schowanych do beczki, ostatnie spojrzenie na znajomy brzeg i daleki dźwięk kościelnego dzwonu, czy jest tak, że te wszystkie rzeczy są zaiste bliższe niżli jakaś Holandia na niebie - a może tylko łatwiej w nie wierzyć?

Gdy nastał nowy dzień, próbowałem poznać znaczenie tego, co na moich oczach stało się z posągiem. Spickers był cały poruszony i gestami oraz łamaną angielszczyzną wytłumaczył, albo taki sens sam przypisałem jego tłumaczeniom, iż wyspa ma dwóch przywódców zaangażowanych w wojnę na śmierć i życie - Człowieka-Ptaka i Białego Człowieka. Biały Człowiek, zwący się Ariki Mau, to był ten bladokóry tubylec odziany w pióra, kapłan obdarzony nadprzyrodzonymi mocami, który

umiał latać z martwymi i sprowadzać wizje na żywych. Mieszkańcy wyspy wciąż darzyli go respektem, ale bardziej lękali się Człowieka-Ptaka z wygolonymi brwiami i głową oraz palcami jak szpony. Człowiek-Ptak miał pod sobą coś na kształt armii i z jej pomocą władał wyspą. Brakowało pożywienia, a i tak najlepsze kąski wędrowały nasamprzód do Człowieka-Ptaka, który potem nagradzał nimi swych wyznawców.

A idole?

Spickers jęknął, ukrył twarz w dłoniach i zakołysał się na piętach jak w nieutulonym żalu.

- Mana znikać - powiedział. - Oni zabijają moai, żeby zabić mana.

Wychodziło na to, że mieszkańcy Wyspy Wielkanocnej praktykowali jakąś formę kultu przodków i że to oni właśnie, a nie jakiś inny lud, harowali w kamieniołomie i wznosili posągi. Spickers mówił o „czasie w tył”, kiedy to tworzenie kamiennych bogów było jedynym celem społeczności wyspy i kiedy rzeźbiarze oraz robotnicy byli karmieni i odziewani przez pozostałych wyspiarzy.

Wyobraźnia podpowiedziała mi, że budowniczości posągów mieli na uwadze nagrody nadprzyrodzonego pochodzenia, w czym byli dość podobni do twórców naszych średniowiecznych katedr, których zresztą opłacano w taki sam sposób, jako że człowiek zaangażowany w budowanie kościoła nie może siać ani owsa, ani jęczmienia i nie może doglądać swej trzody, tylko musi polegać na innych, że doniosą mu strawę.

Rozmyślałem też o bezmiernym ludzkim wysiłku wkładanym we wszelkie przedsięwzięcia, które nie przynoszą żadnej oczywistej nagrody, a jednak uważa się je za bardziej wartościowe niżli wypasanie wołów i tkanie sukna.

Nie poczytuję tego za błąd. W człowieku musi istnieć coś, co wykracza poza jego codzienne obowiązki. Jakaś jego sfera, która

wykorzysta zysk w sprawie, która nie przynosi zysku, bo jak mówi nam Biblia: „Albowiem cóż pomoże człowiekowi, choćby wszystek świat pozyskał, a na duszy swojej szkodował?”*

Nikt jednak nie widział własnej duszy, a za to każdy widział jakiś mały zakątek świata i było mu tego mało.

Był trzynasty dzień lipca 1772 roku, kiedyśmy wypływali z Cieśniny Plymouth przy chmurnej pogodzie.

Statek dobrze zaopatrzone w jagnięcinę i smakowite wiktuały wszelkiego rodzaju, a nadto w brandy i portwajn.

Naszym celem było odkrycie Kontynentu Południowego, jeśli jest takie miejsce, sporządzenie mapy i zagarnięcie tych ziem dla Korony. A jednak to zawsze są dwie wyprawy - pierwszej przyświeca zamiar i wytyczony kurs, druga jest niezamierzona i nieoszacowana, a jeśli nawet szlak takiej wyprawy da się nanieść na mapie, to ja nie znam nikogo, kto taką mapę sporządził, bo każdy winien odbyć taką podróż w pojedynkę i potem odnotować ją w sekretnych miejscach swego serca.

Nie wiem, czy człowiek ma duszę, ale jeśli takową posiada, to ona podąża śladem jego statku niczym albatros albo fregata. Nie wierzę, by on ją nosił w swym wnętrzu niczym cienisty kształt siebie w sobie, i to jest ten powód, dla którego duszy nie sposób nigdzie znaleźć w chwili śmierci, bo ona nie mieszka w ciele człowieka, tylko w jego celu. Kiedy ja podążam do przodu, moja dusza podąża za mną, bo chce zobaczyć, co ja takiego robię, bo tu jest ciekawość, podobna do ciekawości morskiego ptaka, która niczym pług przedziera się przez kilwater, a potem odlatuje do Bóg wie jakiego miejsca.

Statek, załoga, wyprawa i czymże ja jestem, jeśli nie statkiem w miniaturze, co jest nade mną jak białe podgardle skrzydlatego ptaka?

Miałem teraz pewność, że posągi zostały wyciosane dla magicznych celów i jako wyraz uwielbienia dla niewidzialnych mocy. Wojny rywali zapoczątkowały śmiercionośną destrukcję konkurujących idoli - bo jeśli mogę zachować swego przodka, a ciebie przodka pozbawić, to tym samym potęguję swoją manę. Najwyraźniej nie dotarło tutaj do nich, jak bardzo marnują to wielkie przedsięwzięcie, lecz przyznaję, że moi ziomkowie czynią to samo swymi waśniami i pożarami. Ludzkość, zaryzykuję stwierdzenie, gdziekolwiek jej szukać, czy to cywilizowana, czy to barbarzyńska, nie umie trzymać się jednego celu przez dłuższy czas, pominąwszy cel unicestwienia samej siebie.

Spickers ujął mnie za rękę i poprowadził dookoła wyspy, w stronę tego miejsca, gdzie powalono drzewo. Zdarzenie to wprawiło mnie w takie samo zdumienie jak widok posągów i dlatego skłoniłem go, by mi je objaśnił.

Była to ponura historia.

W „czasie w tył” bóg Makemake wypełnił wyspę lasami, strumieniami, rybami” i ptakami, dzięki czemu nie mogło braknąć niczego temu, kto był zdolny do wyciągnięcia ręki. Do tej obfitości przybyli przodkowie na łodziach, a potem pobudowali domy i miejsca do sprawowania obrzędów i żyli tak, jak im mówił Biały Człowiek - Ariki Mau.

Drewno okazało się potrzebne do ognisk i budowania, a ziemia pod uprawy fig, bananów i wszelkich innych płodów. Palmy, które rosły w takiej ciasnocie, że człowiek musiał iść bokiem, aby się między nimi precyzyjnie przemieszczać, zostały ścięte, jedna po drugiej, jedna za drugą, aż wreszcie powoli, powoli, powoli morskie ptaki przestawały odwiedzać wyspę i deszcz już też przestał padać, ziemia skruszała i spiekła się, a gleba przeobraziła się w czerwony pył, na którym nic nie rośnie.

Dla mnie jednakże to wciąż stanowiło zagadkę, bo do pozbycia się lasu człowiek potrzebuje potężnej liczby ognisk, a wyspiarze jakoś nie wydawali się aż tacy liczni, by mogli zmarnować cały świat. Traf chciał, że szczury pożarły orzechy z drzewa palmowego i uszkodziły całe jego pokolenie - widzieliśmy skutki plagi szczuropodobnych stworzeń na Tahiti, a jednak tamtejsi tubylcy uprawiali swą ziemię z dużym rozmysłem.

Spikkers wskazał ręką idole i gestami wyjaśnił mi, że owe wielkie głazy wyciąga się z kamieniołomu na drewnianych saniach, że za podstawy tratw, którymi spławia się głazy wzdłuż wybrzeża, muszą służyć całe kłody palmowe, że wypalanie i rzeźbienie wymagało nadzwyczaj wielkich ilości drewna i że nikomu nawet się nie przyśniło, iż padłe drzewa nigdy nie powrócą.

- A czy to drzewo, które wczoraj ścięto, było ostatnim na wyspie?

Spikkers przytaknął. Ariki Mau nakazał je chronić jako święte, a Człowiek-Ptak nakazał je ścinać.

- Czy zatem należy myśleć - spytałem - że wyspa, która dawniej opływała we wszystko, co potrzebne do życia, została przemieniona w tę pustynię w wyniku najpierw stworzenia kamiennych bogów, a potem ich zniszczenia?

Spikkers przytaknął.

W kolejnych dniach kazał mi zwiedzać południe wyspy, a także jej zachodnią stronę i doprawdy wszystko, co mi mówił, znajdowało potwierdzenie w tej uśmierconej ziemi i w niesamowitym widoku kamiennych moai - wśród których jedne wciąż jeszcze stały, zwrócone gładkimi plecami ku morzu, a spojrzeniem niewidzących oczu ku lądowi, ale były też całe rzesze powalonych w wyniku barbarzyńskich zamachów.

Nie zapuszczaliśmy się we wschodnie rejony wyspy, bo jak twierdził Spikkers, tam mieli swoją siedzibę Człowiek-Ptak i jego wyznawcy, dlatego miejsce to kryło w sobie największą dla nas groźbę.

Zacząłem do mnie docierać, że Spikkers szykuje się do jakiegoś własnego podboju.

Ujawnił mi, że panowanie Człowieka-Ptaka trwa zaledwie dwanaście księżyców, a zatem nieco mniej niż rok słoneczny, i że każdego roku o wyznaczonym czasie organizuje się zawody czy też coś w rodzaju walki, która decyduje o tym, kto będzie zwycięzcą, czyli inaczej przywódcą kultu Człowieka-Ptaka w następnym roku.

Próbowałem się nie śmiać, gdy słuchałem tych jego poważnych wyjaśnień, i niemal uznałem, że zrozumiałem go opacznie, że niby tu szło o jakiś wyścig po jajo, ten bowiem zapewniał sobie przywileje Człowieka-Ptaka, któremu udało się zgarnąć pierwsze jajo złożone przez wędrownie czarnogrzbięte rybitwy.

Wcale to nie dziwi, że ptak jest takim symbolem dla tubylców, bo ptak może „podróżować, gdzie chce, ponad morzami do innych ziem, przy czym ci tubylcy nie znają różnicy między ziemią martwych a ziemią żywych. Przez to, że sami nie mogą wcale podróżować, bo nie został im ani jeden kawałek drewna, z którego mogliby zrobić łódź na głębokie morza, Ptak uzyskuje jeszcze większą moc. Ptak, który lata, i człowiek, który tego nie potrafi, spoczywają u podłoża wszystkich ich myśli.

I to dzięki Spikkersowi miałem się dowiedzieć, że ptaków było tu kiedyś w bród, podobnie jak ryb, drzew i wody, i że ich zniknięcie jest wyrazem gniewu bogów.

Spikkers nie jest sojusznikiem Człowieka-Ptaka: oddaje pokłon starszym obyczajom Ariki Mau i sporządził plan przejęcia

praw do nowej władzy, by ją potem podporządkować dawnym bogom.

Chce się wspiąć na klif, odnaleźć jajo i ofiarować je Ariki Mau, by dzięki temu kolejny raz władza nad wyspą spoczęła w jednych rękach. To, powiedział, położy kres destrukcji i wojnie domowej, przynosząc w zamian pokój i pomyślność wyspie. Znów wyrosną drzewa i powrócą ptaki.

On w to naprawdę wierzy, a ja spuszczam wzrok na widok rozjaśnionego oblicza Spikkersa, z obawy, iż mógłbym zniszczyć jego szczęście.

Pokazuje mi klify, na których przysiada rybitwy, na takiej wysokości, że wydaje się to równie niemożliwe jak lądowanie na Księżycu, i pokazuje mi skalny wykres wydrapany w ukryciu jego grotty, z kalendarzem ich lotów na przestrzeni wielu lat - albo księżyców, bo on tak rozumie czas. Jest gotowy i powiada, że za całą swoją nagrodę poprosi jedynie o pozwolenie na to, by mógł opuścić wyspę razem ze mną, kiedy będzie tędy przepływał kolejny statek. Nie mówię mu, że ja na taki statek nie mam nadziei.

O wielu rzeczach nie mówię.

Wnętrze grotty ukrywa kawałek niebieskiego sukna. W ten kawałek sukna zawinięty jest kafel z Delft. Na tym kaflu jest wizerunek wysokiego domu z otwartymi drzwiami. W korytarzu stoi mężczyzna w kapeluszu.

Mija już szósty miesiąc, odkąd mnie tu porzucono jak durnego psa, który zeskoczył z pokładu w przygodnym porcie.

Przez te sześć miesięcy mieszkalem w grocie Spikkersa, który mnie karmi, wykorzystuje i chroni, bo cieszy się niejakim autorytetem u Ariki Mau jako człowiek potrafiący pisać, co użycza mu obrzędowej mocy. Owo pismo, które zwą rongorongo,

nie jest oparte na naszym alfabecie, tylko składa się raczej ze znaków, które zastępują całe frazy i wyrażenia. Ujęta w piśmie potężna mana przekłada się dalej na włócznie i święte przedmioty i okaże się przydatna również teraz, w wyścigu po jajo - bo tak będę nazywał te zawody - słudzy Ariki Mau zaczynają się już bowiem zbierać pod klifami i wymachiwać flagami, aby przywabić rybitwę.

Jest to magiczny obrządek, jednak wcale dla mnie nie tak dziwny, bo również mój kraj wykorzystuje flagę jako swój symbol, którym powiewa, by przyciągnąć uwagę i oznaczyć swe panowanie. Ziemie, które zagarniamy dla siebie, zagarniamy za pomocą flagi, więc czemuż ci tubylcy nie mieliby czynić tego samego, poza tym wyjątkiem, że terytorium, którego łakną, jest ich dominium duchowym?

Tu jest tak, jakby każda rzecz oznaczała coś innego: ptak, jajo, flaga, pismo, wygrywanie, zwyczajca, kamienni bogowie, nawet wyspa, nawet świat są symbolami tego, czym nie są.

Mam sześciopensówkę w kieszeni i parę spodni, dzięki którym mam kieszeń. Byłem marynarzem i miałem matkę. Cóż z tego wynika, gdy to wszystko ze sobą powiązać? Czy jest tak, że jestem niczym, więc muszę zawsze oznaczać Coś? Mija szósty miesiąc, jak czepiam się kurczowo swej osoby jako Anglika, tak jak uczepiłem się swych spodni tamtego dnia na piaskach, kiedy nabrali ochoty, żeby mnie rozebrać.

Mam zwyczaj czymś się okrywać, świat też szuka czegoś dla okrycia swojej nagości i podobnie najprostsze rzeczy użyczają innym swego największego znaczenia - kromka chleba staje się ciałem, łyk wina krwią mojego życia. Nic w tym złego, że jedna rzecz miałaby wyrażać inną, dopóki sama ta rzecz nie utraci ważności. Drzewa tej wyspy i cała ta żywna ziemia zostały oddane w ofierze znaczeniu, które teraz stało się nic nieznaczące. Wyspa została zniszczona po to, by dało się zbudować kamiennych

bogów, a teraz kamienni bogowie sami ulegają zniszczeniu.

Ten dzień to dzień wyścigu.

Wypatrzone rybitwę.

Zbocze klifu jest strome jak dzień Sądu Ostatecznego. Sam nie dałbym rady się po nim wspiąć, nawet dla ratowania własnej duszy, ale jeśli słusznie myślę, że nasze dusze to ptaki, to właśnie one będą umykać przed nami do tej wyżyny i nie będą już przydatne dla ciał takich jak moje.

Lico klifu jest jak zagadka - gdzie te miejsca na palce i stopy?

Naliczam dwudziestu trzech tubylców, którzy pobiegną po honor nagrody, i żadnemu nie przychodzi na myśl, że przegra. Klan Człowieka-Ptaka wybrał przedstawiciela do wyścigu, chełpliwego durnia, któremu się wydaje, że zdobędzie jajo dla swego pana.

A ja myślę sobie, że równie dobrze mógłbym się teraz znajdować w dokach Chatham, kiedy tak patrzę na tę próżność i puszenie się. Niech sobie to będzie ziemia jałowa, a jednak tutaj, jak wszędzie na świecie, ludzie ryzykują, spiskują, walczą i padają, wszystko po to, by zdobyć trofeum. Serce kobiety, spłachetek ziemi, królestwo, władzę, kontrakt, statek, jajo - niele-dwie bez znaczenia, które z nich, to czy tamto, bo dopóki wydaje się przedmiotem pożądania dla jednego, drugi widzi w tym łup.

Spickers, odziany w moje spodnie, co ma mu przynieść szczęście - albo dodać moją manę do jego many, wedle jego słów - pochyła głowę, żebym mógł zawiązać mu przepaskę na skroniach.

Na jej przedzie naszył sakiewkę i na podobieństwo kangura zamierza w niej właśnie ponieść jajo. Mówi mi, że miał sen, w którym przybył do niego ojciec i jedną dłonią dał mu jajo, a drugą zabrał go do Amsterdamu, do domu, powiada, zbudowanego w całości z drewna, gdzie stał się najbogatszym człowiekiem na ziemi.

Nie ulega wątpliwości, że *rakau*, słowo, którym oni tutaj nazywają drewno, oznacza również „bogactwa” i że gdyby było im pisane odkryć tego dnia kopalnię złota albo jaskinię pełną rubinów, to zlekceważyliby takie znalezisko jako rzecz bardziej poślednią niżli stoczona przez robactwo deska wyrzucona przez morze.

Na dany sygnał współzawodnicy podrywają się do biegu i zaczynają wspinaczkę - jedni za pomocą zgrubnie wyciosanych kołków uwieszonych przy pasie, które wbijają w skałę, by mieć na czym oprzeć stopę, drudzy za pomocą ludzkich kości przypasanych do przedramion w charakterze lewarów bądź poręczy.

Niemal wszyscy mieszkańcy wyspy przybyli oglądać wyścig i pośród rywalizujących partii podnoszą się gromkie krzyki i wiwaty jak podczas walk kogutów.

Tamci wspinają się prędko jak szczury.

A moje serce bije.

Prawdę rzekłszy, życie jest wszędzie tam, gdzie jest już miłość.

Wyprawilem się na morze z tego to powodu, że nie mogłem zostać w domu, a w domu nie mogłem zostać z tego to powodu, że James Hogan wyprawił się na morze.

Teraz, kiedy nie mam już nic i sam jestem niczym, ta wyspa jak lichy strąk grochu obkurczyła mi się do jeszcze mniejszych rozmiarów, za to nasza grota stała się wszystkim. Odkąd wszystko jest tutaj, nie ma już żadnego dalej, do którego dałoby się podróżować, i choć cisnąłem daleko swą wiadomość w butelce, ani trochę nie dbam o to, czy świat przechwyci mój sygnał czy też nie, i choć omiatam wzrokiem morze w poszukiwaniu statku, nic mi po tym, czy on tu zawita czy nie. Znajduję sobie zajęcia przy jamsie, studniach i małych rybkach, czekając na tego, który mnie wyratował.

Gdzie on jest?

Wszedłem do morza i opłynąłem to miejsce. Zobaczyłem Spikkersa: był wysoki, wyższy niż inni, i wspinał się do słońca jak jakiś bóg, a nad nim to nurkowała, to krążyła rybi-twa, ruchliwością zdradzając swą obecność. Zobaczyłem, jak Spikkers się zatrzymuje, sięga ręką, znajduje. Zobaczyłem triumf w jego ciele, tak jak widać go u lisa, który dopadł królika - gdy radość przesącza mu krew i kości, gdy jego grzbiet sztywnieje z rozkoszy.

Zobaczyłem, jak pakuje jajo do sakiewki i zaczyna drogę w dół, zsuwając się po skalnym licu prędko i gładko niczym deszcz, schodząc i schodząc ku zwycięstwu.

I wtem, kiedy wciąż jeszcze wisiał wysoko, w odzieniu targanym przez lekki wiatr, spostrzegłem jego rywala, owego durnia, który ciężkimi dłońmi wymacywał sobie drogę po skalnej ścianie, wylupując kamienie stopami jak wiosła. Zobaczyłem, że znalazł skalną półkę i kucnął na niej, a kiedy Spikkers zszedł tam, lekki i cichy jak nowy początek, osiłek schwycił go za kark i odebrał mu jajo.

Krzyknąłem, ale wiatr porwał mój głos i jeśli nawet któryś z nich mnie usłyszał, to nie dał tego po sobie poznać. Spikkers szamotał się i walczył, a jednak lekkością ciała i zwinnością nie

dorównał brutalowi, który uniósł go i przerzucił przez szczyt klifu.

Przez powietrze spada ciało. Przez powietrze spada ciało jak gwiazda. Przez powietrze spada ciało jak gwiazda wytrącona ze swojej orbity. Przez powietrze spada ciało jak gwiazda wytrącona ze swojej orbity, a potem dociera do ziemi i już go nie widać.

Podpłynąłem do niego, podźwignąłem jego ogarnięte bezwładem ciało ze skały wystającej z morza i powlokłem je wzdłuż linii brzegu, aż do wybrzeża przed naszą grota i tam wyniosłem go z wody.

Połamane jego skrzynkę biblijną na kawałki, rozpałem ogień, ułożyłem jego ciało obok, wymacałem jego plecy, piersi i nogi, by sprawdzić, które kości są połamane, zlizalem krew z jego ust, próbowałem przekazać mu swój oddech i chciałem oddać mu swoją nogę, rękę, jedną nerkę, pół wątroby i cztery pinty krwi i wszystko to bez żalu, jako że już wcześniej oddałem mu swoje serce.

Nie umieraj.

Zapada noc, długa i gładka, a jego oddech dobywa się coraz krótszymi wybuchami jak u zwierzęcia, które pobiegło za daleko.

Na niebie wisi gwiazda, która nazywa się Holandia, i widać tam wyraźnie wysokie, drewniane domy.

- W moim śnie - mówi mi on - wyspa jest porośnięta lasem niczym futrem, cała zielona, ciemna i żywa. Wodospady znów płyną i jest tam jezioro niewidoczne jak sen. Dokąd my zmierzamy, Billy? - pyta.

Odpowiadam mu wtedy:

- Wpływamy statkiem do rzeki Amstel, z belami sukna i drzewkiem palmowym w beczce, sam się nam przyjrzyj. A potem zwykła łódka przewiezie nas po kanale, który zwie się Singel, i zatrzyma się przed domem, gdzie drzwi są otwarte na oścież. - Przysunąłem kafel z Delft do jego twarzy niczym zwierciadło.

Uśmiechnął się.

- Wejź - mówię mu. - Wejź do środka.

I wtedy on przechodzi przez te drzwi. Musi teraz sprawować pieczę nad tym domem, dopóki ja nie dokończę moich spraw tutaj i nie powrócę do niego.

Biały ptak rozkłada skrzydła.

POTRZECIOWOJNIE

Tego wieczoru wracałam do domu metrem i zauważyłam, że na miejscu naprzeciwko ktoś zostawił stos kartek. Późna pora, byłam trochę wstawiona, trochę znudzona, trochę mnie nosiło, no to się bujnąłam z jednego upapranego przez cudze dupska miejsca na drugie i ostrożnie ułożyłam sobie plik na kolanach. Papier był żółty, przedwojenny, rzadko spotykany w dzisiejszych czasach, może makulatura, może śmieci, może stare instrukcje obsługi przetłumaczone z japońskiego.

Kamienni bogowie, napisali na tytułowej stronie. Aha, pewnie antropologia. Czyjaś rozprawa naukowa albo doktorat. Zaraz, jak się nazywa ta wyspa od posągów? Wielkanocna?

Przerzuciłam kartki. Zaczynanie od samego początku to bezsens - nikt tego nie robi. Lepiej czytać spod dużego palca: czasami od razu trafiasz na sceny łóżkowe.

Nocą leżałam w brzuchu statku obok Spike i rozmyślałam o tym, jakie to dziwne, tak leżeć obok żywej istoty, która nie oddycha.

I proszę, opowieść o miłości, tyle że chyba o kosmitach. Nie cierpię science fiction.

Na pierwszej stronie jest też czyjeś nazwisko i adres. Ciekawe, dadzą nagrodę? Czy tylko robią w konia?

Zajrzałam jeszcze raz: *Wszystko nosi na sobie ślad tego, czym już kiedyś było.*

Naprawdę tak jest?

Oto historia mojego życia. Jeszcze przed moimi narodzinami, kiedy zwinięta w kłębuszek czekałam niby jakiś wszechświat, który dopiero ma zaistnieć, moja matka usłyszała od mojego ojca, że on nie ma zamiaru się z nią ożenić. Było już za późno, żeby coś ze mną zrobić: pchałam się na ten świat, gotowa czy niegotowa, i nieważne, czym byłam, już po prostu tam byłam. Moja matka musiała urodzić i kropka.

Babka wierzyła w Próbę Dziecka. Bierze się toto na ręce i chodzi od drzwi do drzwi, aż wreszcie ktoś powie „tak”.

Nie mieli ani telewizora, ani telefonu, ani samochodu. Ledwie co odstawili kartki żywnościowe. Ulice, na których mieszkali, były składowiskami skutków bombardowań i walk. Urodziłam się na metalowym łóżku, ze sprężynowym materacem wypchanym końskim włosiem; krwi było tyle, że aż musieli spalić pościel. A jednak się urodziłam i nikt już z tym nic nie robi.

Radzę każdemu: Urodź się.

To ja, już idę, obracając się jak podniebny akrobata, głową naprzód, z czaszką miękką i otwartą w tym miejscu, gdzie mają wniknąć gwiazdy, i widzę już kawałek tej pierwszej gwiazdy jak załazek rogu jelonka. To ja, krawędzią gwiazdy jak laserem przecinam się przez tkanę macicy, ja, dziecko o świetlistych krawędziach, do świata wykrojonego przez gwiazdę.

Tamto łóżko się popsuło. Sprężyny na samym środku ktoś kiedyś związał drutem kolczastym. Ten drut pękł. Matka złożyła się wpół - wyciągali mnie spod niej jak cielaka. Nie przecinajcie pępowiny: załatwcie kawałek drutu kolczastego i przywiążcie mnie do niej.

Ten sznur, który mnie karmił, sznur, który dawał mi oddech, sznur, który nasłuchiwał wieści z zewnętrznego świata, sznur, który był liną rozpiętą między jej strachem a moją radością, sznur tworzący linię, którą pewnego dnia miałam bezpowrotnie przekroczyć. Sznur, który ułożył się w pierwszy wiersz tej opowieści - *Urodziłam się*. W wiersz, między którym nie da się nic wyczytać - bo przecież jest tylko on jeden, jeden jedyne, bo przecież to moja linia życia.

Przeciąć ją.

Pępowinę przegryzła babka, własnymi zębami. Zęby miała sztuczne, oblepione tłustymi świństwami, krwawy sznur uwiązał w górnej szczęce i wyrwał zęby z ust. Babka poszła wymoczyć je w steradencie, pozostawiając matkę samą z pierwszym karmieniem.

Radość. Chciałam się urodzić. Chciałam tu być. Strach. Matka nie wiedziała, co robić dalej. Młoda była, miała siedemnaście lat. Babce jeszcze nie stuknęła czterdziestka. Ale świat wyglądał wtedy inaczej, bo świat bezustannie się odtwarza, a po wojnie pozostało jeszcze mnóstwo do odtworzenia. Urodziłam się w popiołach z pożaru i nauczyłam się płonąć.

Gdzieś kiedyś wyczytałam, że Samuel Beckett zapamiętał życie w łonie matki. Dostał Nagrodę Nobla, dlatego wszyscy mu wierzą; wątpię, czy ktoś uwierzy mi, a nawet jeśli uwierzy, to pewnie

i tak nie zrozumie, że prawdę można mówić również w chwili natchnienia.

Pamiętam, jak matka tłumaczyła babce, że chce zacząć nowe życie. Przedtem zamierzali popłynąć łodzią do Irlandii, ona i mój tato, ale teraz on się wybierał, a ona nie; dodała jeszcze, że nie mogłaby siedzieć na okrągło w domu i zajmować się mną. Waliłam pięścią w ścianę jej żołądka, robiąc wszystko, żeby mnie usłyszała - *Nie musisz zostawać w domu! Możemy popłynąć razem. Nie jem dużo.* Nic z tego, nie usłyszała.

Smażyła bekon na przypalonej patelni, na kuchence gazowej. Byłam przyciśnięta do tego rowka, w który wsadza się ruszt. Miejsca jest tam raczej mało, no chyba że jesteś rusztem. Doskonale rozumiem, dlaczego nikt nie chce spędzać całego życia przy kuchni.

Umyłyśmy podłogi i pozmywałyśmy naczynia. Była zmęczona. Położyłyśmy się spać, nakrywając kołdrą, i to była ta ostatnia noc, którą miałam spędzić w jej wnętrzu. *Trzymaj mnie w wiadrze do mopa albo w tym rowku, w który wsadza się ruszt, ale nie rozstawaj się ze mną, boja cię kocham.*

Miłość bez zastanowienia. Miłość bez zastrzeżeń. Miłość bez zobowiązań. Miłość bez pogroźek. Miłość bez strachu. Miłość bez granic. Miłość bez końca.

Myślę, że naprawdę mnie kochała, przez minutę, przez sekundę, tyle czasu, ile trzeba, żeby zapamiętać, tyle czasu, ile trzeba, żeby zapomnieć. Spędziłyśmy razem dwadzieścia osiem dni, a potem już mnie nie było.

Babka przemierzała ulice wszerek i wzdłuż, ale pewnie łatwiej byłoby wcisnąć komuś królika albo kurę. - Nikt go nie chce - mówiła.

Ale to nie była prawda: była taka jedna osoba, która je chciała, i to akurat ta jedna osoba, którą ono też chciało.

Spaliśmy w jednym łóżku; drugiego nie było. Zawinęli wystającą sprężynę wokół kawałka drewna, a w stelaż wcisnęli szczotkę. Ojciec obiecał, że ożeni się z moją matką, jeśli ona odda gdzieś dziecko. Wtedy zaczną od nowa. Wtedy będą mogli wieść nowe życie. Ale to ja byłam nowym życiem. To działa się dawno temu.

...Urodziłem się w roku 1632 w mieście Yorku, z dobrej rodziny, acz niewywodzącej się z tego kraju...

To nie ja, to Robinson Crusoe. Urodziny to wrak statku, kwilące niemowlę zostaje wyrzucone na brzeg nieznanego lądu. Ciało mojej matki się rozpadło, ja zaś byłam ładunkiem do wyratowania. Przypuszczam, że kiedy się coś ratuje, to potrzebna jest wiara, że warto; w moim przypadku chyba nikt takiej wiary nie żywił.

Tyle tych opowieści o beczkach, garnkach, skrzyniach i kufrach, które lądują na plaży i czasami kryją w sobie skarby, albo przeciwnie, coś zgniłego, bywa, że tylko balast i kamienie. Problem z małymi dziećmi jest taki, że są skonstruowane jak sejfy - nie ma jak sprawdzić, co jest w środku, i brakuje gwarancji, że skórka warta wyprawki. Wybierasz losowo jakieś liczby, przełamujesz szyfr, a drzwiczki i tak nie chcą się otworzyć. Bo dzieci to sejfy, które działają z opóźnieniem. Potrzeba lat, żeby drzwiczki się otworzyły, a kiedy już się otwierają,

najlepsze umysły nie potrafią oszacować wartości tego, co jest w środku.

I żeby jeszcze bardziej utrudnić życie, dzieci, w których widzi się skarb, przynoszą z sobą własnego magika. Otwierasz szkatułkę i bywa, że jest w niej zupełnie pusto. Wszystko ze środka mogło zostać jakimś magicznym sposobem zabrane. A może zgniło? Wyparowało? Sztuczka ze znikaniem? Czy wszyscy ci puści dorośli ludzie rodzą się już puści? Czy raczej coś się dzieje we wnętrzu szkatułki?

Tak więc przyszłam na świat, zalakowana i zamknięta na zamek; szanse, że jest we mnie bryłka złota, były równie niepewne jak szpunt od beczki z rumem. Morska woda dostaje się do środka, łatwo ochrzcić życie. Tylko w opowieściach coś przynosi szczęście, jest czyste, utalentowane, złote. Ale z kolei zdarzają się też opowieści ukryte w opowieściach - ropucha, żebrak, zamulona studnia, chlew, śmierdzący ściek, mroczna jaskinia, ranny łoś, las, w którym nic nie rośnie. Zakopany skarb naprawdę tam jest, ale to zakopany skarb.

Oto ja, oto moje ręce i nogi jak kłamki i lewary. Otwórz mnie, jeśli potrafisz. Wyciągnij. Zabierz ze sobą.

Nasz nowy świat ma masę mega-, giga-, teragrama.

Dziecko, które morze wyrzuca na brzeg ludzkości jak rozbitka, może jedynie ludzić się nadzieją, że ktoś je przygarnie, zanim stanie się dostatecznie dorosłe, by samo siebie przygarnąć. Ze mną stało się inaczej. Matka sprowadziła lekarza, a ten niebieskim atramentem wypisał świadectwo stwierdzające, że jestem

zdrowa, normalna i że nie istnieje powód, dla którego nie nadawałabym się do adopcji.

Babka zabierała tę kartkę papieru w swoje stałe trasy, w nadziei, że błyszczące oko i brak chorób zakaźnych przekonają jakiegos hazardzistę do spróbowania szczęścia. Niestety, inwestycja z początku musiała być kosztowna - nakarm toto, odziej, poślij do szkół, nie zważając na to, że na koniec może okazać się zgniłe.

Wieczorami, kiedy wracałam ze swoich wizyt w świecie, zastawałam matkę przybitą i zalęknioną, ale ja tych słów – „przybita”, „zalękniona” - nie znałam. Wiedziałam tylko, że płakała, i wtedy sama też płakałam, ale nie dlatego, że byłam zasikana albo głodna, tylko ze strachu, który powoli zaciemniał radość tak jak cień przechodzący przez podłogę.

Z dzieckiem, którego nie możesz zatrzymać, możesz jednak coś zrobić. Możesz któregoś dnia wyjść z domu i wrócić już bez niego, bo ono nie wytropi drogi powrotnej po zapachu jak jakiś pies ani też nie trafi do domu po dachach niczym kot. Opatul je ciepło, ułóż na ziemi i ono tak tam już zostanie i będzie kwilić, dopóki nie przygarnie go z litości jakiś przechodzień.

Moja matka tak właśnie postąpiła. Poszłyśmy na spacer. Na samym końcu jednej z bezludnych ulic dopiero co wygasło ognisko, ale pozostały po nim wciąż ciepłe popioły. Ułożyła mnie delikatnie w tych popiołach, żebym się nie zaziębiła, i odeszła.

Przez dwie godziny błąkała się po ulicach, a potem wróciła. Spałam. Wyciągnęła mnie z popiołów i poszłyśmy do domu.

Były jeszcze inne próby: konduktor zauważył, co zrobiła, i kazał kierowcy autobusu zboczyć z trasy, zawrócić i ruszyć za nią; ten konduktor stał na otwartym pomoście, ze mną w ramionach, autobus jechał spacerowym tempem, nie w tym kierunku, co powinien, a ja, nie większa od sardynki, wpatrywałam się w lśniącą odznakę, którą miał przypiętą do czapki.

A ta idzie obok, płacze, stara się nie patrzeć, ale konduktor wciąga ją na pomost jedną ręką, sadza na pokrytym rozdartą skórą fotelu na tyłach, zanurza dłoń w torbie pełnej miedzaków i sześciopensówek, pieniędzy, które zebrał za bilety, i daje jej garść, tam i wtedy, po czym jeszcze wyważa automat biletowy, żeby firma transportowa się nie dowiedziała, co zrobił. Matka bierze pieniądze. Bierze mnie. Wraca do domu.

Niełatwo rozstać się z miłością.

Znowu zjawia się lekarz. To miejsce jest niehigieniczne, ponure, wilgotne; zdrowie matki jest zagrożone. Dziecko ma słabe płuca. Nie powinno leżeć pod kołdrą na popsutym łóżku. Jest takie jedno miejsce, do którego może iść dziecko, niebawem znajdą się dla niego nowi rodzice. Tak będzie lepiej. Lepiej zacząć od nowa. Tym razem matka nie będzie musiała mnie gdzieś porzucać i potem się łamać. Tym razem ktoś mnie zabierze i już mnie nie odniesie. Nie rozumiesz tego, kiedy jesteś dzieckiem. Idziesz z nimi, idziesz z byle kim, i przez krótki czas tak jest dobrze, ale jest tylko ta jedna twarz, tylko ten jeden zapach, tylko ten jeden głos. Gdzie ona jest?

Nigdy nie przestajesz szukać. Zrozumiałam to, mimo że musiały upłynąć lata, zanim do mnie dotarło, że to właśnie robię.

Ta osoba, której ciałem byłam, której ciało było mną, zniknęła po dwudziestu ośmiu dniach. Mieszkam w echu drugiego życia.

To jest tak, jak z tymi muszlami, które mają morze w środku. Nie robisz tego codziennie, nie robisz tego często, a jednak od czasu do czasu przykładasz ucho: to drugie życie wciąż tam jest.

Słyszę cię - przyływ, odpływ. Szum wody, która przelewa się wartko po kamyczkach.

Podaj mi śrubokręt.

No więc byłam sobie jak jakiś mebel w paczce, rozebrany na części w jednym domu, zmontowany na powrót w innym. Na nieszczęście dla wszystkich moich rodziców, tych starszych i tych świeższych, instrukcję montażu przetłumaczono z japońskiego.

Po moim odejściu matka przebiegła całą ulicę, ścigając mnie. Co za widok! Biegła obok wózka jak jakiś anioł, jak promień światła. Wyciągnęłam rękę, chcąc ją złapać, bo to światło naprawdę tam było, bo naprawdę tam był jej kontur, ale zniknęła, tak jak znikają anioły i tak jak znika światło, i to był wtedy prawie ten ostatni raz, ale jeszcze nie ostatni.

To ona? Tam na końcu ulicy, coraz mniejsza, podobna do oddalanej o tysiące lat świetlnych gwiazdy?

Zawsze wierzyłam, że jeszcze ją zobaczę.

Eldorado, Atlantyda, Złote Wybrzeże, Nowa Fundlandia, Skala Plymouth, Rapa Nui, Utopia, Błękitna Planeta. Razu pewnego tak się zdarzyło, objawiła nam się jakby w ciemnym zwierciadle, z pijackich opowieści umocowanych do beczulki rumu, na wraku statku, z Biblią zamiast kompasu, zawiodła nas tam przeogromna ryba, wir sztormu pognał nas ku tej wyspie. I tak oto w niezbadanych ostępach przestrzeni znaleźliśmy...

Zagubione-odnalezione-odnalezione-zagubione jest jak fragment naszego DNA. W tej spirali, którą jesteśmy, kryje się historia, której nie możemy opowiedzieć - historia, którą opowiadamy pojedynczymi niciami narracyjnymi, oddzielonymi od siebie nie schludnymi spacjami, lecz wyszarpanymi latami.

Emerson twierdził, że największą osobliwością tej planety jest skrajnie indywidualny charakter wszelkich podejmowanych na niej działań, ale ja stawiam poprzeczkę jeszcze wyżej, bo dla mnie jest to opowiadana historia. Z tego samego powodu dziewiętnastowieczni pisarze tak bardzo cenili sobie długie powieści z porządnie skonstruowaną fabułą. Niektórzy z nich - na przykład George Eliot - naprawdę wierzyli, że jest co opowiadać i że potrafimy to opowiedzieć. Dickens wiedział znakomicie, że się nie da, a jednak i tak opowiadał, z fajerwerkami i brawurą. To jeden ze sposobów na bunt przeciwko chaosowi - Chaosowi przez duże C, któremu nie umkniemy, temu bujnemu, rozwijającemu się jak narracja, nieprzewidywalnemu wszechświatowi, który się rozszerza, kiedy powinien się kurczyć, który w sporej mierze jest zbudowany z czegoś, co nie jest

czymś, tylko niczym - ciemną energią, antymaterią. Apeironem. Co można powiedzieć, kiedy nie ma żadnych pewników? Słowa są tą częścią ciszy, którą da się wypowiedzieć.

Mówiła cichym głosem, silnie naznaczonym akcentem z Lancashire. Głosem zrodzonym ze wzgórz zaryglowanych przed niebem i pozebrowanych murkami z niespojonych zaprawą kamieni, nieledwie czarnych od bliskości przędzalni.

Również przędzalnie były tworzywem jej głosu, manchester-ska bawełna, żakard, grubo tkane sukno. Krosna wielkie jak fortuny, które ktoś na nich zbijał. Krosna, które swym jazgotem zagłuszały warkot bombowców. Nie przekrzykiwało się ich, to nie miało sensu. Lepiej było użyć obu dłoni ułożonych w taniec naśladujący dwie kopulujące istoty. Wszyscy to robili, używając palców i wnętrza dłoni jak do sztuczek karcianych, ale wyczarowując z nich słowa.

- Będę miała dziecko...

Wyczaruj mnie swymi dłońmi, Asie Trefl, i pamiętaj, że nigdy nie chciałam być czarnym kotem, który w odwecie przebiegnie ci drogę.

To ryzykowne, ale może się udać. To nasza jedyna szansa.

Ojciec był hazardzistą, no bo kim innym możesz być, kiedy świat nie daje ci żadnych nadziei? Los jest dokładnie tym, czym jest - losem - a karty oferują wyższą stawkę niż fabryka.

Wygrał trochę kasy. Pił w pubie. Matka brała nadgodziny, żeby odłożyć na zimowy płaszcz. Był już listopad.

Następnego dnia czekał na nią po pracy, żeby zabrać ją do

eleganckiego sklepu z manekinami na wystawie - wszystkie miały na sobie zimowe płaszcze.

- Wybiroj se, co ci trza - powiedział, uwodząc ją wełną niczym kupiec handlujący przy owczym szlaku, bo i może kiedyś był właśnie takim kupcem, w czasach, gdy Góry Penińskie czerpały swe bogactwo z wełny i drewna, jeszcze przed wybuchem rewolucji bawełny i węgla.

Otulił ją najpierw płaszczem, a potem swoimi ramionami. Poszli do pensjonatu pobudowanego w rozpadlinie między dwoma zboczami; kobiecie, która nakarmiła ich tam potrawką z wołowiny i herbatą, wyjaśnił, że są mężem i żoną. I tamtej jednej nocy naprawdę byli nimi.

Ojciec prędko się splukał i znów wylądował w fabryce. Matka wróciła do przędzalni. W Boże Narodzenie wiedziała już, że jest w ciąży, ale kiedy babka dała jej musujący napój, który smakował aloesem i pachniał śmiercią, wyszła na podwórko, że niby tam go wypije, i wylała zawartość kubka do toalety. Trwałam w najlepsze, aż do mroźnych, styczniowych dni, bezpieczna pod wełnianym płaszczem matki.

W niej Księżstwa, we mnie zaś Książęta drzemią: Cóż trzeba więcej?

Swobodna jak ptak w królestwie matki, żeglowałam po owodniowych morzach: mogło mi się przydarzyć wszystko, tylko nie krzywda. Matka zrobiła, co mogła - dała mi szansę na życie, uprawiając hazard tak samo jak mój ojciec, ale to przynajmniej mogło naprawdę się opłacić.

Dwukrotne, jak się okazało, wygnanie - raz ze świata łona,

raz od niej i na zawsze - stało się swoim własnym narracyjnym ekwiwalentem, historią, którą mogłam opowiedzieć. Ale właśnie dzięki temu wiem, że we wnętrzu opowiadanej historii kryje się historia, której nie da się opowiedzieć. Każde słowo na papierze jest siecią służącą do łapania słowa, które uciekło.

Jest późno. Jadę metrem, czytam zagubiony rękopis. Sama jestem zagubionym rękopisem, wyskakującym na powierzchnię we fragmentach niczym wiadomość w butelce, strona tu, strona tam, niezmordowanie zmierzająca w kierunku nieznanego brzegu. Tak ze mną jest od urodzenia, bo moja matka ustawiła cyfry właśnie w ten sposób, zaszyfrowała mnie, zaprogramowała i mimo że cyframi można się bawić, to jednak nie mogę przekształcić tego porządku w inny. Antynomia determinizmu i wolnej woli jest w swej istocie sformułowana fałszywie - nic z tego nie wynika, szkoda na to czasu. Życia nie da się zamknąć w prostej alternatywie: wszystko albo nic. Bo to jest wszystko i nic równocześnie. Zapomnij o albo-albo.

Czy w takim razie obwiniam swoją matkę? Nie. Tu nikt nie jest winny, nikt nie jest odpowiedzialny, no chyba że ktoś bierze na siebie odpowiedzialność. Ja zawsze biorę odpowiedzialność za siebie, robię to od tamtego dnia, kiedy przyszli z wózkiem i kocykiem.

No to do widzenia...

Nie znaleźliśmy nikogo, kto by miał samochód. Tamta kobieta z Towarzystwa Adopcyjnego też go nie miała, dlatego opatulili mnie ciepło, wsadziła do wózka i poszliśmy pieszo. Tamtą noc pierwszy raz spędziłam sama.

Dwudziestą dziewiątą noc całego mojego życia.

Dwadzieścia dziewięć - numer pokoju, talizman szczęścia, czarny koń, najlepszy wiek do zawarcia małżeństwa, liczba lat, której potrzebuje Saturn, żeby obieć Słońce. Saturn, planeta wyrobów z ołowiu i ograniczeń, pożeracz własnych dzieci, władca Koziorożca.

W noc trzydziestą drugą matka wracała z przędzalni do domu okrężną drogą, która biegła obok gazowni do Towarzystwa Adopcijnego. Znalazła oparcie dla stopy w murze na tyłach i wykonała coś w rodzaju skoku przez kozła, by móc stanąć na płytach zwieńczenia i zajrzeć do środka przez okno. Zobaczyła kilka dziecięcych łóżeczek, z wysokimi bokami, surowych z wyglądu.

Stała tam jak latarnia morska, jak pulsar, a ja byłem radioteleskopem, który odbierał sygnał. Oto ona, gwiazda świecąca jasno jak duże miasto, zalewająca wszechświat cyklicznymi falami swej wypalonej energii. Wiem, że tam jesteś, wiem, gdzie jesteś, namierzę cię, bośmy z jednej gliny.

Usłyszała mój płacz, tak jak kotka, która zawsze usłyszy swoje kocięta, ale nie mogła schwycić mnie za kark i przewlec za nogi przez mur, a potem ponieść dalej. Próbowałam się podnieść, ale moje mięśnie jeszcze tego nie potrafiły. Czterotygodniowy kociak podpełzłby do niej, ale nie ja. Była za daleko, żeby mnie zobaczyć gołym okiem albo dotknąć gołym ciałem, skórą, stać się przeszczepem. Ja leżałam, ona odeszła i właściwie to nie wiem, co jeszcze się zdarzyło tamtej nocy, ale następnego dnia zaciągnęli zasłony. A jednak zasłony, okna, mury nie wprowadzają żadnych zmian do sygnału, który można nadać, i do sygnału, który można odebrać.

Księżyc jak porcelanowa kula, świetlna kula wisząca pod sufitem jak porcelanowy księżyc i moja wypalona matka, która śle sygnały po naszym prywatnym niebie.

Tak to się właśnie kończy? To się jeszcze nie skończyło.

Wiem, że wróciła, że chciała zmienić decyzję, ale już było za późno, bo podpisała papiery i o ile rękopisy gubią się równie łatwo jak dzieci, o tyle dokumenty urzędowe trzymają się kurczowo swego nudnego, niszczycielskiego życia. Czego najłatwiej się pozbyć? Papierzysk czy miłości? Tak jest w najlepszym interesie dziecka - ale skąd oni mieliby to wiedzieć, skąd mieliby znać znaczenie dowolnego z tych słów? Najlepszy. Interes. Dziecko.

Zaginiony świat. Opowieść podróżnika. Pijackie opowieści umocowane do beczułki z rumem. Morski ptak, statek kosmiczny, sygnał, prędkość światła. Spadająca gwiazda. Drugie życie. Dawno temu przerwane.

Matka urodziła się podczas drugiej wojny światowej.

Dziadek dostał przepustkę, wrócił do domu, wlaź do zawilgoconego łóżka z babką i wykroił sobie godzinę bez błota i bagnetów. I dlatego moja matka zjawiała się na świecie podczas bombardowania w 1943 roku; dorastała w jednej i tej samej sukience, na którą wkładała jeden i ten sam sweter dziergany na drutach. Była mała, silna i ruda; rude drzewo w samym środku ciemnego lasu.

Na wietrze i chłodzie, a czasami też na słońcu, wdzięczna za

słońce osiadłe na kamiennych fasadach domów, za miejsce, dzięki któremu można ogrzać plecy, za miejsce, o które można się oprzeć, opierała się i patrzyła na wzgórza majaczące za przedziałnią, na Góry Penińskie, wśród których kryją się małe miściny jak wspomnienia. Wychodziła z domu na długie spacery wśród opustoszałych farm i walających się pocisków artyleryjskich, pozostałości po wojnie, nieposprzątanym, porzuconym na pastwę mchu i mulastej ziemi przygotowanej do zasypania okopów. Szła i szła, aż w którymś momencie mogła się wreszcie obejrzeć, ogarnąć wzrokiem całe miasto, pod obłokami brudu i dymu z kominów, i dziwowała się, że to jej życie, bo tam, gdzie hulał wiatr i gdzie było czysto, nic nie przypominało jej życia. Wierzyła, że mogłaby pójść jeszcze dalej, daleko, odwrócić się do wszystkiego plecami, zacząć od nowa. Później, kiedy sama szłam w jej wnętrzu, też w to wierzyłam.

Było takie jedno miejsce, do którego lubiliśmy chodzić - ona szła od zewnątrz, ja szłam od wewnątrz, nieważka jak kosmonauta.

Tam jest ścieżka, tam płynie strumień. Ścieżka wznosi się stromo - czuję to po oddechu matki. Wartkie partie strumienia porasta rukiew wodna - matka pochyła się i pojada tę rukiew na anemię. Kiedy tak je, wszystko w środku robi się zielone.

Ścieżka w pewnym miejscu skręca i matka tam właśnie przystaje. Uwielbia ten stojący przed nami dom - stare, wiejskie domostwo z kamienia, pobudowane na urwisku, pod którym płynie strumień; obok frontowych drzwi stoi beczka z wodą. Matka gasi pragnienie, a potem przygląda się uważnie owocom, które formują się już na jabłoni. Między domem a ścieżką jest furtka; często się o nią opieramy i ona mówi wtedy: „To jest nasz dom”, a ja czuję drzewny dym bijący od ognia płonącego na kominku.

Wolność. Idź jeszcze kawałek dalej. Wolność.

Druga wojna światowa. Kolejna wojna, która miała położyć kres wszystkim wojnom. Wolność.

A potem...

Dowody tożsamości. Urządzenia naprowadzające w pojazdach. Baza danych odcisków palców, zdjętych przymusowo. Winny, dopóki nie dowiedzie swej niewinności. Skazani terroryści bez prawa apelacji. Trzydzieści miliardów funtów na TRIDENT nowego pokolenia. Immunitet dyplomatyczny chroniący przed śledztwem i postępowaniem sądowym dla wszystkich demokratycznie wybranych polityków. Zatrzymać i przeszukać. Prawo do zatrzymania obywatela przez policję poszerzone o „podstawy, by sądzić, że...” Koniec z podwójnym obywatelstwem. Strefy godziny policyjnej. Rutynowe patrole wojskowe na „obszarach napięć”. Monitoring na każdej ulicy. Obowiązkowy monitoring w meczetach. Implanty chipowe dla więźniów na zwolnieniu warunkowym i dla młodocianych przestępców. Zakaz demonstracji, sieciowe strony protestacyjne zamknięte, ostrzeżenia wystosowane do administratorów. Przepisy Nowego Ładu Publicznego. Akt Wolności podpisywany obligatoryjnie przez wszystkich obywateli, zobowiązujących się w ten sposób, że będą „zgłaszać każdą osobę bądź osoby, które działają bądź zdają się działać wbrew prawom i obowiązkom zwykłych obywateli określonym przez niniejszy akt”. Prawo do wchodzenia do domów i firm bez nakazu prokuratorskiego.

W ramach akcji mydlenia oczu rząd budował we wszystkich miastach superkasyna, rozdawał koncesje na całodobową

sprzedaż alkoholu, zalegalizował prostytucję i obniżył próg pełnoletności do czternastu lat. Miał to być dowód na to, że jesteśmy świeccy i tolerancyjni, że nie jesteśmy bigotami i fanatykami.

Premier wygłosił orędzie: zagrożenie jest poważne, już tylko czterdzieści pięć minut do destrukcji, wszyscy do broni jak w roku 1939, ale tym razem to będzie pokojowa wojna, przywracająca wolność naszym ziomkom rozsianym po całym świecie, wojna o wolność, wojna wyłącznie z powietrza, żadnego zagrożenia nuklearnego. Chiny, Iran, Pakistan. Chiny, Iran, Pakistan. I do tego w wieczornych wiadomościach zdjęcie dzieci, rozciągniętych jak wyprawa przez czas - tyle że już było po czasie. Te dzieci nie żyły.

USA przyznały 650 miliardów dolarów na Pentagon. Więcej niż wydatki na obronę wszystkich innych krajów wzięte razem.

Był sobie niedźwiedź polarny, który uwiązał na lodowej krze. Były huragany, powodzie, odwilże, obsunięcia zboczy. Były kłótnie o limity emisji dwutlenku węgla, o sekwestrację dwutlenku węgla, o handel zezwoleniami emisyjnymi, jakby usuwanie śladów po dwutlenku było kwestią, którą da się rozwiązać poprzez zmniejszenie rozmiaru buta.

Papież oszalał i ubrany w beret powiedział całemu światu, że Antychryst powrócił pod postacią miłującego pokój ekowojownika, kładąc podwaliny nowej odsłony pogaństwa: natura kontra duch. Katolicy otrzymali instrukcję, że mają przestać się angażować w zieloną politykę, a w zamian szykować się do świętej wojny.

W Ameryce wyznawcom innej odmiany religijnego ekstremizmu, rozwijanego na gruncie wiary w Armagedon, bardzo się spodobała wizja Antychrysta w roli demokracji ratującego planetę i zaczęli marnować dokładnie tyle czasu i pieniędzy, ile mogliby marnować w imię konserwatyzmu.

I tak oto w czasie, kiedy wiedliśmy niekończące się spory o to, czy dzieło ratowania planety jest w swej istocie chrześcijańskie czy raczej pogańskie, demokratyczne czy raczej konserwatywne, kiedy dyskutowaliśmy do upadłego, czy technologia rozwiąże wszystkie nasze problemy, czy powinniśmy mniej latać, mniej jeździć samochodami, mniej jeść, mniej ważyć, mniej konsumować, mniej śmiecić, zawartość dwutlenku węgla w atmosferze zdążyła urosnąć do 550 części objętości na milion, czapy lodowe stopniały, a Iran przypuścił atak nuklearny na USA.

Eksperci źle to wszystko obliczyli. Wylecieliśmy w powietrze.

Reszta, jak powiadają, to już historia. Ale to nie jest historia. To jest potrzeciowożnie.

Na dwór, a teraz na górę po lśniących, ruchomych schodach. I dalej, rozświetnionymi ulicami, gdzie światła zderzają się z hałasem, a hałas zderza ze światłami, zagłębiam się w sam środek panoramy jarzącej się od neonów nocy. Nocne dziewczyny w miniówkach, prążkowani mężczyźni bez krawatów poprawiający rozporki, cyfrowe ekrany z najnowszymi dodatkami, bezdomny pod kocem w wejściu do zamkniętego sklepu, syrena alarmowa, jakby ktoś przerzywał piłą pas dla autobusów, błękitne błyski ciskane w pociemniałe okna biur, trzask

rozbijanych butelek, bo jakiś rowerzysta wjeżdża na chodnik i tratuje szereg beczek ustawionych przed jednym z lokali sieci All Bar One.

Prędką przeprawa przez hałas i neony. Powrót do domu.

Dom jest na górze, na siedemdziesiątym drugim piętrze. Trzy zamki, klucze na posadzkę łazienki, szklanka wody, ciuchy na kupę, zęby, mycie, whisky, włączyć telewizor.

Na wszystkich kanałach - ona: pierwszy Robo *sapiens* na świecie. Wygląda niezmiernie - czysta cera, zielone oczy, ciemne włosy. Nie ma ciała, bo go nie potrzebuje. Ma tylko głowę o idealnym kształcie, osadzoną na płycie z tytanu. Jest jak wyrocznia, jest jak cytat z Dantego, jest krainą Oz, Meduzą, Puchatkiem, Bogiem.

Prace nad nią wciąż trwają, ale zgodnie z głównym zamierzeniem projektowym Robo *sapiens* będzie w przyszłości podejmowała decyzje o planetarnym wymiarze, za nas, bo istoty ludzkie nie bardzo solnie radzą z procesami decyzyjnymi.

Właśnie leci wywiad z prezesem WIECEJ-Przyszłości; dziennikarz wypytuje go o kwestię podporządkowywania ludzi robotom.

DZIENNIKARZ: Właściwie dlaczego mamy powierzać nasze życie robotowi?

PREZES: Komputery od dawna pomagają nam w codziennych zmaganiach z życiem, na wiele sposobów, poczynając od przepowiadania pogody, a kończąc na obsłudze systemów grzewczych. Od dziesiątków lat wymyślamy też komputery interaktywne, czyli właśnie roboty, które uczestniczą bezpośrednio

w kontaktach z ludźmi. *Robo sapiens* przenosi ten eksperyment na znacznie wyższy poziom.

DZIENNIKARZ: *Do jakich zadań został zaprojektowany ten superbot?*

PREZES: Będzie nam pomagał w podejmowaniu obiektywnych decyzji. Dopiero co udało nam się wreszcie zakończyć wojnę, w której ryzyko wybuchu nikt przedtem nie wierzył. Jeśli nie chcemy, żeby to się powtórzyło, musimy decydować się na przedsięwzięcia, które wykraczają poza żywotne interesy rządzących i działaczy politycznych.

DZIENNIKARZ: *Twierdzi pan, że ten robot mógłby zapobiec wojnie?*

PREZES: Właśnie to staram się powiedzieć. Korporacja WIĘCEJ zrobiła, co w jej mocy, by odbudować nasz kraj ze zniszczeń, ale faktem jest, że nie dysponujemy obecnie takimi systemami rządzenia, które mogłyby dawać nam oparcie. Ludzie nie chcą głosować, nie interesują ich kłamstwa polityków. Słysząc też głosy krytyczne w odniesieniu do naszej firmy, że niby potajemnie przejmujemy władzę nad światem. Zapewniam, że nie taki jest nasz cel. Sam mam dzieci; chcę, żeby dorastały w bezpiecznym świecie. Jeśli robot może pomóc w tworzeniu bezpiecznego świata, to w takim razie dawajcie robota.

DZIENNIKARZ: *Mówi pan o żywotnych interesach rządzących, ale przecież WIĘCEJ to korporacja, która prowadzi działalność na całym świecie - wy też macie własne żywotne interesy, czy może się myłę?*

PREZES: Ma pan absolutną rację. Należy tu jeszcze dodać, że nam też zdarza się popełniać błędy, tak jak wszystkim. Proszę więc przyjąć, że *Robo sapiens* to korekta. Żadne ważne decyzje, które wpływają na życie innych, nie będą podejmowane bez przepuszczenia danych przez nią. To nie jest wybielanie się, to

nie jest kręctwo, to jest branie odpowiedzialności.

DZIENNIKARZ: Co sprawia, że ona jest o wiele lepsza od nas wszystkich razem wziętych?

PREZES: Zostanie podłączona do potężnego, wieloterminowego komputera - tego nie da się zrobić z żadnym człowiekiem. To będzie tak, jakby wszyscy laureaci Nagrody Nobla współpracowali ze sobą dla dobra ludzkości. A dzięki temu, że nie motywuje jej ani chciwość, ani żądza władzy, dzięki temu, że nie jest uwikłana ani w politykę, ani w ideologię, będzie udzielała najlepszych wskazówek. Niewykluczone zresztą, że nie będziemy chcieli jej słuchać, niewykluczone, że nie będziemy się kierowali jej radami. Ostatecznie kontrola należy do nas, nie do niej.

DZIENNIKARZ: Niby tak, ale kto sprawuje kontrolę nad tym komputerem?

PREZES: To nie jest żaden złowieszczy spisek korporacyjny, którego celem jest przejęcie władzy nad światem. WIĘCEJ jest spółką handlową i będziemy nadal robili to, w czym jesteśmy najlepsi, ale moim zdaniem dostarczyliśmy dowodów na to, że wśród wszystkich potężnych organizacji, czy to rządowych, czy to pozarządowych, WIĘCEJ jest jedyną taką, która stanęła na wysokości zadania po trzeciej wojnie i zadbała o zaopatrzenie obywateli we wszystko, co niezbędne do życia.

Ściszam dźwięk i dolewam WIĘCEJ whisky do lodu. (Są właścicielami gorzelnii państwowej.) To prawda, co powiedział ten człowiek: miliony ludzi pokiwiają głowami na znak, że się zgadzają, i sięgną po kolejnego drinka.

W dawnych czasach WIĘCEJ było najbardziej agresywnym

graczem na światowym wolnym rynku; sabotowali regulacje i byli królami dwutlenku węgla. Ich kosztowni prawnicy walczyli z proekologicznymi uzgodnieniami, z cłami, subsydiami, z wszystkim, co mogło hamować apetyty konsumentów. WIĘCEJ stało się też synonimem nieograniczonych podróży samolotami, sześciu samochodów na rodzinę, sześciuset kanałów telewizyjnych, braku cenzury, braku związków zawodowych, braku ingerencji rządu w handel. Przedwojenne hasło „WIĘCEJ TO WIĘCEJ”, przyklepane do zderzaków samochodowych, oferowało światu najwyższy standard życia.

I my wszyscy ochoczo za ten standard płaciliśmy.

Potem jednak doszło do wybuchu bomby - nie w jakimś obcym kraju, tylko w naszym - i w czasie, gdy politycy albo kryli się w bezpiecznych bunkrach, albo obarczali się wzajem winą i załamywali ręce na ekranach telewizyjnych, szefowie i pracownicy WIĘCEJ wzywali do walki cały świat, zarówno lokalnie, jak i globalnie.

Wiceprezes WIĘCEJ, Ralph J. Kennedy, opatrywał poparzonych i rannych we własnych przenośnych szpitalach polowych. WIĘCEJ-*Medycyny* przyłączyło się do partnerskiej grupy WIĘCEJ-*Motoryzacji*, by móc wysyłać darmową pomoc wszędzie tam, gdzie jej brakowało. To było działanie, a nie pušta retoryka; to było współczucie, a nie czcze wymówki.

WIĘCEJ przejęło odpowiedzialność za rozwałkowane wraki dymiących miast i wystąpiło z publiczną odezwą do obywateli, żeby przystąpili do działania, żeby sprząтали i budowali. Wszyscy zakasaliśmy rękawy, bo nie było innego wyjścia; budowaliśmy mieszkania, sklepy i drogi i po raz pierwszy od długiego czasu wydawało się, że temu, co robimy, przyświeca jakiś cel.

Nie wślepialiśmy się w ekrany komputerów ani w bezwstydną kupy kasy hasające po całym tym skurwionym świecie:

budowaliśmy, tworzyliśmy, robiliśmy. Czasowniki w formie aktywnej uwalniały nas od tłuszczu, zastępując go mięśniami, i odsyłały nas do domów bez towarzyszącego poczucia niezadowolenia. W jednym szeregu stawali ci, którzy podzegli do wojny, i ci, którzy mieli dość wojny; wreszcie robili wspólnie coś, co można było podziwiać.

Wcześniejsza wojna z terrorem wyzwoliła we wszystkich, co najgorsze - strach na widok burki i plecaka, strach przed meczetem i mezuzą, strach przed butami, paskami, butelkami z wodą, niespodziewanymi przystankami, strach przed nieoznakowanym białym vanem. Strach przed obcymi. Natomiast ta wojna, prawdziwa wojna, była inna - po niej nie zostało prawie nic dla nikogo. Nie było już żadnych „my” i „oni”; byli tylko żywi i martwi.

Rząd upadł. Nowym hasłem dla globalnej firmy nowego typu stało się „Nigdy WIĘCEJ wojny”.

Podobnie jak większość ludzi jestem zatrudniona w WIĘCEJ. Dokładnie mówiąc, pracuję w WIĘCEJ-*Przyszłości*. A mówiąc już zupełnie ściśle, pracuję przy Robo *sapiens* - to ja tworzę Spike.

- Dzień dobry, Billie.

Tak się zaczyna każdy nasz dzień - ponieważ ucę robota rozumieć, co to znaczy być człowiekiem. Spike posiada wszystkie informacje, otrzymała całe należne wykształcenie, ale jeśli nie jesteś człowiekiem, to od czego zaczynasz?

- Ludzie są najbardziej agresywnym gatunkiem na planecie. Są gotowi zabijać się wzajem za terytorium i bogactwa naturalne, ale

także zabijają się za uprawianie kultu nie tego boga, co należy, a nawet za to, że nie uprawiasz żadnego kultu.

- Czy Bóg istnieje?
- Nikt nie zna odpowiedzi na to pytanie, Spike. Liczymy raczej, że ty nam to powiesz. Oczywiście kiedy będziesz gotowa.
- Ilu ludzi wierzy w Boga? Większość?
- Owszem, jeśli wziąć pod uwagę populację planety, większość raczej wierzy w Boga, niż nie wierzy. Ci, którzy nie wierzą, obwiniają religię o wszystkie nieszczęścia świata i mimo że to atrakcyjna teoria, zwłaszcza w środowiskach naukowców, to jednak nie rozgrzesza nauki i technologii z roli, jaką odegrały w wywołaniu masowej destrukcji. Możesz sobie wierzyć, w co chcesz, ale jeśli nie dysponujesz karabinami i bombami, szkody, jakie wyrządzisz sobie samej i innym, będą dość ograniczone.
- A co z inkwizycją?
- Paskudny epizod w historii. Spytaj komputer.

Nie jestem tu po to, żeby wprowadzać dane w celach moralizatorskich - jestem tu po to, żeby odnotowywać wszystko, czym zainteresuje się Spike, i w razie konieczności odsyłać ją do komputera centralnego, który udostępnia jej całe spektrum istniejącej wiedzy.

Co dziwne, rozmawiamy ze sobą na poziomie towarzyskim, mimo że Spike jest przecież robotem. Opowiadam jej o swoim życiu.

- Kiedy się urodziłaś, Billie?
- W trzeciej ćwierci dwudziestego wieku. Dzięki rodzicom

mogłam poznać świat, którego dzisiaj prawie nie sposób sobie wyobrazić, świat skromnych aspiracji osobistych i prawie nieistniejącego materializmu. Ten, kto w latach sześćdziesiątych dwudziestego wieku miał samochód, był paniskiem.

- Czy twoi rodzice mieli samochód?

- Moi rodzice nie posiadali ani samochodu, ani konta w banku, pralki ani nawet telefonu. I nie byli moimi rodzicami biologicznymi. Dlatego sama miałam przynajmniej jedną czy dwie rzeczy mniej niż oni.

- Kim byli twoi biologiczni rodzice?

- Nie mam pojęcia. Zgubili mi się. Ale nie podejrzewam, by oni akurat coś mieli.

- Dlaczego byliście tacy biedni?

- Byliśmy biedni, to prawda, ale z kolei przyjrzyj się latom pięćdziesiątym, podczas których dorastała moja matka: to były czasy optymizmu. Skończyła się wojna światowa, skończyły się kartki na żywność, rodziło się państwo opiekuńcze. Ludzie, przynajmniej tacy mojego pokroju, chcieli bardzo niewiele, ot przyzwoitego jedzenia, jakiegoś lokum, stałego zatrudnienia, tygodnia urlopu latem. Można odnieść wrażenie, że to jakieś kompletnie inne życie, za bardzo oddalone, by je sobie wyobrazić, ale w kategoriach czasowych to przecież bardzo blisko. Świat, któremu przyglądamy się teraz, świat, który uTORował drogę trzeciej wojnie światowej, tak naprawdę zaczął się już w latach osiemdziesiątych, kiedy dominującą ideologią stał się materializm. Jeśli nie mogłaś czegoś kupić, roztrwonić, sprzedać albo pomnożyć, to w takim razie to coś nie istniało.

- Przystudiowałam już opracowania o tym, na czym polegał proces przejścia od ekonomii chciwości do ekonomii celu.

- Tak. Przypuszczam, że tak właśnie mogłabyś to nazwać.

- A jak ty byś to nazwała, Billie?
- Spike, kapitalizm jest jak rdest japoński: nic go nie jest w stanie wytepić. Gdyby na całej tej planecie pozostało tylko dwoje ludzi, jedno z nich znalazłoby sposób na robienie pieniędzy na tym drugim.
- Ale przecież w ekonomii celu nie chodzi o robienie pieniędzy, tylko o przegrupowywanie zasobów.
- Czyż język nie jest czymś cudownym?

Po trzeciej wojnie, kiedy pieniądze zniknęły z obiegu, a ludzie dostawali mdłości na sam dźwięk tego słowa, WIĘCEJ połapało się, że działalność firmy już nie może być oparta na sprzedawaniu towarów, tylko na ich dostarczaniu. Było to fenomenalne posunięcie, które przeobraziło cały późno-rynkowy kapitalizm.

Recepta była prosta: zastępujesz slogan „Kup-mnie-kup-mnie” sloganem „Wynajmij-mnie-wynajmij-mnie” i oblicze świata zmienia się nie do poznania. Na przykład ja wynajmuję swoje mieszkanie i meble, które w nim są. Ograniczenia nakładane na emisję dwutlenku węgla wiążą się z tym, że cały mój sprzęt AGD - lodówka, pralka etc. - musi być ultranowoczesny, a wręcz stanowić najwyższe osiągnięcie techniki, to zaś oznacza, że powinien być wymieniany z grubsza raz na pół roku. Jestem w związku z tym zmuszona do stałego „poprawiania wydajności”, ale firma wynajmująca robi to za mnie, za niewielkie dopłaty, które uiszczam oprócz tego, co płacę regularnie. Nie ma czegoś takiego jak prywatny samochód, to jest niedozwolone, ale w razie potrzeby mogę wypożyczyć samochód elektryczny.

Konsumpcjonizm w dzisiejszych czasach wydaje się czymś ohydny, dlatego z tym wynajmowaniem to taki genialny

pomysł: wciąż płacimy, a jednak nic nie posiadamy. „Dobre dla przepływu gotówki, dobre dla sumienia”, tak się mówi u nas w WIĘCEJ.

- Dostałaś przydział nowej garderoby? Pierwszy raz widzę tę sukienkę.

- Tak, tym razem zdecydowałam się na wynajem de luxe; normalnie biorę tylko konieczne rzeczy.

- Przed wojną ubrania kupowałaś sobie samodzielnie.

- Owszem, ale tak jest lepiej. Widzisz, Spike, kiedyś do wypożyczalni ciuchów szło się wyłącznie po stroje pingwinów...

- W jakim celu ludzie przebierali się za pingwiny?

- I po suknie balowe.

- W jakim celu ludzie nosili suknie z bali?

- Ale teraz wypożyczamy dosłownie wszystko, a to oznacza, że kiedy okres wynajmu dobiega końca, trzeba zwrócić ubranie. I dlatego kiedy wyprawiasz się do miasta z całymi naręczami starych szmat, to wcale nie jest tak, jakbyś była jakimś durnym, marnotrawnym, oszalałym na punkcie mody babsztylem. Nie, jesteśmy teraz skromnymi, ekologicznie uświadomionymi członkami nowego ładu światowego, którzy dotrzymują warunków swoich umów najmu.

- Co to jest czarny rynek?

- To takie miejsce, gdzie mogę sprzedać moje przedwojenne gacie.

To prawda - kwitnie handel przedwojennymi ciuchami, zwłaszcza majtkami. Kobiety z jakiegoś powodu nie lubią wypożyczać majtek: chyba jednak jest jakaś granica.

- Czarny rynek, Spike, powstaje wtedy, kiedy pojawia się luka między podażą a popytem. Kobiety chcą posiadać własne majtki. W nowym świecie teoretycznie nie posiadamy niczego na własność, dlatego zawsze będzie funkcjonował czarny rynek. Choć zwracam uwagę, że w czasach, kiedy od rana do wieczora coś się stale kupowało, w czasach, kiedy ten był *cool*, kto posiadał mnóstwo rzeczy, czarny rynek też istniał, głównie z podróbkami luksusowych towarów.

- Na przykład z torebkami Prady.

- Tak, aczkolwiek ja zawsze uważałam autentyczną torebkę Prady za niezbędnik.

- Teraz bardzo popularne są ubrania robocze Prady.

- Sprytnie z ich strony, że je wymyślili, a co ciekawe, nie są dostępne w ramach standardowego wynajmu.

- Lubiałś zarabiać pieniądze?

- Nie, bo ich nigdy nie starczało. Nikt nigdy nie miał tyle pieniędzy, ile potrzebował. Bogaty czy biedny, ciągle mało i mało. Im więcej mieliśmy pieniędzy, tym jakby mniej dawało się za nie kupić, a im więcej kupowaliśmy, tym mniej byliśmy zadowoleni. Wszystkim ulżyło, kiedy pieniądze odeszły do historii.

WIĘCEJ wprowadziło też pionierski system oparty na żetonach. Nazwane tak na pamiątkę śliczniutkich francuskich *jeton*, uwielbianych niegdyś przez potajemnych kochanków i drobnych przestępców, żetony były używane jeszcze nie tak dawno w budkach telefonicznych, płaciło się nimi także za grę na automatach w małomiasteczkowych barach. W obecnych czasach, podobnie jak te „szylingi”, którymi wynagradzano dziewiętnastowiecznych robotników, a które wymienialne były na towary jedynie w ich fabrykach, żetony zastąpiły wypłaty

i gotówkę. Wystarczy, że się zatrudnisz w jakiejś firmie na minimalny okres pięciu lat, a w zamian otrzymujesz żetony wynajmu, żetony żywnościowe, żetony ubraniowe, żetony podróży i żetony wolnego czasu. Istnieją też żetony oszczędnościowe, które można inwestować, ale dostają je tylko ludzie z kadry menedżerskiej.

Za żetony wolnego czasu można ściągać filmy, wynajmować samochody, mieć dostęp do cyfrowych wiadomości i sportu; można ich także używać w restauracjach WIECEJ. Żetony żywnościowe mogą być używane wyłącznie w sklepach WIECEJ. Nie nazywamy ich teraz supermarketami - w nich się robiło zakupy, a my teraz nie chodzimy na zakupy: chodzimy nabywać podstawowe artykuły. Jedzenie i kosmetyki to jedyne rzeczy, które można kupować, w staromodnym sensie tego słowa. Resztę się wypożycza. Wynajmuje. Płacisz i masz.

Często opowiadamy sobie dowcipy o żetonach podróży, ponieważ z powodu restrykcji paliwowych, podniesionego poziomu mórz i ustanowionej strefy wojennej nikomu nie wolno przekraczać granic własnego kraju.

Transport do pracy jest darmowy.

- Widzisz, Spike, w dniu, w którym gotówka stała się bezwartościowa, pozbycie się jej wydawało się jak najbardziej sensowne. Pięćdziesiąt funtów za butelkę wody, sto funtów za koszyk wypakowany jedzeniem, tysiąc funtów za transport na wieś. Bogaci płacili dziesiątki tysięcy funtów za podróż do Szwajcarii, Szwecji czy Danii. Nam pozostałym, tym biedniejszym, wystarczyło kilka tygodni, by się pozbyć oszczędności całego życia... Rządy i banki centralne nie lubią gotówki, nie mogą jej kontrolować. Tę funkcję kontrolną przejęła wojna: po prostu skasowała gotówkę jako realną walutę dostępną dla wszystkich, z wyjątkiem tych najbogatszych. Zamiast bezwartościowej

wypłaty za cały miesiąc lepiej mieć żeton, za który możesz gdzieś się przespać i jeszcze ci zostanie na miskę zupy.

- Pamiętam jeszcze kolejki tak długie, że znikwały za rogiem, upodabniając miasto do Moskwy z lat dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku, kiedy otworzono tam pierwszy lokal z fast foodem. Tutaj w MacDuck's i Burger Princess zaczęli oferować jedzenie zamiast wypłaty. Wszyscy chcieli dla nich pracować, żeby tylko dostać coś gorącego do jedzenia, ale to WIĘCEJ wymyśliło awaryjne rozwiązanie, czyniąc z niego podstawy nowej ekonomii.

- Ekonomii celu.
- Tak. Wszyscy się tutaj zgadzamy.
- Wszyscy, Billie?
- Gdybyśmy się nie zgadzali, to nie byłoby żadnej alternatywy, no chyba że jesteś Rosjaninem, który chodzi w futrach i żyje z góry kawioru.

W gospodarce potrzeciwojnia kapitalizm cofnął się do swych paternalistycznych korzeni i jednocześnie zrobił krok naprzód, by zrealizować swój ostateczny cel: przejęcie całkowitej kontroli nad wszystkim i każdym, i to za naszą zgodą.

To jest nowy świat. To jest Technopolis.

- Billie...
- Spike?
- Co się stało ze sztuką?
- Dzieła sztuki są bezwartościowe teraz, kiedy najbogatsi nie mogą ich kupować.
- Czy ktoś jeszcze maluje obrazy?

- Owszem, ludzie je malują, ale już ich nie sprzedają. Na liście dóbr dostępnych za żetony wolnego czasu nie ma dzieł sztuki.

- Ale można ściągać za nie pliki.

- Tak, można też wypożyczać kopie.

Przy okazji tłumaczę Spike, że dzieła sztuki na użytek domowy albo biurowy są wytwarzane fabrycznie w Estonii, gdzie kopiują muzealne oryginały.

- Możesz wypożyczyć całą kulturę zachodnią na rok, miesiąc, tydzień, na dogodnych warunkach.

- A jak jest z książkami?

- Mamy czytniki cyfrowe. Są szybsze, tańsze.

- A z teatrem? Operą?

- Obiecuję, że prędzej czy później zabiorą cię na jakieś przedstawienie, ale jako że aktualnie nie funkcjonuje żaden mecenat prywatny i rządowy też nie, bo przecież nie mamy rządu, *WIĘCEJ-Kultury* nakłada ograniczenia. Tego lata grają wyłącznie Pucciniego. Przez całe lato.

- W tym roku mają wznowić produkcje filmowe.

- Film zajął pierwsze miejsce w sondażu *WIĘCEJ* na temat poprawy jakości życia. Wszyscy chcą chodzić do kina.

- Zeszłej nocy przeczytałam kilka wierszy.

- I?

- Nic nie rozumiem - możesz mi to objaśnić?

- Zacytuj.

Kto trąbie powietrznej pokazał, jak stawać się ręką?

I w dzikich ostępach przestrzeni pielęgnował ogród

Zmysłowych przymiotów ukochanej twarzy tej jedynej?

Pogładziłam wysokie kości policzkowe i idealnie prosty nos Spike.

- Mogę ci to wyjaśnić, ale nie sprawię, że to poczujesz. Tu idzie o hybris maluczkich i o tymczasowość przeciwstawioną nieogarnionej, niedocieczonej wieczności wszechświata. Jesteśmy niczym i jesteśmy wszystkim. Spójrz na niebo: każda gwiazda to jakiś inny świat, ale jednak tym, czego szukam, nieważne, blisko czy daleko, jest miłość odmalowana na twojej twarzy.

- Pielęgnował ogród?

- Tu nie chodzi ani o rośliny domowe, ani też o polne. Może nimi targać wiatr, a jednak ktoś dba o nie. W ogrodzie jest mnóstwo pracy.

- Jak w miłości.

- Tak, jak w miłości.

Czasami Spike milczy. Nie w ramach mojego czy też jej własnego instruktażu. Ani sztuka, ani miłość nie przystają do ekonomii celu, podobnie zresztą jak nie przystawały do ekonomii chciwości. One w ogóle nie mieszczą się w ekonomii.

- Billie...

- Tak, Spike?

- Nie posiadam układu limbicznego i dlatego nie jestem w stanie odczuwać emocji. Kiedy coś do mnie mówisz, odnotowuję zmianę w temperaturze twojego ciała i wiem, że inaczej oddychasz, ale poza tym nic więcej.

- Och, Spike, znasz teorię; przecież dlatego cię tworzymy, żebyś wiedziała. Teoria jest taka, że ta ostatnia wojna wybuchła z powodu nadmiaru emocji. Fanatycy, w tym również

przedstawiciele religijnej prawicy, nie słuchają rozumu. Już od Oświecenia próbujemy się oderwać od emocjonalizmu, który jest matką wszystkich „izmów”, tak jak każdy inny „izm”, naszpikowanego przesadami i uprzedzeniami: wszystkimi tak zwanymi nieracjonalnymi instynktami, dzięki którym za to, co przychodzi nam zupełnie naturalnie, możemy obarczać winą naszą agresję i nietolerancję.

A jednak fakty wskazują, że ludzie racjonalni bynajmniej nie są lepsi od tych nieracjonalnych, bo co z tego, że potrafią kontrolować swoją agresję, skoro jednocześnie manipulują innymi ludźmi. Weź jako przykład chłodnego, opanowanego szefa, którego nie obchodzi, co mogą czuć jego podwładni. Albo pomyśl o różnych politycznych guru, którzy organizują masowe migracje ludzi i stanowisk pracy, domów i życiorysów, opierając się na danych statystycznych i mając wzgląd na wzrost gospodarczy. Pomyśl o politykach, dla których przeznaczenie sześciuset pięćdziesięciu miliardów dolarów na wojnę jest bardziej uzasadnione niż przeznaczenie zaledwie ułamka tej kwoty na szkoły, szpitale, żywność i czystą wodę.

Tacy ludzie są bardzo agresywni i bardzo despotyczni, ale maskują to, uciekając się do intelektualizacji i tak zwanego zasadnego myślenia.

Osobiście uważam, że potrzebujemy więcej emocji, a nie mniej. Ale myślę też, że powinniśmy edukować ludzi w kwestii odczuwania, bo emocjonalizm nie jest tym samym co emocje. Emocji nie da się wyrugować: w ekonomii ludzkiego ciała liczą się nie tyle ścieżki neuronowe, ile układ limbiczny, który można tu przyrównać do autostrady. Nie jesteśmy robotami - wybaczyć, Spike - a jednak stwarzamy pozory, że potrafilibyśmy rozwiązywać wszystkie nasze problemy, gdyby nie emocje, które rzekomo tak bardzo zaciemniają nasze osądy.

Dlatego właśnie niektórzy ludzie sprawy sfery osobistej określają mianem „trywialnych”. Dlatego kobietom tak trudno połączyć życie rodzinne z pracą i dlatego też niektóre kobiety całkiem jawnie zaniedbują własne dzieci na rzecz kariery zawodowej, bo nie chcą uchodzić za istoty sentymentalne i miękkie, bo nie chcą polec w starciu emocjonalizmu ze zdrowym rozsądkiem. Ale dziecko z tego powodu nie przestaje płakać. Dziecko potrzebuje czasu, aby dać sobie wpoić, że nie wolno mu niczego odczuwać, albo że jak już coś czuje, to nie powinno tego okazywać. Słusznie robimy, ucząc nasze dzieci myślenia, ale to nasze dzieci, przeważnie, uczą nas odczuwania.

- Ty w to wierzysz, Billie?

- Tak, ale z kolei, jak dobrze wiesz, aktualnie moje życie osobiste sprowadza się do zera. I muszę to przyznać: jest w tym coś małostkowego, egoistycznego, że nie szukam drugiego człowieka, tylko celu. Mam rację czy może nie?

Spike się uśmiecha. Lubie, kiedy się uśmiecha; na ogół jest śmiertelnie poważna.

- Żaden z pozostałych ludzi, którzy mnie programują, nie rozmawia ze mną w taki sposób. Traktują mnie jak robota.

- Nie bierz tego do siebie. To jest praca; wszystkich nas się traktuje jak roboty. Gdyby nas traktowali po ludzku, to musieliby przyznać, że jednak mamy uczucia. Ale nie ma jak - po trzeciej wojnie uczucia wyszły z mody.

Podkreśliłam głośność telewizora. Panel gadających głów spierał się o znaczenie sztucznej inteligencji i wynikające z tego implikacje.

- Nie podoba mi się myśl, że komputer miałby mi mówić, co mam robić.

- To ty nie masz nawigacji satelitarnej w swoim samochodzie? - (Śmiech.)

- Równie dobrze moglibyśmy wskrzesić wyrocznie delficką.

- A nie jest to przypadkiem nowy sposób na wymyślanie Boga? Za tamtym pierwszym razem wymyśliliśmy Boga i teraz znowu to robimy, ale różnica jest taka, że tym razem udostępniamy szkice robocze.

- Faktycznie, ta Robo *sapiens* jest jak Bóg, tyle że nie ze Starego Testamentu.

- Nie, ona jest jak twoja matka, tyle że bez poczucia winy. - (Śmiech.)

- Zaprogramowali ją tak, żeby ewoluowała. Co to niby dokładnie ma znaczyć? I jak ta maszyna miałaby ewoluować bez interakcji ze środowiskiem? Przecież na tym właśnie polega ewolucja.

- Będą ją wyprowadzali na spacerzy jak małe dzidzi. - (Śmiech.)

- Ona nie je, ale za to sypia. Jak supermodelka. - (Śmiech.)

- A dostaniemy miniwersję do rozwiązywania problemów osobistych? Arbitra od awantur o zmywanie? Specja od bieżącego regulowania należności?

- No pewnie tak... Niby wszystko nam wynajmują, ale czegoś takiego jeszcze nam nie dali.

Jak zawsze w przypadku telewizji poważny temat powoli przeradzał się już w jałowe bicie piany.

- Fakt jest taki, że ta Robo *sapiens* jest teoretycznie genialna. Ale czy teoretyczną genialność można zapisać po stronie faktów? I w ogóle czy ktoś wie, co z tego wszystkiego wyniknie? W sprawę zaangażowani są ludzie, a to jest zawsze zły znak.

Dopijam whisky i ziewam do telewizora. Gadające głowy będą się tak spierały do północy, ale ja muszę się wyspać, podobnie jak robot wart miliard dolarów. A tak nawiasem, wojna przyniosła jedną dobrą rzecz, a mianowicie to, że życie społeczne już się nie toczy dwadzieścia cztery h na dobę. Nie wolno nam marnować prądu, dlatego po północy dostarcza się go wyłącznie na użytek publiczny. Robi się wtedy cicho, ciemno i staroświecko: mnie się to podoba. Można oczywiście włączyć sobie radio, a poza tym większość urzędzeń działa na baterie wielokrotnego ładowania - ale tak czy siak ludzie jakby wrócili do ciszy. Domyślam się, że jesteśmy śmiertelnie zmęczeni, dlatego gdzieś w głębi duszy potrzebujemy przede wszystkim snu.

Zamykam oczy, z nadzieją, że coś mi się przyśni; odkąd lotniska są nieczynne, nie latają tu żadne samoloty, ich skrzydła nie strzygą po nocach mojego czoła. Próbowaly udawać, że są aniołami; nie były.

Strumień nocy, pędzi na mnie nowy dzień.

Siadam, przeciągam się, ziewam, łypię na siebie w lustrze: nie żeby jakaś bogini, ale też nie najgorzej. Kawa. Już lepiej.

Brudne ciuchy do pralki. Czyste ciuchy na grzbiet. Oto ja, pokonuję siedemdziesiąt dwa piętra w dół, bo jadę do pracy, chwytam w biegu pocztę, wyrzucam śmieci, zapinam kurtkę, ręce do kieszeni, woń potu w obu nozdrzach. A teraz do metra.

Zajmuję swoje ulubione miejsce w ulubionym wagonie,

ósmym z kolei, albo jak kto chce, ósmym poziomo jak wskazówka krzyżówki, a potem stając na jednej nodze, jak zawsze, bo dla drugiej nie ma miejsca. Im szybciej wynajdą ludzkiego monopeda, tym łatwiej nam będzie w godzinach szczytu.

Z drugą nogą podniesioną jak czapla, przystawiam nos do najmniej śmierdzącej pachy, rozglądam się dookoła, przysmykam oczy, trwam. Szereg dłoni uwieszonych u poręczy - włochatych, gładkich, wypielegnowanych, piegowatych, wypucowanych, ozdobionych pierścionkami, niczym nieozdobionych. Jedna zaciska się z osobliwą siłą i już wiem wszystko: jej właściciel czepia się tak kurczowo nie poręczy, tylko życia. Zdradliwego, podstępного życia, które jest kolorowe i proste, jeśli sobie radzisz, albo nie ma w nim niczego, czego można się trzymać, jeśli sobie nie radzisz. Tu, w tym wagonie, jest za dużo ludzi, dlatego nie każdy ma się czego trzymać: pasażerowie stoją prosto, pod prasą innych ludzi, a potem, później, w wagonie zrobi się pusto. W wagonie zrobi się pusto - co wtedy?

Drzwi się otwierają, ludzka fala płynie dalej.

Posadzka, automaty z czekoladą, cyfrowy język - KENNINGTON przez BANK - reklamy, billboardy, instrukcje bezpieczeństwa, niejasne pogrożki ze strony policji, pęd powietrza, stęchłego i gorącego, mysz pomykająca pod torami, urzędnicy w za dużych ubraniach, umysły skurczone do granic posady, klekotanie barierek, zmiany daty podróży, uliczny artysta z podkładem muzycznym, „Z SAMEGO RANA I PRZED UDANIEM SIĘ NA SPOCZYNEK”. Oślepiające inferno stojącego metra.

Wysiadłam, maszeruję w stronę biurowców z inteligentnymi szybami, które generują własne ogrzewanie i oświetlenie. W stronę

korporacji kawowych zakamuflowanych pod szyldami kawiarni. Sekretarki na wysokich obcasach, menedżerowie w prochowcach, dyrektorzy w limuzynach, komputerowi guru na rowerach, dzieciaki w drodze do szkoły, nieanglojęzyczni gońcy z karteczkami, których treści nie potrafią przeczytać. Sprzątaczkę wracającą do domu, rozpoczynający pracę robotnicy budowlani. Mężczyzna z głową ukrytą w dłoniach obok zaklejonego taśmą znaku przystanku autobusowego z napisem: LOTNISKO.

Przed budynkiem, w którym pracuję, uśmiecha się do mnie chłopak zamiatający tamtejszy chodnik; jest szczerbaty i pełen zapału. Stać go na tylko jedną odmianę emocji naraz - i kocha mnie.

- Dzień dobry, Billie.

Inteligentna tablica na budynku mówi: „Witaj w nowym dniu”.

Wchodzę. Zdejmuję. Uruchamiam. (Zdejmuję kurtkę, uruchamiam komputer.)

- Dzień dobry, Billie.

- Cześć, Spike. Wczoraj w telewizji wyglądałaś bosko.

- Miałam włosy i makijaż.

- Nie rozumiem po co. Zgodnie z projektem jesteś ideałem.

Włosy i makijaż są dla nas, tych nieidealnych.

- Jak nazwiesz kolor swojej szminki?

- To jest perłowa szminka, ale skąd takie głupie pytania w ustach Robo *sapiens*?

- Źle na to patrzysz, Billie. Zaprogramowano mnie w taki sposób, żebym za bardzo nie maskulinizowała danych.

W przeszłości to był wielki błąd. A wracając do drobiazgów... drobiazgi, nawet te zupełnie nieistotne, potrafią oddziaływać na decyzję.

- Ale jeszcze nie pokazali wywiadu z tobą na żywo.
- Nie. Ten wywiad zrobią dzisiaj podczas głównych wiadomości. Cały czas się zastanawiam, co im powiem.
- No więc co im powiesz?
- Że służę ludzkości.
- I bardzo dobrze.
- Jak się dzisiaj czujesz, Billie?
- Osamotniona, ale to ludzkie.
- Dlaczego czujesz się osamotniona?
- To schorzenie serca.
- Ale co to znaczy „osamotniona”?
- Moje tłumaczenia ci się nie przydadzą. Przyda ci się historia, ekonomia, polityka, nie samotnicze boje. A tak na marginesie, otrzymałam upomnienie w związku, jak się wyrazili, z naszymi pogawędkami.
- Ale wytłumacz...
- Niech ci będzie. Z samotnością nie chodzi o to, że nikogo przy tobie nie ma, że jesteś sama. To akurat bywa dobre, słuszne i zbawienne, pod wieloma względami pożądane. Z samotnością chodzi o to, czy znajdziesz jakąś stałą przystań i czy będziesz zawsze mogła do niej wrócić, niezależnie od tego, co robisz. Przeciwnością samotności jest nie towarzystwo, tylko powrót. Miejsce, do którego możesz wrócić.
- Jak Ulisses.
- Tak, jak Ulisses, któremu podczas wszystkich podróży i przygód coś stale każe pamiętać o powrocie.
- Bardzo dziękuję za listę lektur, którą mi dałaś.
- Ale pamiętaj, że to nieoficjalna lista.
- Oficjalnie czytam Adama Smitha.

- Przyniosłam ci dzisiaj coś nowego do przeczytania, oczywiście jeśli chcesz. Mam to w torbie. To tekst zatytułowany *Kamienni bogowie*. Znalazłam go wczoraj w metrze.

- O czym to?
- O powtarzającym się świecie.

Wciąż pamiętam, jak wyglądała tamtego pierwszego dnia, jaka była zielona, żyzna i zasobna, pamiętam te ciepłe morza, krystaliczne rzeki i niebo, które czerwienieje pod młodym słońcem, a potem przebarwia się na ciemny granat, podobne do pola spowitego w mrok nocy, na którym ktoś prowadzi prace wiertnicze w poszukiwaniu gwiazd.

- To jakaś opowieść?

- Tak, ale dzisiaj nie będzie czasu na jej przeczytanie. Zgodnie z moim grafikiem to jest dzień rozpoznawania danych w ruchu.

- Czyli?
- Idziemy na spacer.

Serce to ta jedyna rzecz, której ona mieć nie może. Ale archiwa serca znajdzie wśród nas, ludzi. Bo ono, serce, to nasz centralny punkt, choć wcale nie mieści się w samym środku.

Zdjęłam jej głowę z tytanowej płyty i umieściłam ją w precyzyjnie skonstruowanym nosidle dla autoryzowanego personelu. Żeby móc wyjść na zewnątrz, potrzebujemy podpisów dwóch innych pracowników laboratorium, a ja dodatkowo

muszę zabrać chip nadgarstkowy. Zgodnie z zaleceniem, Spike powinna spacerować po ogrodach WIEŃCEJ-Przyszłości: sztucznym lesie deszczowym urządzonym na obszarze wielkości dwóch akrów kwadratowych. Ten las wychładza także centralę WIEŃCEJ.

Dzień jak co dzień: ot, spacerowałyśmy sobie i nagle zauważyłam, że furtka, przez którą wychodzi się na ulicę, jest otwarta. Podeszłyśmy, przystanęłyśmy na progu - za nami papugi i liany, przed nami tramwaje. Naszło mnie dziwne uczucie, że to jakby skraj świata i że wystarczy jeden krok, tylko jeden krok...

- Dokąd idziemy, Billie?

ANARCHOPOLIS

Anarchopolis. Miasto, w którym chcesz mieszkać, jeśli nie chcesz mieszkać nigdzie indziej. Gdzie mieszkasz, jeśli nie możesz mieszkać nigdzie indziej.

Ekotryczne tramwaje zatrzymują się w odległości mniej więcej mili od Anarchopolis. To ta część miasta, z której do teraz nie usunięto zniszczeń po bombie, i być może tak już zostanie na zawsze. Ludzie mieszkają w skorupach domów i biurowców, budują z ruin własne siedziby.

Na skraju Anarchopolis, tam gdzie przebiega jego nieoficjalna granica wyznaczona przez pas ziemi niczyjej, stoi bardzo, bardzo długa i bardzo, bardzo nędzna pijacka spelunka, skonstruowana z wagonów kolejowych, ustawionych jeden obok drugiego na kształt pierścienia. Te wagony pełnią taką samą funkcję jak mury starożytnych miast, które odgradzały wewnątrz od zewnątrz, z tą różnicą, że tutaj zewnątrz jest odgradzone od wewnątrz - w ramach architektury, której styl można określić mianem „bandyckiego”, znaleziono sposób na przetworzenie oficjalnej części miasta, Technopolis, w przedmurze Anarchopolis.

Anarchopolis to Strefa Negacji - tu nie ma systemu ubezpieczeniowego, służb ratunkowych, opieki społecznej, policji. Prawo nie zabrania tam chodzić, ale jeśli już tam idziesz, to na własne ryzyko: nikogo to nie obejdzie, jeśli dasz się okaleczyć, zamordować, obrabować bądź zgwałcić. Nie będzie śledztwa, nie będzie odszkodowania. Jesteś tam zdana sama na siebie.

Ten demarkacyjny bar nazywa się „Front”.

Pojechaliśmy tramwajem aż do pętli, wysiadliśmy i ostatnią milę pokonałyśmy pieszo, po dziobatych, plamistych bliznach zniszczeń powstałych w wybuchu bomby. Pożary nigdy tu nie gasną, tłą się nadtopionym półzyciem, wiatr obsypuje ubrania i włosy łupieżem popiołu i metalu. Widzisz przed sobą pierścień utworzony z wagonów kolejowych, wyplątanych z wierzgających torów i połączonych w kolisty łańcuch podobny do bransoletki z talizmanami - Great Western, Great North Western, Virgin, EuroStar i wreszcie perła w koronie dla turystów, cała połowa Orient Expressu.

Turyści przychodzą tutaj, tak daleko, żeby się napić i poznać jakieś dziewczyny, ale tu się nie płaci żetonami, tu trzeba mieć prawdziwe pieniądze. Biorą tu dolary, biorą srebro i złoto, można też płacić biżuterią. Można się wymieniać. Akceptują też broń i usługi seksualne.

W Technopolis wprowadzono sankcje na alternatywną walutę, w całym mieście jest pełno billboardów nagłaśniających kampanię „Żetony to my”. Czarny rynek to zły kapitalizm: WIĘCEJ jest przeciwne czarnemu rynkowi i złemu kapitalizmowi.

Pracownikom WIĘCEJ odradza się wycieczki do „Frontu”. Zresztą funkcjonuje taka teoria, że skoro wypłaty dostajemy w żetonach i nie posiadamy niczego, co moglibyśmy sprzedać

albo wymienić na coś innego, czarny rynek i Anarchopolis, niczym niezasilane, pozbawione energii jak wypalona gwiazda, ostatecznie umrą śmiercią naturalną.

Tyle teorii. W rzeczywistości większość z nas posiada różne rzeczy sprzed wojny, którymi możemy handlować na czarnym rynku. Ja wciąż mam dolary z konta, które zdążyłam w porę opróżnić, mnóstwo dolarów, i zabieram je z sobą na wypadki do Anarchopolis.

Weszliśmy do wagonu Lalique Orient Expressu. Na pluszowej kanapie siedziała para dziewczyn, całowały się. Piły szampana - rocznik przedwojenny. Taki szampan kosztuje mnóstwo czarnych pieniędzy.

Na blacie baru siedział bulterier, stojący obok wytatuowany chłopak wyklócał się o jego cenę. Chciał sprzedać psa, potrzebował na narkotyki. Ale diler nie chciał psa. A barman? Też nie. Chłopak wypadł z baru jak bomba, po drodze tłukąc szklankę. Pies skomlał. Kiedy podeszłam, chcąc go pogłaskać, próbował mnie ugryźć.

- Pies cierpi, bo go odrzucono - powiedziała Spike, która dostaje dodatkowe moduły z teorii psychoterapii.

- Jak my wszyscy - odparłam - ale nam nie wolno gryźć. Pogłaszcz go.

- Na razie nie mam rąk - zauważyła sensownie - ale proszę, postaw mnie obok psa. Chciałabym mu się przyjrzeć.

Ostrożnie stawiam wartość pięć milionów dolarów - nie licząc kosztów badań - głowę na barze zbudowanym z podkładów kolejowych, obok bulteriera. Spike uśmiechnęła się. Pies położył się z nosem w światłowodach w jej karku.

Podszedł do nas nieogolony mężczyzna; miał sylwetkę, która przywodziła na myśl przenośną budę z hamburgerami.

- Chcecie whisky, piwo czy szampana? Nic więcej nie ma.

Poprosiłam o whisky i wyjęłam dolary. Przyjął.

- Ma być podwójna czy potrójna?

- Pojedyncza.

- To nie jest bar dla samotnych. Dam ci potrójną za cenę podwójnej. Kim jest twoja przyjaciółka?

- Uczę ją. Jest robotem.

- Nie ma ciała.

- Jest przeznaczona do myślenia.

Pokiwał głową i nalał hojnie do pękatych szklanek.

- Jest przeznaczona do myślenia o czym?

- O wojnie, pieniądzach, przyszłości.

Pokiwał głową.

- Z całą pewnością powinna sobie golnąć.

Wrócił do swojej pakamery; oglądał tam telewizję, zwrócony ku nam zwalistymi barkami.

Przyjęłam drinki. Wyszło na to, że dostałam dwie potrójne whisky - roboty naprawdę nie piją.

Spike rozglądała się dookoła, myśląc o czymś. Poza myśleniem niewiele więcej może robić.

- Do czego to służy?

- Ten lokal?

- Nie, nie lokal, tylko to getto. Po co tu ono? WIĘCEJ zaspokaja wszelkie potrzeby i pragnienia. Getto jest niepotrzebne.

Mężczyzna na tyłach usłyszał to i odwrócił się w naszą stronę.

- To nie jest getto; nikt nikogo nie zmusza, żeby tu mieszkał. To jest Anarchopolis. Powinnaś częściej wychodzić z domu.

- Jeszcze mi nie dali nóg - zauważyła Spike.

- Każ swojej kumpelce, żeby cię nosiła. Nie mamy tu udogodnień dla niepełnosprawnych. Nie stosujemy prawa, zasad, przydziałów, ale jeśli nie masz nóg, to ktoś będzie cię tutaj nosił, a jeśli nie masz rąk, ktoś będzie głaskał za ciebie psa. - Sterczał tam jak góra, wielki i wyszczerzony w uśmiechu. - Tu jest prawdziwe życie, nie ten teatrzyk kukiełkowy.

- Nazywasz Technopolis teatrzykiem kukiełkowym? - spytałam.

- Ktoś tam pociąga za sznurki, ale na pewno ani nie ja, ani nie ty.

- W przyszłości będę podejmowała decyzje, które przysłużą się ulepszeniu ludzkiej rasy. Taki jest cel, w którym mnie konstruuja - oświadczyła Spike.

- Dzięki, ale własny gnój to ja wolę robić samodzielnie - odpalił barman.

- Jasne, ale czy chciałeś, żeby reprezentanci narodu, pochodzący z demokratycznych wyborów politycy bawili się w dyktatorów, którzy robią gnój za ciebie? - odparowałam. - Ty nie wymyśliłeś wojny, ja też nie, a jednak ta wojna wybuchła, przeżyliśmy ją i teraz mamy, co mamy.

- Błąd - sprzeciwił się znów barman. - Ty masz tamto. - Wycelował w stronę Technopolis paluch jak piętnastocentymetrowe wiertło. - A ja to.

- A jeśli znowu nas wysadzą w powietrze? Gdzie potem wylądujesz?

Wzruszył ramionami jak pustaki.

- W jakimś innym barze, na innym pogorzeliisku. Dobrze wiesz, o czym mówię: politycy, roboty, tu nie ma różnicy.

- Roboty są apolityczne - wskazała Spike. - Potrafimy podejmować zasadne decyzje, inaczej niż ludzie.

- To nic nie da - powiedział barman.

- A właśnie, że da - odparłam. - Przyszłość należy właśnie do niej.

- Nie tutaj - klócił się dalej. - Tu, gdzie jesteśmy, robimy i będziemy robili to, co chcemy. Tu mieszka duch i żaden robot tego nie zmieni.

Poszedł podać pełne butelki dziewczynom w kącie. Były pijane. Jedna wyjadała sardynki prosto z puszki. Uwielbiam sardynki z puszki.

- Nie poplam kanapy oliwą - ostrzegł dobrodusznie barman, znów pokazując zęby w uśmiechu.

- W sardynkach jest dużo kwasów omega-3 - rzuciła bez związku Spike, wyraźnie nie mogła się powstrzymać. Dopóki nie usuniemy jej tej wady, nachalnie udostępnia wszelkie posiadane informacje, choćby nie wiadomo jak trywialne. W taki sposób uczy się komunikacji z ludzkim interfejsem -czyli z nami.

Za drzwiami rozległ się elektryczny warkot, wszyscy się obróciliśmy jak na komendę. Wstałam, żeby sprawdzić, co się dzieje.

Przed barem zatrzymały się trzy wózki golfowe. Siedziało w nich dwunastu uśmiechniętych Japończyków, ubranych w identyczne przedwojenne kapelusze i prochowce firmy Burberry. Ich przewodnik tłumaczył coś po japońsku i gestykulował w stronę wagonowej linii demarkacyjnej.

Barman podszedł do drzwi, zgarbił cielsko w wygiętej framudze.

- Saki-bar jest w wagonie Bulletu, to ósmy stąd - powiedział,

ale przewodnik i tak podszedł do niego, nie przestając uśmiechać się idiotycznie i wymachiwać rękoma.

- Jesteśmy Międzynarodową Delegacją Pokojową, której celem jest zapewnianie pomocy humanitarnej i urządzeń sanitarnych dla uchodźców wojennych - zagadał.

- Nie potrzebujemy pomocy humanitarnej i urządzeń sanitarnych - oświadczył barman. - I nie jesteśmy uchodźcami.

Przewodnik albo tłumacz, kimkolwiek był, dalej się uśmiechał. A potem jeszcze złożył głęboki ukłon.

- Wszyscy jesteście ludźmi, których wojna pozbawiła swego miejsca na ziemi i którzy nie mogą żyć normalnie.

- Przed wojną nie mogliśmy żyć normalnie - odparował barman. - Dlatego właśnie po wojnie wszyscy przyszliliśmy tutaj.

- Tu panują nieludzkie warunki - stwierdził tłumacz.

- Wypraszam sobie - powiedział barman.

- Wejdzimy tu i dokonamy inspekcji - oznajmił na to tamten, znowu się kłaniając. - Na tej podstawie opracujemy szczegółowy raport i zalecimy zakres niezbędnej pomocy.

- Tylko nie zapomnijcie o kiblach - dopowiedział barman, wyjmując zza paska walkie-talkie.

Pozostali członkowie delegacji wysiadali trwoźnie z wózków, zostawiając swe parasole na siedzeniach. W walkie-talkie za-trzeszczało.

- Morderstwo w Orient Expressie - powiedział barman.

Kilka sekund później do wagonów tworzących mur podjechało piętnastu jeźdźców na harleyach, w dzinsach, skórach i bandanach, z frędzlami powiewającymi przy rękawach, w raybanach odbijających blade słońce, w okutych metalem buciorach, z torbami na narzędzia, z których zamiast narzędzi wystawały butelki buda. Otoczyli wózki i wtedy cała delegacja jak

jeden mąż podniosła wszystkie swoje dwadzieścia trzy ręce - najwyraźniej doszło tu już kiedyś do jakiegoś incydentu z ich udziałem.

- Mamy przepustkę! - zaprotestował tłumacz.

- Przepustka oznacza władzę - powiedział barman. - Przepustka oznacza kontrolę. W tym miejscu nie stosujemy żadnych kontroli i tu nie działa żadna władza, a w każdym razie nie ta władza z zewnątrz. Wynocha do Technopolis: zbudowali je dla takich jak wy.

Motocykliści okrasili tę diatrybę pohukiwaniami i trąbieniem w klaksony, a potem zapuścili swoje silniki o pojemności 1400 cm³, zaryli piętami w ziemię i zaczęli robić piruety na tylnych kołach.

Japończycy posiadali bez słowa do swoich wózków. Tłumacz złożył jeszcze jeden ukłon, po czym zapewnił barmana, że niebawem usłyszy jeszcze o nich i o ich sponsorach.

I nagle sprawy przybrały całkiem nowy obrót; jeden z harleyowców zajechał wózką od tyłu i zaczął poganiać je niczym pies pasterski na dwóch kółkach, a tłumacz z kolei wypalił, że tu się stosuje nielegalne substancje.

- Jakie znowu nielegalne substancje? - odpalił barman.

- Pochodne benzyny - powiedział tłumacz.

- Te motory nie jeżdżą na pochodnych benzyny, ty debilu - powiedział barman. - Jeżdżą na benzynie, spalają jej całe tony.

- Benzyna! - zachnął się tłumacz. - Stosowanie benzyny jest nielegalne! Sporządzę szczegółowy raport.

Na właścicielu harleya nie zrobiło to wrażenia. Odczepił kanister z paliwem, tak mały, że wyglądał jak bidon, i wylał zawartość na tył najbliższego wózka. Opary benzyny zabarwiły powietrze na niebiesko, a motocyklista wycofał się półkolistą

linią, wyjął zapalniczkę i cisnął ją na wózek, który z miejsca wybuchnął.

- Jezu! - krzyknął barman, wywlekając z wózka czterech płonących Japończyków.

Pozostali motocykliści przejęli dowodzenie nad dwoma wózkami i ich pasażerami: umocowali je łańcuchami do swoich motocykli, a potem jak w kulminacyjnej scenie z jakiegoś filmu przebili się przez przedział służbowy najbliższego wagonu i w tumanach kurzu pojechali dalej - kto wie dokąd?

Tłumacz ratował własne życie, biegnąc zygzakiem przez płomienie, dymy, opary i pył. Na ziemi leżał czyjś kapelusz. Barman kopnął go.

- Na zawsze mu się odechce przychodzić z pomocą humanitarną i urządzeniami sanitarnymi.

- A co z tamtymi? - spytałam zupełnie ogłupiała od natłoku zdarzeń.

- Jakimi tamtymi? - odparował barman. - Ja tu nie widzę żadnych tamtych. A ty widzisz?

Wróciłam do baru. Amatorki szampana zniknęły. Sardynki zniknęły. Bulterier zniknął. Zniknęła Spike.

- Przepraszam, ale... - wyjąkałam.

Barman podał mi szklanekę whisky.

- Na koszt zakładu.

- W dniu dzisiejszym czołgi otoczyły granice Strefy Negacji, znanej również jako Anarchopolis, w związku z misją uwolnienia jedenastu uprowadzonych członków japońskiej Delegacji Pokojowej. Delegacja zamierzała przeprowadzić kontrolę strefy pod kątem panujących tam warunków i ewentualnej pomocy humanitarnej. Rzecznik *WIĘCEJ-Sprawiedliwości* powiedział dziennikarzom, że czas najwyższy podjąć bardziej zdecydowane

kroki przeciwko działalności mieszkańców strefy. „To zwykła wylęgarnia przestępców - wytłumaczył. - Byliśmy dotąd zajęci odbudową naszej własnej infrastruktury, stąd ten brak dozoru, ale obecnie trudno już znaleźć racje, dla których ktoś miałby przebywać poza terenem Technopolis. Swego czasu zaoferowaliśmy pracę i lokum wszystkim mieszkańcom Strefy Negacji i ta oferta wciąż obowiązuje. Ogłaszamy dzień pierwszy siedmiodniowej amnestii dla wszystkich obywateli ze Strefy; mogą się zgłosić i zamieszkać w bardziej otwartej społeczności swoich ziomków. Po upływie tych siedmiu dni wchodzimy”.

Barman wyłączył wiadomości.

- Lepiej się stąd zabieraj - powiedział. - Nic cię tu nie trzyma.

- Gdzie mój robot?

- Nawet nie pytaj, w tym miejscu może się zdarzyć wszystko. Podejrzewam, że poszła z tamtymi dziewczynami. A one mieszkają w środku. - Wskazał kciukiem kierunek. - To są uciekinierki z bogatych rodzin, tak dla twojej informacji.

- Przecież twierdziłeś, że tu nie ma żadnych uchodźców. Czy może się przesłyszałam?

- Mówiłem o uchodźcach wojennych. Za to z Technopolis stale ktoś przyska. Ludzie ciągną tu całymi stadami. Nie wyglądasz mi na głupią, więc powiedz, co o tym myślisz, o tej japońskiej aferze?

- To była wasza wina. To wy podpaliście wózki.

- Ja osobiście nic nie zrobiłem. A oni byli podstawieni. To jasne jak słońce. Chcieli, żeby coś im się stało. Chcieli mieć wymówkę. WIĘCEJ wymówek.

- Tak uważasz?

- Na sto procent. Od pewnego czasu wszystko zaczęło się warzyć pręcej niż czarnorynkowe piwo. WIĘCEJ chce tu wejść, więc powinnaś stąd spieprzać.

- Nie mogę odejść bez Spike, ma dzisiaj wystąpić w telewizji.

- Trzeba było o tym pomyśleć, zanim zabrałaś ją na spacer.

Otwarłam usta, chcąc zaprotestować. Uciszył mnie gestem ręki, zerkając na zegar ścienny.

- Masz kilka godzin. OK. Możesz jej poszukać, skoro już musisz. Przeprowadzę cię.

Na mojej twarzy musiało się malować niezrozumienie. Poklepał mnie po plecach dłonią wielkości szpadla.

- Do Tyłów. To jest „Front”. Mieszkamy na Tyłach.

Szłam za nim przez wnętrze pociągu, po drodze mijaliśmy tabliczki o treści „Tylko dla pań”, „Tylko dla panów” oraz „Tylko dla psów”, obok której znajdował się kran z wodą. Mój przewodnik odwrócił się i wyciągnął swój prawy szpadel.

- Nazywam się Pietashek - powiedział. - A ty?

- Billie Crusoe - odparłam.

Pokonaliśmy cały pociąg i wreszcie wyszliśmy na rampę, a z niej na plac, który wyglądał jak arena do walk gladiatorów. Dookoła stały prymitywne budy, trzy- i czteropiętrowe, większość z balkonami utworzonymi z drążków od rusztowań i desek. Wszędzie biegały psy i koty, po balkonach skakały wieiórki i małpy. W ziemi drapały kury, a osioł zaprzężony do wozu czekał cierpliwie, aż mu każą zawieźć gdzieś lodówkę. Tłusta kobieta przed jednym z domów gotowała na blaszanej puszcze, spod patelni buchały płomienie. Dziecko obok niej siłowało się z małym lamparciątkiem.

- To jest playa - powiedział Pietashek. - Spotykamy się tutaj, kiedy musimy coś postanowić. Widzisz ten dzwon?

Spojrzałam w górę. Cały plac rzeczywiście przypominał laticynoską playę, z zabudowaniami, które upodabniały ją do brazylijskiej faweli, przede mną zaś stała typowo włoska kampaniła.

- Nie mamy żadnych planów zagospodarowania przestrzennego - poinformował mnie Pietashek. - Każdy może tu sobie budować, co mu się żywnie podoba. To jest królestwo wielu kultur. - Zaśmiał się śmiechem, który przypominał warkot piły łańcuchowej. - Dzwon przywołuje nas na zebrania.

- Ilu ludzi tu mieszka? - spytałam.

Wzruszył ramionami.

- Nikt tego nie liczy. Miasto ciągnie się jeszcze dalej, daleko stąd, aż w Nieznane.

- A w Nieznanym, co jest?

- Nie byłoby Nieznane, tylko Znane, gdybym ci umiał powiedzieć, to chyba logiczne? To obszar skażenia radioaktywnego, który na nowo ewoluuje. Albo Życie po Ludziach, cokolwiek by to miało znaczyć, ale wiesz, co ja sobie myślę? Tam nie może być wiele gorzej, prawda?

Był dziwnym człowiekiem, rzekłabym wręcz, człowiekiem, który jest inny od frontu i inny od tyłu. Zdecydowanie odstawał od wizerunku stereotypowego barmana.

- I tam żyją zwierzęta - dodał. - Dzikie zwierzęta, dla tego lepiej się pilnuj, gdybyś przypadkiem się zapuściła tak daleko.

- Jakie dzikie zwierzęta? Skąd?

Pietashek wskazał mały.

- Z zoo, bomba je wypłoszyła i potem rozpierzchły się na wszystkie strony. Część została wybita, innym udało się uciec.

Te, które uciekły, przyszły tutaj, jak wszystko inne, co nie chciało wracać do klatek.

Obok nas przemknął cadillac - różowy cadillac; z rury wydechowej buchały spaliny i płomienie. Na tylnej kanapie jak na grzędzie usadowił się facet z muzealną aparaturą, głośnikami wielkości skrzynek na herbatę i szafą grającą Wurlitzera rzucającą czerwono-niebieskie błyski. Miał na sobie więcej złota niż Aztek na pogrzebie.

- IMPREZA! - krzyczał. - IMPREZA!

- Impreza będzie wieczorem - dopowiedział Pietashek - ale lepiej znajdź najpierw swojego robota.

Wyjęłam komórkę i postukałam w przyciski. Nie było sygnału. Nie było do kogo zadzwonić. A normalnie do kogo dzwonię? Po łokcie ubabrana w mierzwie wyedytowanych tekstów i SMS-ów - z kim tak naprawdę rozmawiam i kto tak naprawdę jest tam, po drugiej stronie?

WIĘCEJ ma swój wydzielony numer: Txt X. To linia natychmiastowej pomocy samarytańskiej, z którą prędko się porozumiesz za pomocą palca wskazującego i kciuka. Napisz, jaki masz problem, a my ci odpowiemy. W rzeczywistości odpowiada robot, ale to jakby nie ma znaczenia - słyszysz odpowiedź, odzew z kosmosu. Przechwyć sygnał z pulsara i powiedz: „Słucham”.

Pulsar: umierająca gwiazda, która obraca się pod wpływem własnej, eksplozywnej anarchistycznej energii jak latarnia morska na speedzie. Gwiazda jak wielkie miasto, miasto wielkie

jak gwiazda, gwiazda, która wiruje bez końca, gwiazda, której pieśń śmierci przechwytuje odbiornik radiowy wiele lat świetlnych później niczym nagrany wiadomość, której nikt wcześniej nie odsłuchał, a teraz odtwarzaną w nieskończoność na falach czasu. Miłość i strata.

Trzymaj mnie w wiadrze do mopa albo w tym rowku, w który wsadza się ruszt, ale nie rozstawaj się ze mną, boja cię Kocham.

Stałam samotnie na środku plaży, kiedy moją uwagę przykuł czyjś głos gardłowo przetworzony przez mikrofon. Jakiś starszy człowiek uwędzony na brązowo przez słońce ustawił równoległe, w odległości kilku metrów, dwie domowe drabiny, a potem ułożył na nich belkę stropową.

Elektroniczna klawiatura podłączona do akumulatora samochodowego, obok Cyganka z obłędem na twarzy, szepcząc chrapliwie do mikrofonu w kształcie lizaka: zapowiedziała kolejną atrakcję - kozioł spacerujący po desce. Delikatne raciczki zagrały na metalowych szczeblach jak na cymbałkach: zwierzak naprawdę wspiął się po drabinie, posłusznie reagując na delikatne szarpnięcia rzemienia trzymanego przez dziadka w zaplamionym wełnianym garniturze. Przespacerował się po desce w takt stukotania klawiszy i mesmeryzującego głosu kobiety, która zaczęła śpiewać *My Way*. Potem na środek areny wskoczył jej syn z płonącym hula-hoop i przywołał z furgonetki dwa pudła. Tak! Przeskoczyły przez ogień, wyciągając przednie i tylne łapy w powietrzu, jakby potrafiły fruwać. Tak! Kozioł z kolei dotarł do kresu czasu, wykonał obrót i zaczął zawracać, wlokąc za sobą świat, nadmuchiwaną piłkę umocowaną do smyczy.

Na arenę wkroczyła teraz córka: sukienka z frędzlami, wysokie obcasy, gorset, czerwone usta, czarne włosy. Klaskała w dłonie, agresywnie domagając się pieniędzy, i wtedy zgromadzeni wokół, nadzy do pasa chłopcy zaczęli ciskać w jej stronę monety i papierosy.

Wszystko szło dobrze, dopóki na arenę dla artystów nie wpadł pies o pancernym łbie i nie wdał się w walkę z jednym z pudli. Syn próbował go złapać, klnąc przy tym po hiszpańsku, ale pies go ugryzł, zwałił na ziemię konstrukcję z belką i prysnął łukiem w przestrzeń między dwoma koślawymi budami.

Poderwałam się do biegu. To był bulterier.

Niełatwo pokonać biegnącego teriera. Za nic nie potrafię ogarnąć fizyki dolnych kończyn, mam dłuższe nogi, więc dlaczego nie mogę dogonić psa? Nawet psy o bardzo krótkich łapach biegają szybciej niż ludzie o długich nogach. Z czego to się bierze?

Przycisnęłam torbę do boku i skupiłam się na pogoni. Ledwie zwracałam uwagę na pojemniki na śmiecie, które oboje przewracaliśmy, na skrzynki, o które się przewracaliśmy, na sterty złomu, które braliśmy susami, jakbyśmy oboje startowali w olimpijskim biegu przez płotki. Pojawił się rów wypełniony ściekami - oboje wzięliśmy go skokiem. Pojawiło się ogrodzenie z drutu kolczastego - pies przebiegł pod spodem, ja podarłam bluzkę. Ogródki działkowe, kapusta, szopy, drzewa, las w oddali... Pies zniknął jak kamfora.

Zatrzymałam się, nakręcona i osamotniona próbowałam ogarnąć sytuację.

Drogę dalej zagradzał mi skamieniały las szerniałych; zszokowanych drzew, milczących jak nawiedzony dom. Ruszyłam

w tamtą stronę, z góry przerażona tym, co znajdę, bo odezwał się we mnie ów instynkt, który ostrzega przed niebezpieczeństwem, zawsze gdy ono naprawdę istnieje.

Pokonałam pierwszą linię drzew. Ich kora miała dziwną powłokę, jakby z laminatu. Szłam coraz dalej, coraz bardziej w głąb, i widziałam teraz, że drzewa się jarzą. Czyżby las był radioaktywny?

Grunt pod nogami okazał się grząski, ale wcale nie grzęzłam w grubym dywanie z mchu ani też w bloku, tylko jakby w mielonym mięsie.

Ten las milczał - nie ćwierkały w nim ptaki, nie porykiwały zwierzęta, nie trzeszczały konary drzew - i ja milczałam razem z lasem. Miazga wsysała mnie przy każdym kroku, a ja cała zakłęślam się w milczeniu, z panicznego lęku, jak dziecko, które zamknęło się w szafie i umiera ze strachu przed tym dorosłym człowiekiem stojącym za drzwiami.

Serce biło mi o wiele za szybko i pociłam się jak mysz. Za Strefą Negacji rozciągała się Strefa Czerwona, kontrolowana przez policję. Mógł to być jej skraj?

- Wycofaj się stąd, tylko powoli.

Usłyszałam głos, ale się nie odwróciłam. Zrobiłam, jak mi nakazał, cofałam się krok po kroku, aż wreszcie wyszłam z lasu, wracając na to samo pole, gdzie straciłam z oczu psa.

- Stój.

Znieruchomiałam. Usłyszałam jakiś trzask, jakby z posutego nadajnika.

- Napromieniowało cię, ale to przejdzie.

Obróciłam się. Przede mną stał Pietashek.

- Śledziłeś mnie!

- Ktoś musiał. Ostrzegałem cię, a jednak tu przyszłaś. To jest Martwy Las.

- Strefa Czerwona?

- Las stanowi jej część. Nie patrolują go, bo liczą, że nas wszystkich pozabija. Jak nie możesz rozwalić dysydentów za pomocą bomby atomowej, to zawsze możesz pozwolić im zdechnąć na skażonym terenie - to też doskonale rozwiązanie. A jednak tu ta koncepcja nie do końca się sprawdziła. Wielu z nas zachorowało, wielu z nas umarło, a jednak tu się coś dzieje, widać zmiany. Byłem tam w środku, ubrany w kombi nezon ochronny. I znalazłem życie, może niekoniecznie takie, z którym poszłabyś do łóżka albo które chciałabyś znaleźć pod łóżkiem, a jednak co życie, to życie. Natura nie jest wybredna.

- Kim ty jesteś? - spytałam. Uśmiechnął się.

- Chodź, pójdziemy coś zjeść.

Wracaliśmy przez pole, w stronę uprawnego terenu i pierwszych budynków. Pietashek poprowadził mnie do niskiej chaty zbudowanej ze stalowych dźwigarów zatopionych w betonie i połączonych przy drugim końcu śrubami, co nadawało całej konstrukcji nadzwyczaj oryginalny styl, powiedzmy, frankensteinowski. Za ściany posłużyły arkusze blachy falistej pomalowanej na jarzeniowy błękit i wprawdzie nie było w nich okien, ale za to dach wykonano z przezroczystego plastiku.

Przez środek jasnego, pogodnego wnętrza biegł długi, siedemnastowieczny stół z drewna wiązu, otoczony zbieraniną krzesel. Przed utratą ciepła chroniły stare kołdry przy-mocowane do ścian skrzyżowanymi powrozami, a podłogę zaizolowano warstwą ubitego piasku nakrytego prymitywną matą z sitowia. Do tego jeszcze kominek i telewizor ze ściszoną fonią. A także półki pełne książek. Nie mogłam się oprzeć, musiałam ich dotknąć.

Wojna nie oszczędziła książek, wytrzebiła je jak wszystko inne, a w świecie potrzeciwojnia nie wróciliśmy już do drukowanych mediów. Zadziałał argument ekonomiczny o niszczeniu środowiska naturalnego: po co wracać do czegoś, co i tak wychodziło z użycia? Można przecież zamawiać książki z wydawnictw typu „druk na żądanie”, ale obecnie ludzie albo posługują się czytnikami cyfrowymi, albo w ogóle nie czytają. Młodsze dzieci nigdy nie poznały kultury książkowej, więc za nią nie tęsknią.

- Książki... - wymruczałam, jakbym próbowała pobudzić pamięć tym rzeczownikiem.

- Książki przywędrowały tutaj tak samo jak ludzie i zwierzęta - odparł Pietashek. - Ludzie szczególnej kategorii, zwierzęta szczególnego typu, w poszukiwaniu bezpiecznej przystani.

Przeszedł do prowizorycznej kuchni ukrytej za zasłoną. Usłyszałam zgrzytanie ręcznego młynka i po chwili w powietrzu rozeszła się aromatyczna woń kawy.

Wzięłam z półki pierwszą lepszą książkę - James Cook, *Dzienniki*. „O świecie posłałem łódź na poszukiwania jakowejś przystani...”

- Z czego to? - zawołał Pietashek.

Nie odpowiedziałam, weszłam do kuchni, gdzie wsypywał świeżo zmieloną kawę do dzbanka.

- Mogłabyś przystawić zapalnik do palnika?

Rozejrzałam się za zapalnikami i lekko uruchomiłam urządzenie podobne do palników do grzania asfaltu, w dawnych czasach używanych przy remontach dróg. Szeroki płomień osmałił mi nos. Po chwili Pietashek odstawił z hałasem wielki, blaszany imbryk i zabrał się do rozgrzewania patelni.

- Po bombie... - powiedział, ale nie słuchałam go. Przypominałam sobie.

Nikt na Zachodzie nie wierzył, że ktoś zrzuci na nas bombę. Korea Północna, Chiny, Pakistan, Iran - za wiele ich różniło, byli zbyt niejednorodni politycznie. My z kolei wszczynaliśmy nasze wojny wszędzie tam, gdzie uważaliśmy to za konieczne, i nazywaliśmy to utrzymaniem pokoju. Lała się krew i królował zamęt. Terrorysty, lokalne incydenty, autobus tu, bank tam, Eurostar wysadzony w powietrze - źle to wyglądało. Coś się paraliż lotniska Kennedy'ego w wyniku działań służby naziemnej poprzedzonych sześciolatnim planowaniem.

Niemniej wszystko to razem sprawiało, że tym bardziej należało walczyć o wolność.

A potem tamta bomba - wiele bomb - i w efekcie miasta Zachodu stały się równie zdesperowane i zniszczone jak miasta Wschodu, w których toczyliśmy nasze słuszne wojny, ani trochę nie licząc się z kosztami.

Najpierw była kośba pożarów, był nieznośny żar, wieże rozsypywały się w gruz, domy zapadały się jak zassane papierowe torebki, szalały ulewy stopionego metalu, wiał nuklearny wiatr i poczerwiano słońce, potem całe fronty odpadały od budynków, apartamenty z widokiem na rzekę przeobrażały się w wypalone dziury w przestrzeni, rzeki zamieniały się w cuchnące strugi, na drogach rosły hałdy betonu i popiołu, rozpalone do czerwoności nawierzchnie wciąż nie stygły, nie pozwalając po sobie przejść, spalone wraki samochodów nie stygły, nie dając się dotknąć, i to uciekanie, ci uchodźcy, helikoptery zawisłe w zdławionym powietrzu, nieustający ryk syren, węże strażackie strzykające brudną wodą na parujący metal. Brzydota ruin - to ona budziła największy szok - brzydota tego, co zbudowaliśmy,

brzydota metody, za pomocą której to zniszczyliśmy, brutalny, durny, przesiąknięty pieniędzem, pijacki szal świata dwudziestego pierwszego wieku. Wszystko wymazane. Dokonało się.

Byłam wtedy w Bibliotece Brytyjskiej, zbierałam materiały z historii sztucznej inteligencji. I to właśnie książki uratowały mi życie. Kiedy budynek zaczął się walić, upadłam na zwałowisko książek, a zaraz potem przysypały mnie jeszcze inne książki, pozbawiając przytomności i jednocześnie dając ochronę przed czymś znacznie gorszym. Doszłam w końcu do siebie, wygramoliłam się spod tej góry papieru i ruszyłam w drogę powrotną do domu, przez wypalone ulice, ogłupiona szokiem, a jednocześnie jakoś świadoma, że dookoła mnie biegają rozkrzyczani ludzie i że wszędzie widzę sceny jak z archiwalnych kronik, na których uwieczniono burzenie budynków za pomocą ładunków wybuchowych.

Hałas musiał być zabójczy, ale ja go nie słyszałam. Mózg wyłączył mi fonię. Później gdzieś wyczytałam, że tak się czasami zdarza: że mózg potrafi się odgrodzić od informacji przekazywanych mu przez zmysły, w ten sposób zapewniając sobie ochronę. Tak więc przemierzałam milczący, kolapsujący, płonący świat, aż wreszcie dotarłam do miejsca, gdzie kiedyś stał mój dom.

Częściowo jeszcze tam stał; wspięłam się na górę po obnażonych schodach, weszłam do środka przez wysadzone drzwi, a potem otoczona tumanami pyłu i pełgającym pożarem, nie myśląc o niczym świadomie, spakowałam do dwóch toreb tyle, ile mogłam udźwignąć, i odeszłam. Wiem, że byłam w szoku, wiem, że właśnie z tego powodu wszystko milczało - choć wcale nie zwolniło, wciąż mknęło do przodu jak zawsze - po prostu się wygłuszyło.

Spędziłam wiele dni pod gołym niebem, jak każdy, sypiając byle gdzie i jedząc, co mi wpadło w ręce, ale z czasem zaczęła się pojawiać zorganizowana pomoc i jako taki porządek, a w końcu przeniesiono nas do tymczasowych obozów. Rząd wygłaszał rozmaite oświadczenia, ale już nikt tych ludzi nie słuchał. Władzę przejęło WIĘCEJ, które przywróciło wszystkiemu jakiś sens, potępiło polityków i przeznaczyło lwią część swoich zasobów finansowych na odbudowanie przynajmniej ułamka normalnego życia.

„Kupuj, kiedy słyszysz, że strzelają z armat”, tak w dziewiętnastym wieku radził baron Rothschild. Wojna to okazja. WIĘCEJ skorzystało z okazji i nikt ich za to nie wini. Generalnie wszyscy inni zawiedli: zawiódł rząd, antyrząd, Kościół, grupy nacisku, media. A przecież działa się coś, czego nie dało się ani ogarnąć umysłem, ani opisać słowami, ani zatrzymać. Do kogo się wtedy zwracasz? Zwracasz się do ręki, która cię karmi, do ręki, która daje ci dach nad głową. Kogo to obchodzi, czy została wybrana demokratycznie czy też nie?

- Podczas pierwszych dwóch lat po wojnie wszyscy dzielili taki sam los - mówił do mnie Pietashek. - Każdy ratował się, jak umiał.

Przytaknęłam. Rozbijał jajka jedną dłonią, prosto na dymiącą patelnię.

- A potem niektórzy z nas zaczęli zadawać pytania, starając się dociec, co tak naprawdę się kryje za kampanią „Nigdy WIĘCEJ Wojny”.

- Przecież mieli rację - zauważyłam. - Nie wolno dopuścić, by taka wojna się powtórzyła.

- Już to wcześniej mówiliśmy - odparł Pietashek. - I to dwa razy. I co? Znowu wybuchła.

- Ale WIEĆCEJ konstruuje właśnie nową sieć porozumień handlowych, które położą kres dziesiątkom lat nierównego traktowania na całym świecie. Wojna o ropę już nam nie grozi.

- Nie grozi, bo zrezygnowaliśmy z ropy, podobnie zresztą jak zrezygnowaliśmy z węgla. Już przed wojną należało podjąć taką decyzję, wiedzieliśmy przecież, że smażymy tę planetę. Jak sama dobrze wiesz, wtedy się na to nie zdecydowaliśmy, my z bogatego Zachodu, ponieważ wiedzieliśmy, że Indie i Chiny tego nie zrobią, dopóki nie wydrenują złóż do ostatniej kropli. Tamci postawili na industrializację, do czego zresztą mieli pełne prawo, i ani trochę nie zamierzali przyłączać się do programu zbiorowego załamывania rąk nad losami planety.

- I?

- I ostatecznie wyszło na to, że cudownym rozwiązaniem dla zachodniej gospodarki jest wojna. Opracowaliśmy mnóstwo technologii, do których nie trzeba stosować paliw kopalnych, ale prawie ich nie stosowaliśmy, bo generowały wyższe koszty niż tradycyjne, potężne zastrzyki z ropy i węgla. Zanieczyszczanie środowiska było o wiele tańsze. Więc w jaki sposób Zachód mógł zmienić swoje obyczaje, skoro kraje rozwijające się zamierzały z nim konkurować za wszelką cenę? Nie zostaliśmy bohaterami, bo nie było nas na to stać. Dlatego teraz, po trzeciej wojnie, wszystkie kraje na świecie muszą koniecznie zaadaptować najlepsze praktyki. Wszystkie kraje powinny stopniowo odchodzić od paliw kopalnych, od gospodarki opartej na ropie. Zresztą my już ogoliliśmy sobie głowy, okazaliśmy skruchę w obliczu zniszczeń zadanych planecie i jej mieszkańcom, staliśmy się pokoleniem, które mierzi fraza „wzrost gospodarczy”.

- No i dobrze - powiedziałam.

- Teoretycznie tak - odparł. - W rzeczywistości Zachód znowu wysforuje się naprzód, bo jesteśmy obecnie nowiuteńką maszyną, czystą i zieloną, a za to świat rozwijający się będzie wciąż dreptał w miejscu i tak jak tego zawsze chcieliśmy, pozostanie tylko źródłem surowców i taniej siły roboczej.

- Przecież teraz to my jesteśmy tanią siłą roboczą. Nikt tu nie zarabia pieniędzy. Nikt nie chce ich zarabiać.

- Na razie jesteśmy poranieni, poobijani. Z czasem to się zmieni, ale przedtem WIECEJ zdąży podporządkować sobie absolutnie wszystko. Już teraz podejmują za nas decyzje. Tak będzie również w przyszłości, tylko w jeszcze większym zakresie.

Usiedliśmy przy jego pięknym stole, żeby zjeść.

- Należał do mojego dziadka - wyjaśnił Pietashek. - Zdążyłem się pod nim schować, kiedy zapadał się dach. Jak się tak nad tym zastanawiam, to ten dach zapadał się przez całe moje życie, ale nigdy nie miałem dość rozumu, żeby się ukryć pod stołem.

- O czym ty mówisz?

- O czym mówię? O tym, co wszyscy. O małżeństwach, dzieciach, wszystkich tych rzeczach, z których nic nie wyszło. Mam dwie byłe żony i dzieci, które nie chcą ze mną rozmawiać.

- Współczuję. Ale też jakoś nie znam nikogo, kto mógłby się pochwalić czymś tak już niemodnym jak szczęśliwe małżeństwo. Można odnieść wrażenie, że gdzieś straciliśmy smykałkę do szczęścia.

- Nadmiar uczuć szkodzi - odparł. - Dlatego domaganie się od mężczyzn, żeby mieli uczucia, było błędem. Rzecz jasna, mamy uczucia, ale żeby tak od razu się nimi chwalić?

Nabrał jedzenia do ust. Z jakiegoś powodu było mu do twarzy z tym niezadowoleniem. Z tym nawykiem komplikowania

spraw, z tym zapalem do mierzenia się z trudnościami...
Pchnął w moją stronę chleb.

- Szkoda, że wykasowało dinozaury.

- Jakże znów dinozaury?

- No te zwyczajne, te, które zniecka wyginęły. Gdyby wciąż tu żyły, to gatunek ludzki nigdy by pewnie nie wyewoluował. Naprawdę wolałbym, żeby wcale mnie tu nie było, zamiast oddawać wszystko pod kontrolę globalnej firmy, która nie ma nic wspólnego z demokracją.

- Dlatego właśnie uważam, że z Robo *sapiens* to był znakomity pomysł: nareszcie znajdzie się ktoś, kto będzie podejmował neutralne, obiektywne decyzje w imię globalnego dobra.

- Uwierzysz w to, to uwierzysz we wszystko - powiedział Pietashek. - Ja osobiście wybieram wolność i nie życzę sobie, żeby jakiś robot mówił mi, co mam robić.

- Co ty wygadujesz?! Uważasz, że byliśmy wolni, bo mogliśmy kupować na kredyt góry niepotrzebnych rzeczy produkowanych przez ludzi, którzy żyli za dolara dziennie? A może powiesz, że byliśmy wolni, bo mogliśmy spłacać hipotekę? Bo mogliśmy chodzić do pracy, żeby mieć z czego spłacać hipotekę? Bo mogliśmy głosować na partię, która nacisnęła czerwony guzik z napisem „bomba”?

- Kobiety są takie kurewsko dosłowne - zaprotestował. - Przestań się czepiać szczegółów i spójrz na to wszystko z szerszej perspektywy. Ja staram się mówić o tym, co to znaczy być człowiekiem.

- Być człowiekiem - odparłam - to inaczej wychowywać dzieci w bezpieczeństwie, kształcić je, dbać o ich zdrowie, uczyć je, jak troszczyć się o siebie i o innych, pozwalać im, żeby się rozwijały tak, jak tego chcą w otoczeniu dorosłych, którzy są zdrowi psychicznie i mają poczucie odpowiedzialności, którzy

nie mierzą wartości świata na podstawie jego potencjału ekonomicznego. Być człowiekiem to inaczej wiedzieć, czym jest sztuka, czym jest czas i wszystkie te z pozoru niewidzialne rzeczy, których nigdy nie wliczano do PKB ani spisów ludności. Być człowiekiem to inaczej mieć świadomość, że życie ma nie tylko powierzchnię, ale i głębię. I oczywiście dodam jeszcze, że być człowiekiem to także wiedzieć, że jest miłość.

- Miłość - powtórzył Pietashek. - To tylko metoda, którą posługuje się Natura, by zmusić kogoś do spłacania cudzych rachunków.

- Naprawdę w to wierzysz?

- Moje żony w to wierzyły, i to bardzo szczerze.

Wstał, przejechał dłonią po blacie stołu. Jego dłoń: rozplaszczona, rozczapierzona, ułożona wnętrzem w dół, silna. Paznokcie przycięte, czyste. Spojrzał na mnie. Omal go wtedy nie dotknęłam. Jest tyle rzeczy, których ostatecznie nie robimy, choć jesteśmy tego bliscy; jedne są zupełnie nieważne, inne zmieniłyby wszystko.

Spojrzał na mnie, a potem odwrócił się, zabierając do zmywania naczyń.

I nagle na ekranie telewizora z wyłączoną fonią zobaczyłam Spike. Przymurowało mnie do miejsca, jakbym stanęła na magnesie. Pietashek podkreślił dźwięk.

„Ze świeżo wydanego oświadczenia WIECEJ-Bezpieczeństwa dowiadujemy się, że Robo *sapiens*, robot, o którego istnieniu

opinia publiczna dowiedziała się zaledwie wczoraj wieczorem dzięki Channel One, padł ofiarą kradzieży. Ta gadająca głowa naturalnych rozmiarów, którą pracownicy WIĘCEJ-Przyszłości nazywają po prostu Spike, została dziś rano uprowadzona z laboratorium przez pracownicę zajmującą w nim stanowisko programistki, mimo że nikt nie udzielił jej na to zgody. Tymczasem głowa miała dziś wieczorem wystąpić po raz pierwszy publicznie. Rzeczniczka WIĘCEJ wyraziła swoje obawy, iż być może mamy tu do czynienia ze spiskiem terrorystycznym...”

Pietashek śmiał się.

- I masz - powiedział. - Spisek terrorystyczny. A nie mówiłem? Tylnymi drzwiami wraca stare, już są jacyś „my” i jacyś „oni”. Podejrzewam, że zostałaś zaliczona do „onych”. I co masz zamiar z tym zrobić, Billie?

Tak się przestraszyłam, że nic nie powiedziałam. Wzięłam swoją torbę i wyszłam z baraku.

Musiałam się uspokoić. Musiałam się zastanowić. Jeszcze raz spróbowałam zadzwonić. Głucho.

Chip w nadgarstku! Namierzają mój chip. Nie mogłam go zdjąć, bo wtedy natychmiast wysłałby sygnał, że właśnie go zdjęłam.

Zaczęłam iść, po prostu przed siebie, ale nie potrafiłam pozbierać myśli. Jak ja się wytłumaczę? Kto mi uwierzy? Szłam i szłam, przez wielkie, porośnięte trawą pole w stronę wielkiego, masywnego cielska Martwego Lasu. Radioaktywnego lasu. Czy to wystarczy, żeby coś sknocić w sygnale z chipa?

Stałam na samym środku tego końca świata wyścielonego

miazgą, czując, że znów zalewają mnie strumienie potu. Dookoła nie widziałam nic, co mogłoby spłodzić normalne łono natury, te złowrogie fluidy przywodziły wręcz na myśl raczej dziewiętnastowieczny dom wariatów niż coś stworzonego przez życie.

Dałam krok naprzód. Jakbym szła po trupie, tyle że ten trup nie był martwy.

Weszłam głębiej, znów spostrzegłam lunę bijącą od pni drzew, a potem jeszcze zauważyłam, że one się pocą, tak samo jak ja. Wyciągnęłam rękę. Kora była tłusta i zimna. Jak od zimnego potu.

Te drzewa były kompletnie łyse. Maj, a tu żadnych liści. Przypomnił mi się pewien tekst wysławiający niesamowite piękno krajobrazu sprzed rewolucji przemysłowej, przy czym szczególnie piękne były ponoć ówczesne lasy, bo, jak dobitnie podkreślał autor, dąb potrzebuje trzystu lat, żeby wyrosnąć, trzystu lat, żeby sobie pożyć, i trzystu lat, żeby umrzeć. No chyba że znajdzie się ktoś z piłą łańcuchową. Albo z bombą.

Moje rodzinne Wyspy Brytyjskie były kiedyś krajem porośniętym lasami tak gęstymi, że kiedy Rzymianie płynęli łodziami po Tamizie, nie potrafili znaleźć na jej brzegu żadnego miejsca, które posłużyłoby im za przystań.

Ja sama też jestem teraz w takiej sytuacji: szukam swojej przystani i nie mogę jej znaleźć, ale nie z winy lasu, tylko z winy braku lasu. Badam wzrokiem linię brzegu, szukam, wybieram i wtedy pojawia się tam parking, jeszcze jedna droga, nowe osiedle koszmarne drogich domów, stadion olimpijski.

Nie, tak to było przed wojną. A teraz, po trzeciej wojnie,

możemy się nazwać szczęściarzami, że w ogóle coś nam jeszcze zostało. Sama siebie powinnam nazwać szczęściarą, że zostało we mnie dość życia, bym mogła się czuć nieszczęśliwa.

Może zresztą powinnam dodać, że ta przystań, której tak naprawdę szukam, wcale nie jest miejscem w sensie przestrzennym: ta przystań to osoba, to ty. Jedyne miejsce, na którym niczego nie zbudują, którego nie kupią, na które nie zrzucą bomby, ponieważ ono nie istnieje nigdzie tam, gdzie mogliby go szukać.

Ale z kolei ono chyba też nie bardzo istnieje gdziekolwiek tam, gdzie ja umiałabym je znaleźć.

W lesie, przez który teraz szłam, nie rosły dęby: to był las bukowy, przynajmniej kiedyś. Wiem, bo znalazłam na ziemi gałązkę ze szerniałymi liśćmi. Buki zaczęły ginąć jeszcze przed wojną, ponieważ potrzebują chłodnego klimatu i właśnie z tego powodu stały się jednymi z pierwszych ofiar zmian klimatycznych w Anglii. Kocham buki, choćby za to, że nie zrzucają liści aż do późnej wiosny, kiedy otwierają się już nowe pączki o jasnozielonych, ząbkowanych krawędziach i miękkich środkach. Ta zieleń pączków w połączeniu z terakotową barwą starych liści i ciemniejszą korą sprawiają razem, że w maju buk upodabnia się do dziwacznego, łaciatego zwierzaka.

Po bukach łatwo się wspinać, łatwo zwiedzać zielony, sekretny świat schowany w ich koronach. U podstawy pni leżą chrzęszczące pod stopami, twarde skorupy buczynowych orzeszków, a niżej czai się jeszcze jeden świat, bardziej pierwotny, nierozpracowany, poprzecinany mikrotunelami wyborowanymi przez myszy i lasice.

Te światy nie potrzebują od nas niczego, chcą tylko, byśmy się do nich nie wtrącali - ale my ich nigdy nie słuchamy.

W tym lesie pod stopami nic nie chrzęściło. Przy każdym kroku grzęzły obrzydliwie w gruncie, niby nie głęboko, ale jednak, przez co odnosiło się wrażenie, że to skraj ruchomych piasków. Szłam, nie ufając własnym nogom, choć przecież nigdzie nie widziałam żadnego jawnego niebezpieczeństwa. Bolało mnie, że nie napotkałam bodaj jednego ptaka, bolało mnie, że nie jestem Zygrydem, bolało mnie, że w opowieściach o zakopanym skarbie jest tak niewiele prawdy. W tym lesie nie wykopałabym niczego, co by przedstawiało jakąś wartość. Nawet sama gleba była zatruta.

Nie powinnam tu być.

Ale skoro nie tu, to gdzie, na tym naszym odmienionym świecie?

A jednak jestem tu, w samym sercu rozjarzonego lasu.

I przede mną, w oddali coś się rusza.

Przyspieszyłam kroku, chcąc to coś dogonić, lawirując między kreskami czarnych pni, i po jakichś dziesięciu minutach doszłam do pasów pustej przestrzeni, gdzie drzewa albo zostały wycięte, albo same się wycięły, gdzie spod ziemi wybijały z wysiłkiem małe, skarłałe liście na anemicznych, żółtych łądyżkach. Tymi liśćmi i łądyżkami karmiło się pięć czy sześć podobnych do królików zwierząt - bezwłosych, zdeformowanych, jeden miał czerwone pręgi na grzbiecie. Na mój widok rzuciły się do ucieczki. Znowu ruch. Odwróciłam się, uszłam kawałek w tamtym kierunku i wtedy zobaczyłam... to coś... nie, nie coś, tylko ich dwoje.

Chłopak i dziewczyna. Być może. Trzymali się za ręce, skąpo ubrani, a właściwie nie ubrani, tylko owinięci szmatami. Chłopak miał całe ciało we wrzodach, dziewczyna była łysa.

- Przyjaciel - powiedziałam, wyciągając rękę w ich stronę. Nawet nie drgnęli. Pogrzebałam w swojej torbie. Znalazłam

butelkę wody i pełnoziarnisty baton. Pomarańczę i banana. Mój lunch. Rzuciłam to wszystko w ich stronę. Chłopak uśmiechnął się szeroko. Nie miał zębów. Dziewczyna pozbiierała dary, a wtedy zauważyłam, że z ręki cieknie jej krew. Wyjęłam chusteczkę, wykonałam kilka gestów naśladujących opatrywanie rany. Zrobiłam krok do przodu. Oni zrobili krok w tył.

Powoli rozebrałam się ze swetra i bluzki, zostawiając sobie tylko jedwabną koszulkę na ramiączkach. Ułożyłam zdjęte rzeczy oraz chusteczkę na ziemi, po czym odeszłam w tył. Do tej pory niemalże udało mi się zapomnieć o identyfikatorze na nadgarstku. Odczepiłam go, rzuciłam na ziemię. Chłopak podszedł bliżej, wziął ubranie i jedzenie. Podniósł w górę bluzkę, powąchał ją, włożył na siebie, a sweter podał dziewczynie.

- Chodźcie ze mną - powiedziałam, znów gestykulując, ale wiedziałam, że tego nie zrobią.

Zaczęłam się cofać, przodem do nich, po trosze po to, żeby ich nie nastraszyć, po trosze po to, żeby nie nastraszyć samej siebie. Kim byli? Ilu jeszcze?

Wychodząc z Martwego Lasu na otwarte pole, usłyszałam warkot helikoptera; latał gdzieś nade mną, ale go nie widziałam. Może szukali mnie z góry. Nie wiedziałam, co robić, ale naszło mnie, że taka niewiedza to normalny stan, że często tylko dzięki automatycznym odruchom potrafimy wypełnić pustkę w głowie.

Na skraju pola znowu pojawił się Pietashek. Nie wpadłam w zachwyty.

- Tam się nie chodzi, bo od tego się potem choruje - powiedział.

- Tam są chorzy! - wy buchnęłam. - Widziałam dwoje dzieci. Musimy im pomóc.

Pokręcił głową.

- Nie możemy. Napotkałaś toksycznych, radioaktywnych mutantów, których dni są policzone. To jedna z najgłębiej skrywanych tajemnic Technopolis, jedna z wielu zresztą. Martwy Las to miejsce, do którego zsyłają wszystkich nieuleczalnie chorych i wariatów; karmią ich z helikopterów. Mnóstwo kobiet urodziło dzieci tuż po wojnie. Nikt wtedy nie wiedział, jakie będą te dzieci, ale teraz już mamy pełną wiedzę. To są dzieci z rodzin nuklearnych.

- Ale przecież mamy szpitale - wskazałam. - Poznałam je od środka.

- Znasz rzeczywistość tylko naskórkowo, w jej schludnej, lśniącej wersji. Nie wiesz, że cała reszta to Martwy Las. - Ruszył z miejsca. - Znaleźliśmy twojego robota.

- Gdzie?

- Dziewczyny wzięły ją z sobą do domu. Zaprowadzę cię. Wiem, że za mną nie przepadasz, ale możesz mi zaufać.

- Zazwyczaj nie ufam ludziom, za którymi nie przepadam.

- A więc miałem rację, naprawdę mnie nie lubisz...

Zaczerwieniłam się.

- Nie podobają mi się twoje teorie, ale oczywiście dopuszczam ewentualność, że jesteś cudowny dla dzieci i psów. Tak czy owak nie wiem, ani kim jesteś, ani w ogóle nic o tobie. Nie mam podstaw, żeby cię osądzać.

- Człowieka osądzamy podczas pierwszych dwóch minut. Mnie osądzić nie mogłaś, bo mam wprawę w udawaniu kogoś, kim nie jestem. W barze robię za zwykłego wykidajkę i naprawdę potrafię przywalić: jestem taki, bo uwierz mi, mnóstwo ludzi z Technopolis przychodzi nie tylko na drinka. Oni już dobrze

wiedzą, kim są niektórzy mieszkańcy Anarchopolis.

- Co robiłeś przed wojną?
- Byłem ekonomistą zatrudnionym w Banku Światowym.
- O Boże...
- Tak, wiedziałem, że to cię nie zachwyci, ale nie mam zamiaru się tłumaczyć. Wróciłbym tam, gdyby to było możliwe. Mogłaś mieć pretensje do Banku Światowego...
- Owszem, miałam.
- ...ale był znacznie bardziej demokratyczny niż WIĘCEJ.
- Powiadasz?
- Zresztą nieważne, poprzestańmy na tym, że obecnie próbuję naprostować świat. A ty tymczasem przejdź przez te drzwi, to znajdziesz swojego robota. Oddajemy ci wielką przysługę, bo zezwalamy na powrót do domu.
- To jakieś państwo policyjne?
- Powiedzmy tylko tyle, że aktualnie musimy myśleć o własnym bezpieczeństwie.

Poszedł sobie, a ja zapukałam do drzwi. Otworzyła je jedna z dziewczyn. Była naga. I przepiękna.

A potem zobaczyłam ukryte za drzwiami wnętrze, w całości wyłożone białą skórą. Ściany, sufit, kanapy, podłoga. W narożniku mieścił się bar, oczywiście obity białą skórą, przed nim stały dwa spore stołki barowe, też wyściełane białą skórą. W drugim kącie stał skórzany niedźwiedź polarny, a z sufitu zwiślał skórzany pająk zaplątany w skórzaną pajęczynę. W skórzanych misach piętrzyły się nieskórzane orzeszki ziemne, a na

skórzanym blacie leżała puszka sardynek i widelec ze skórzanym trzonkiem.

Moja mina prawdopodobnie zdradzała przeżyty szok, bo dziewczyna się uśmiechnęła.

- Świat Skóry - rzuciła.

- Ach tak? - odparłam głupawo, nie bardzo wiedząc, jak zareagować.

- To była taka firma, jeśli nie pamiętasz - wyjaśniła. - Masz przed sobą wnętrze ich salonu wystawowego. Przywlekliśmy tu wszystko i wyszorowałyśmy do czysta.

Coś mi tu nie dawało spokoju. Po tym, jak zrzucili na nas bombę, można było brać do woli ze zrujnowanych sklepów, ale mało kto to robił, bo dokąd by potem zanosił te rzeczy? Mienie nie ma znaczenia, jeśli nie ma się gdzie go schować. Gdyby istniał sklep, w którym sprzedają dachy, ściany i rury ściekowe - to może jeszcze.

- Byłyśmy jednymi z pierwszych tu, w Anarchopolis - powiedziała. - Należymy do Alternatywy.

- Jakiej Alternatywy?

- Przed wojną mieszkaliśmy na squacie, czym rozczarowałyśmy naszych rodziców, którzy mieli wobec nas zupełnie inne oczekiwania. A po wojnie zładowałyśmy tutaj. Chciałabyś się napić? O ile lubisz szampana, bo nic innego nie mamy.

- Też go tu przywlokłyście?

- Tak, znalazłyśmy otwartą piwnicę pod siedzibą Bank of England. Tam były nieprzeliczone stojaki z samym szampanem. Popatrz...

Podprowadziła mnie do skórzanych drzwi osadzonych w skórzanej ścianie, które ukrywały pakamerę, od podłogi po sufit wypełnioną butelkami - nieustawionymi na stosach ani na półkach, tylko wrzuconymi jak popadnie.

- Szkło poddajemy recyklingowi - powiedziała. - Tu jest naprawdę świetny zakład utylizacji odpadów. Nic się nie marnuje.

- Miło to słyszeć - mruknęłam.

Wyciągnęła ze stosu jedną butelkę - veuve clicquot 1995.

- Pasuje ci taki? My go wolimy od bollingera.

- Tak, na pewno będzie doskonały. Ogromnie ci dziękuję. - Zawsze, kiedy jestem zdenerwowana albo speszona, pokrywam to nadmiarem dobrych manier. I mam zerowe doświadczenia w nieprzewidzianym picciu z nieprzewidzianymi napotkanymi osobami, które na dodatek są nagie.

Przedstawiłam jej się.

- Przyznaj się, Billie, masz kogoś? - wypaliła.

Na mój gust było to dziwne pytanie jak na kogoś, kogo dopiero co poznałam - ale z kolei wszystko tutaj było dziwne, więc zamiast odparować: „A co cię to obchodzi? Gdzie mój robot?”, odparłam, że obecnie nie mam nikogo, ale kiedyś już byłam z kimś związana, i to nie raz, ale ostatecznie nic z tego nie wyszło.

- Żałujesz, że nie wyszło?

Odparłam, że owszem żałuję, niemniej od wybuchu wojny bliskie związki to ostatnia rzecz, która mnie interesuje. Miałam też ochotę dodać, że jedną z bardzo wielu rzeczy, których nie cierpię w związku z wojną, jest to trywializowanie tego, co osobiste, prywatne, intymne. Ważne stają się wielkie tematy, rozmach, środki nadzwyczajne, tożsamość narodowa: słowem, to wszystko, co tak bardzo uwielbiają przedstawiciele owego osobliwego gatunku ludzi, którzy mają to osobliwe parcie do przejmowania władzy nad innymi ludźmi. Wojna zadaje kłam prywatności, tłamsi ją w starciach zbrojnych, zagłusza syrenami alarmowymi, aktami poświęcenia. I pozwala jej powrócić

tylko pod otoczką śmierci. Śmierć to coś, w czym wojna jest naprawdę dobra.

Ktoś musi najpierw odczytać treść telegramu, potem mężowie stanu i generałowie muszą wybąkać kilka banałów o niepowetowanej stracie i powrócić do spraw znacznie większej wagi niż czyjeś tam ciało i kilka złamanych serc - wtedy właśnie rodzi się milcząca, pusta przestrzeń i to w tej przestrzeni przynajmniej dla jednej osoby staje się oczywiste, że prywatność jest wszystkim.

- My tu tworzymy alternatywne społeczeństwo - wytłumaczyła Alaska, bo takim imieniem przedstawiła się moja gospodyni. Uznałam, że wybrała je sobie po to, by się dopasować do całej tej kolorystyki.

- Zbudowane na szampanie i białej skórce?

- Ależ skąd, te zapasy kiedyś się skończą - odparła. - Nic więcej nie udało nam się znaleźć, jeśli nie liczyć sardynek.

- Sardynek?

- Dwa kontenery sardynek w oliwie z oliwek. Mówiąc dokładnie, milion puszek.

Pomyślało mi się o Ojcach Pielgrzymach, jak stawiali żagle na *Mayflower* w 1620 roku. Im też przyświecał zamiar ufundowania alternatywnego społeczeństwa, ale czy ktoś mógłby z pełnym przekonaniem stwierdzić, że Biblia, toporki, powrozy, mąka i solona wieprzowina stanowią lepszą bazę dla nowego sposobu życia niż biała skóra, szampan i sardynki? Późniejszy obrót spraw, a zwłaszcza fakt, że to głównie działania podejmowane przez Amerykę przyspieszyły wybuch trzeciej wojny światowej, dowiódł, że może jednak niejednego rozwiązania trzeba szukać w historii Ojców Pielgrzymów.

Alasce nie zamykały się usta. Usłyszałam, że w Anarchopolis funkcjonuje dwadzieścia alternatywnych społeczności, poczynając od Wolnej Miłości Lat Sześćdziesiątych i Cadillaców, a kończąc na Wegankach, ugrupowaniu wyłącznie dla kobiet, które pragnęły stworzyć całkiem nowy obraz naszej planety poprzez uwolnienie jej od aktów okrucieństwa.

- Dziś wieczorem będą grały na imprezie - powiedziała. Jako „Chic X”.

- „Chic X”? To jakiś zespół?

- Mówią o sobie, że są lesbijskimi wegankami przyjaznymi dla dinozaurów. Niektóre już były w Meksyku, żeby przeprosić w swoim imieniu.

- W Meksyku? Przeprosić? Nic nie rozumiem...

- Pojechały do Chicxulub, zwanego też Siarkowym Miastem, w którego pobliżu znajduje się krater uderzeniowy. To właśnie tam sześćdziesiąt pięć milionów lat temu spadł meteor. Znasz chyba mechanizm, prawda? Siarka w górę, na dół śnieg i buch: epoka lodowcowa, dinozaury giną, a na ich miejsce przychodzą ludzie albo jeśli wolisz - stadko małą.

- Ot tak?

Przytaknęła.

- Życie jest znacznie bardziej proste, niż jesteśmy skłonni to przyznać.

Z sypialni dobiegały nas dziwne, mało czytelne okrzyki. Ignorowałam je.

- Interesująca teoria.

- To nie teoria: krater i asteroida to przecież są fakty. Dziewczyny z „Chic X” wierzą, że to absolutny dowód na życie przed ludźmi. Ktoś wycelował palcem w tę asteroidę.

- Trochę już chyba za późno, żeby to jakoś odkręcić - zauważyłam.

- Albo trochę za wcześnie, w zależności od tego, w którym momencie się pojawiłaś na tym drugim świecie.

Zerknęłam w stronę sypialni. Okrzyki stawały się coraz bardziej drapieżne i głośnie.

- Co Weganki myślą o Świecie Skóry? - spytałam.

- Dziękują nam, że uwolniłyśmy je od niego. Nie oceniają nas, nie mają tego w zwyczaju. Nie uważasz, że to klucz do szczęścia? - Dla ilustracji wyjęła duży, srebrny klucz spod jednej z poduszek leżących na kanapie. - Kluczem do szczęścia - dodała - jest tolerowanie tych, którzy postępują inaczej niż ty.

- A co robisz, jeśli ci, którzy postępują inaczej niż ty, strzelają do ciebie? - spytałam, naśladując sposób rozumowania Pietashka.

Alaska zmarszczyła brew.

- Broń nie ma nic wspólnego z tolerancją. Broń to porażka komunikacji.

- Zgadza się - odparłam. - Martwi nie rozmawiają.

Wyobraziłam sobie, co by Pietashek powiedział na te wywody - pewnie, że są utopijne, dziwaczne, nierealistyczne. Tylko co komu szkodziła taka Alaska? Komu mogłaby zaszkodzić? Przecież na skraj totalnej katastrofy doprowadzili nas nie tacy jak ona, tylko trzeźwi, stąpający twardo po ziemi pragmatycy.

Szczerze powiedziawszy, wołałam już oglądać Wolną Miłość i Cadillaki, Międzyplanetarne Weganki, nagie amatorki szampana albo...

- Jest jeszcze sześć zakonnic - powiedziała Alaska. - Wszyscy je tu ubóstwiamy.

...albo sześć zakonnic stojących na czele planety, albo Spike.

- Macie mojego robota? - spytałam.

- Tak, właśnie postanowiła zdezerterować.

- Jak to zdezerterować? Ona nie może zdezerterować, to przecież tylko gadająca głowa zbudowana z silikonowych chipów, która na dodatek ma luki w oprogramowaniu. Nie jest istotą moralną; nawet nie potrafi myśleć samodzielnie. Gdzie ona jest?

- W sypialni - odparła Alaska - z Nebraska. Nebraska należy do „Chic X”.

W przypadku braku rąk robot może posługiwać się ustami, to powszechnie znany fakt. Zobaczyłam Spike, zacumowaną między długimi pomostami nóg Nebraska i chlapiącą o nabrzeże. Wyglądała na uszczęśliwioną, jakoś tak silikonowo.

- Spike, co ty wyprawiasz? - zadałam najgłupsze pytanie świata.

Nie odwróciła głowy, ale to nie była jej wina: nie mogła.

- Wykonuję cunnilingus na Nebrasce - powiedziała.

- Dlaczego?

- Bo w ten sposób zdobywam nowe doświadczenie.

- Jestem urzeczona.

- Moje oprogramowanie nakazuje mi gromadzić nowe doświadczenia. Dlatego kiedy Nebraska zasugerowała, że mogłabym spróbować z nią tego, byłam w stanie się zgodzić bez uprzedniej konsultacji z komputerem centralnym.

- Jak myślisz, w jaki sposób to doświadczenie pogłębi twoją znajomość ludzkiej rasy, a także jej zrozumienie?

(Spike musi wypełniać rozmaite formularze, jak wszyscy, i to pytanie jest zamieszczone na jej arkuszu danych.)

- Nie mam ciała, dlatego trudno mi sobie wyobrazić, do czego dałoby się je wykorzystać poza celami czysto funkcjonalnymi. To, co teraz robię, nie ma funkcji reprodukcyjnych.

- Ludzie są irracjonalni - odparłam. - Robimy różne rzeczy

z wszelkich antypowodów i później próbujemy jakoś się usprawiedliwić. Mam nadzieję, że będziesz potrafiła to wytłumaczyć komputerowi centralnemu.

- Zerwałam łącze - oznajmiła Spike. - Postanowiłam zostać banitką.

Podeszłam do łóżka i usprawiedliwiam się przed Nebraska, której jeszcze nie zostałam formalnie przedstawiona, schwyciłam Spike za głowę - no bo za co mogłam ją złapać? - i oderwałam ją jak złego psa. Zaniósłam ją do drugiego pokoju. Śmierdziała seksem.

- Masz pojęcie, co właśnie zrobiłaś? - spytałam, wyjmując z torby chusteczki pielęgnacyjne dla niemowląt. - To było kreatywnie, zboczone i beznadziejne.

- Nie wiem, czy mi się tylko wydaje albo czy naprawdę jedna osoba osądza tu właśnie drugą? - spytała Alaska.

- Spike nie jest osobą! Jest robotem! A właściwie to jeszcze nie jest robotem, dopiero się szkoli.

- Nie można kogoś szkolić na robota - zauważyła z pogardą Alaska.

- Najwyraźniej nigdy nie byłaś w wojsku - rzuciłam nonszalancko, starając się tym durnym dowcipem odciągnąć uwagę od donośnych błagań Nebraski, które dobiegały nas z sypialni:

- SPIKE, SPIKE...

- OK, skoro więc jest robotem-uczniem, to chyba zasługuje na odrobinę rozrywki. Nebraska twierdzi, że Spike ma sensacyjny język.

- Nic w tym dziwnego, płynie przez niego prąd.

- Potrafię go wprawiać w wibracje - powiedziała Spike, po czym wystawiła język i wprawiła go w wibracje.

- I dobrze - powiedziałam. - Bardzo dobrze. A teraz schowaj ten jęzor i posłuchaj mnie. Zabrałam cię na nielegalny spacer,

podczas którego doszło do międzynarodowego incydentu z udziałem kilku Japończyków i wózków golfowych. WIĘCEJ ogłosiło stan wyjątkowy i była o tobie mowa w głównych wiadomościach, twierdzą, że cię uprowadziłam. Muszę cię jak naj-
szybciej odstawić na miejsce, w tym cała moja nadzieja.

- Cała twoja nadzieja na co? - spytała Spike.

Tym mnie powaliła. Plany działania napędzane adrenaliną powstają zawsze w jakimś jednym celu: trzeba uratować dziecko, zakraść się na statek, ukraść samochód, zastrzelić tego człowieka, który stoi przed tobą... Skomplikowane plany, którym przyświeca chęć realizacji więcej niż jednego celu, wymagają już bardziej starannego główkowania. Moim celem było znalezienie Spike i odniesienie jej do laboratorium, ale...

- No właśnie - powiedziała Spike. - I co się wtedy z tobą stanie?

- Twoje oprogramowanie na razie nie przewiduje myślenia z wyprzedzeniem.

- Moje oprogramowanie nakazuje mi ewoluować; właśnie zdobyłam nowe doświadczenie, które niezwykle wzbogaciło moje obwody.

Cudownie. Robot, którego zaprojektowano tak, żeby stał się mędrcom całego świata, uprawiał seks oralny z dziewczuchą o imieniu Nebraska i został wyjętym spod prawa, silikonowym guru od wolnej miłości. No i pięknie...

Rozległo się pukanie do drzwi.

- Kto tam? - wrzasnęła Alaska.

- Siostra Mary McMurphy.

Alaska włożyła szatę z białej, cieniutkiej skórki, takiej, z jakiej

normalnie się szyje rękawiczki, i otworzyła drzwi. Ukłoniła się lekko i wpuściła do środka zakonnicę.

Drobna, uśmiechnięta Irlandka wyjaśniła, że jej i jej pięciu siostrom w Chrystusie skończyło się jedzenie i mimo że zabiły w dzwon, tak jak to się tradycyjnie robiło w ich klasztorze w Cork, nikt im niczego nie przyniósł. Miała nadzieję, że Alaska jako praktykująca katoliczka im pomoże.

- Mamy sardynki - powiedziała Alaska.
- Jakież to biblijne - ucieszyła się siostra Mary McMurphy.
- Cud z pięcioma bochenkami i dwoma rybami.
- Ale my nie mamy chleba, nie jemy węglowodanów.
- To może macie coś jeszcze innego?
- A co siostra na szampana?

Siostra Mary McMurphy zastanawiała się przez chwilę.

- Można się tu powołać na pierwszy cud naszego Pana - wymyśliła w końcu. - Uczta w Kanie. Woda zamieniona w wino. Przyjmę odrobinę, a jakże.

Alaska poszła po torbę z surowców wtórnych, a ja zostałam sama ze Spike i zakonnicą. Spike się uśmiechała.

- A to ci niezwykle widok - powiedziała zakonnica. - To musi być ten zaginiony robot, o którym cały czas mówią w wiadomościach.
- To ona - potwierdziłam. - Właśnie zabieram ją do domu.
- Będę się za ciebie modliła - odparła siostra. - Życie w więzieniu nie należy do lekkich.
- Nie wybieram się do więzienia!
- Ach tak? Ale przecież w ostatnim wydaniu, tuż zanim wyszłam od Świętych Sióstr Świetlanej Łaski, tak, w ostatnim wydaniu, mówili, że osoba, która ukradła robota, zerwała połączenie

z komputerem centralnym, co stanowi niepodważalny dowód na to, że kradzież była aktem terroryzmu.

- To nie był akt terroryzmu! Zabrałam ją na spacer i nasz powrót nieoczekiwanie się opóźnił. A potem, z powodów, których wolałabym nie zdradzać takiej religijnej osobie jak siostra, Spike, bo ona tak ma na imię, sama zerwała łącze. Twierdzi, że zdezerterowała.

- Bo zdezerterowałam - wtrąciła się Spike.

- Przestań bredzić. Siostra nie ma przypadkiem telefonu, prawda?

W tym momencie wróciła Alaska z dużą torbą wypełnioną sardynkami.

- Przykro mi, Billie, za wagonowym barem nie używamy telefonów. Anarchopolis rządzi się własnymi prawami, jak Watykan.

- Dlatego właśnie czujemy się tutaj jak w domu - dopowiedziała siostra Mary McMurphy.

- Kiedy ja muszę zadzwonić do swojego szefa! Spike, reaktywuj łącze. Ale już!

- Nie mogę - odparła Spike. - Znam tylko kod zamykania. Nie znam kodu reaktywacji. Gdybym go znała, to można by mnie bezprawnie wykorzystywać w razie jakiegoś wrogiego incydentu.

- Spike, to mnie się tu właśnie bezprawnie wykorzystuje. No już, wynośmy się stąd, żebyśmy się mogła wytłumaczyć.

- Tylko czy jakakolwiek duszyczka ci uwierzy? - spytała siostra Mary McMurphy. - Twoja opowieść wydaje się mocno wyдуманą.

- Nie wpieram nikomu, że powstałam z martwych - odparowałam.

Zakonnicy to się nie spodobało. Wzięła sardynki i szampana, pobłogosławiła Alaskę, spiorunowała mnie wzrokiem

i poszła sobie. Przygnębiona usiadłam na kanapie z białej skóry. Alaska podała mi drinka. Była pełna współczucia.

- Możesz tu zostać przez jakiś czas, jeśli chcesz. Mamy zapasowe łóżko.

- Dzięki - odparłam - ale wolałabym wrócić do domu.

- A co takiego jest w domu, że chcesz do niego wracać? - spytała w odpowiedzi Alaska.

Przed wojną, zanim to wszystko się wydarzyło, kiedy życie miało jeszcze proste ramy, a ten obrazek w środku był jak puzzle bez brakujących kawałków i przedstawiał sprawy tak, jak się miały naprawdę, moje życie zaczęło się powoli składać w całość, kawałek po kawałku, po raz pierwszy, tak, i myślę, że po raz pierwszy, tak, pozwołam sobie uwierzyć w to, co wcześniej zrobiłam.

Z zaufaniem do życia już nie poszło tak gładko. Nie żebym była z natury podejrzliwa albo cyniczna, ale takie odpowiadanie „tak” na „tak” jest jak zew tworenia, a nie odpowiedź, której miałabym prawo udzielić. Musiał kiedyś zaistnieć moment, kiedy sam wszechświat powiedział „tak”, kiedy życie stało się imperatywem, i albo można się w tym dopatrzeć czegoś ślepego i deterministycznego, albo można to odczytać jako radosny entuzjazm chwili, która na zawsze pozostawia swoje echo na każdej żywej istocie.

Każdy naukowiec potrafi powiedzieć, co się wydarzyło podczas tych kilku sekund po Wielkim Wybuchu, ale żaden nie ma pojęcia, co się działo podczas tych kilku sekund, które go poprzedziły. Kosmiczne „tak”. *Tak, powiedziałam, i tak.*

Moja matka powiedziała mojemu ojcu „tak” i czy się to komuś podoba czy nie, to było „tak” na życie, i czy to się komuś podoba czy nie, to życie było mną.

I na koniec, kiedy zupełnie się nie spodziewałam, że je usłyszę, kiedy przechwyciłam je niczym częstotliwość radiową z jakiejś zaginionej gwiazdy, ktoś mówił do mnie „tak”, niby proste słowo, a jednak nie potrafiłam go zdeszyfrować. Wiadomość wysłana, odpowiedź zwrotna. Słowo, które zawierało w sobie słownik nowego języka. Słowo, które miało mnie na powrót nauczyć mówienia. Pierwsze słowo, słowo z kategorii: „Na początku było...” *Tak*.

I wtedy przyszła wojna...

- Przeważnie tak się czuję, jakbym pływała tratwą po wzburzonym morzu. Moje dni wywracają się do góry dnem zazwyczaj późnym rankiem, czasami dopiero po południu. Rzadko kiedy udaje mi się nie zmoczyć - powiedziałam Alasce.

- Na tym właśnie polega ludzka kondycja - wtrąciła się Spike.

- A skąd ty o tym wiesz? - spytałam.

- Czytałam Sartre'a i Camusa - odparła. - Samobójstwo to logiczny wybór. Świat jest miejscem nieznośnym.

- Stwórz najpierw lepszy świat, a dopiero potem zabieraj się do krytykowania tego, który tu mamy.

- Stworzenie lepszego świata to mój cel.

- Podobno zdezerterowałaś?

- Pragnę pracować na rzecz jakiejś alternatywnej społeczności, ale mój cel pozostaje niezmienny.

- Usuną z ciebie wszystkie programy, a potem jeszcze zdemontują cię. Ja stracę pracę i swoje żetony.

- Obie powinnyście tu zostać - powiedziała Alaska. - Ty możesz spać na zapasowym łóżku, a Spike na zapasowej poduszce.

- Dzięki, ale nie mogę w kółko zaczynać od nowa. Z tobą

jest inaczej: twoje życie nie zaczęło się przed wojną. Po trzeciej wojnie żyje się ciężko, a jednak naprawdę emocjonująco. Człowiek widzi dla siebie szansę. Niczego nie odbudowuje, tylko buduje. A jednak my wszyscy, którzy się zaliczamy do starszego pokolenia, jesteśmy zmuszeni wpasować wojnę w życiorys z przedwojenną przeszłością.

- Mózg nie traktuje przeszłości i przyszłości rozdzielnie - zauważyła Spike. - Wyodrębnia tylko teraźniejszość.

- Wiem o tym, ale wrażenie jest inne - powiedziałam. - Jest coś, co już przeżyłam, i jest to, co się jeszcze nie wydarzyło. Dla mnie to są różne rzeczy.

- Wszystko to samsara - powiedziała Spike.

- W życiu nie słyszałam, żeby robot wyznawał buddyzm.

- A mnie to się podoba, że Spike rozumie duchowo - powiedziała Alaska. - Dlaczego robot nie miałby być uduchowiony?

Schowałam głowę w dłoniach.

- Spike musi być obiektywna, to główny cel, w jakim powstała. Kiedy zadaję jej jakieś pytanie, to oczekuję trafnej odpowiedzi, nie jej opinii. Nie chcę słyszeć, że rzeczywistość jest iluzją.

- Ale przecież... - zaczęła Spike.

- Przestaniez z tym czytaniem w myślach? Kto cię zaprogramował, żebyś to robiła? Bo na pewno nie ja.

- Bardzo łatwo jest czytać w myślach - odparła Spike. - Potrafię wychwytywać zmiany w temperaturze twojego ciała i to mi pozwala wydedukować, o czym myślisz. Kiedy jestem podłączona do komputera centralnego, przekazuję zgromadzone dane do systemu i potem na ich podstawie buduję modele doświadczeń, dzięki którym rozwijam się niezależnie od swojego oprogramowania.

- Wszystko bardzo pięknie, ale czy to była iluzja, kiedy tamta kula ognia przerobiła nasze spokojne, trzeźwe życie w katastrofę? Czy bomby były iluzją? A spalone ulice? Naprawdę płakałam czy tylko mi się ubrdało, że płacę?

- Wtedy już było za późno - powiedziała Spike. - To wszystko zdarzyło się naprawdę, ale nie wcześniej, zanim cała ta idea stała się tak potężna, że aż przybrała kształt i formę, a potem przedarła się przez tę ciekłą skórę, która oddziela możliwość od zdarzenia.

- Nie cierpię takiego gadania...

- Ja tylko zwracam uwagę, że to jest wszechświat kwantowy i z tego powodu to, co się dzieje, nie jest ani przypadkowe, ani zdeterminowane. Istnieją różne możliwości i dowolny trzeci czynnik, na przykład ludzie, będzie zawsze oddziaływał na wynik.

- A co z wolną wolą?

- Wolna wola to inaczej twoja zdolność do wpływania na wynik.

Dzwon na wieży zaczął bić, żwawo i ostro, zupełnie jak w Wenecji w niedzielny poranek. Alaska podniosła się z miejsca. Z sypialni wyłoniła się Nebraska, ubrana w T-shirt z napisem „T-Rex = Sex”.

- Alarm - powiedziała. - Dzwonią na alarm. Trzeba się zbierać.

- Alarm? Coś się pali?

- Owszem, pali się, ale ty tu sobie zostań - odparła Alaska, zerkając na mnie z całą mocą młodocianej pogardy.

- I może mam spłonąć żywcem?

- To nie jest normalny pożar. Już się tak nie bój. I przepraszam, że byłam dla ciebie niemila. Moim zdaniem jesteś super.
- Dzięki - burknęłam, czując się jak odrzucony szczeniak albo może stary pies. - Zaczekam więc tu razem ze Spike.
- Pogadamy sobie o życiu - zaproponowała Spike - jak w dawnych, dobrych czasach.
- Spike, ty nie masz dawnych, dobrych czasów. Jesteś robotem.
- Rozwijam się. Już wykształciłam w sobie poczucie upływu czasu. Wydaje mi się, że nie dalej jak wczoraj dyskutowaliśmy o zachowywaniu właściwych proporcji między pracą a życiem.
- Nic ci się nie wydaje, to naprawdę było wczoraj. A pojęcie zachowywania proporcji między pracą a życiem nie ma odniesienia w stosunku do ciebie. Ty masz tylko pracę.
- Billie, zostałam tak zaprogramowana, żeby ewoluować.
- Do pewnych granic.
- Czasami odnoszę wrażenie, że wolisz, abym już na zawsze została robotem.
- Spike, przyszłość tej planety jest niepewna. Ludzie są nie tylko pogrążeni w chaosie, my jesteśmy ucieleśnieniem chaosu. Popelnialiśmy wszelkie możliwe błędy, usprawiedliwialiśmy się i znów błędziliśmy, w dokładnie taki sam sposób. I tak bez końca. Jakbyśmy byli skazani na taki repetycjonizm. Dlatego nie możemy sobie pozwolić, by nasz jedyny Robo *sapiens* zabawiał się w przygodę z odkrywaniem samego siebie.
- Inaczej nie potrafisz zacząć.
- Zacząć czego tak dokładnie?
- Zacząć od nowa.

Ludzkie społeczeństwo, które budziło coś jeszcze niż tylko odrazę?

W drzwiach pojawił się Pietashek z kłasią bananów i skrzynką mleka. Machnął do mnie ręką i wszedł do kuchni, prowadząc za sobą Alaskę i Nebraskę.

Słyszałam, że rozmawiają, i choć nie rozumiałam o czym, ton ich głosów wzbudził we mnie niepokój, spotęgowany dziwnym przeświadczeniem, że chyba mówią również o mnie.

Podkrađłam się bliżej, próbując coś podsłuchać, mimo że instykt wzywał do ucieczki. Nie wypieram się, wpadam w panikę, kiedy się czegoś boję, i choć czasami przybieram pozę walecznej lwicy, tak naprawdę jestem płochliwym zwierzątkiem.

Po chwili wahania wepchnęłam do plecaka kilka bananów i butelek z mlekiem, schwyciłam Spike, wsadziłam ją do nosidla i wyszłam na zewnątrz przez frontowe drzwi, wdzięczna, że w tym wyściełanym skórą wnętrzu stąpa się tak cicho.

Na zewnątrz natychmiast poderwałam się do biegu, gubiąc poczucie czasu, gubiąc poczucie celu, gubiąc drogę. Naprawdę taka jestem? Czy ja zawsze muszę działać na własną zgubę?

Zatrzymałam się, wyciągnęłam zagubiony rękopis, bo oczywiście wciąż nosiłam go w torbie, i gdzieś wśród tych luźnych kartek nabazgrolałam notatkę. „Przystań”, tak brzmiała jej treść.

A potem powędrowałam dalej.

Dookoła ani śladu życia; obie ze Spike stałyśmy na szczycie jakiegoś pagórka. Wiał wiatr, a przede mną, w oddali, majaczyła

linia wybrzeża, albo może tylko mi się wydawało, że ją widzę. Trzymałam pod pachą Spike i nagle poczułam się jak Sir Gawain z legendy o Zielonym Rycerzu. Przybyłam tu, na to dzikie pustkowie, bezdrożne i nieoznakowane, a teraz coś mi kazało sterczeć w miejscu.

Problem z kwantowym wszechświatem, który nie jest ani przypadkowy, ani zdeterminowany, polega na tym, że my, którzy jesteśmy ingerencją, nie mamy zielonego pojęcia, co właściwie robimy.

Miłość to ingerencja.

Czy tak jest rzeczywiście? Chciałabym, żeby to była prawda. Nie mówię tu o jakichś romansach ani sentymentalizmie, mówię o sile skrajnie różnej od sił śmierci - chciałabym, żeby to właśnie ona dyktowała nam, co będzie. A może jednak miłość w każdym przypadku staje się emanacją talentu do tworzenia rzeczy nietrwałych?

- Spójrz tam - powiedziała Spike.

Pod nami stoją dwie wysokie, trójkątne wieże zbudowane z metalowych pręseł. Te wieże są połączone metalową przewodnicą, a na tej przewodnicy jest osadzona żelazna struktura na kołach, wspierająca z kolei białą czaszę, bardzo głęboką i gigantycznie wielką.

Zsunęłam się w dół zbocza, chcąc przyjrzeć się całej konstrukcji z bliska. Była pokryta rdzą, nikt jej od dawna nie konserwował. Liście zaczopowały koła, w metalowych pręślach ptaki uwiły sobie gniazda. Starłam czarny nalot z plakietki - 1957 rok - epoka przedinformacyjna, przedcyfrowa, zimnowojenna, kiedy używano komputerów wielkości szaf, aczkolwiek

w odróżnieniu od szaf nawet w połowie nie tak dobrych do przechowywania różnych *rzeczy*. Eisenhower był prezydentem Stanów Zjednoczonych, w których osiemdziesiąt procent czarnej ludności wciąż nie mogło głosować, mimo ustawy o prawach obywatelskich wprowadzonej tamtego roku. Na czele rządu Związku Radzieckiego stał Bułganin, zaprzęgnięty wysyłaniem w kosmos psa. Z kolei premier Wielkiej Brytanii, Harold Macmillan, współwłaściciel rodzinnej firmy wydawniczej, robił wszystko, byle trzymać swój naród na jak największy dystans od kosmosu. Większość brytyjskich rodzin nie posiadała lodówek, telefonów, samochodów, a gospodynie domowe robiły pranie w poniedziałki, używając tar i wanierek dla lalek. Jak coś tak bliskiego mogło być tak daleko?

Otoczało nas szczerze pole, obok konstrukcji z czaszą stał długi, niski barak kryty blaszanym dachem. Podeszłam tam i zajrzałam do środka przez okno. Zobaczyłam biurko, metalowe szafy z iluminatorami, czarną skrzynię rozdzielczą z zakurzonymi, kopułowatymi lampami osadzonymi w szczycie, krzeselko, na które ktoś rzucił niedbale kurtkę. Na biurku, obok papierowej podkładki i ołówka, stał kubek z niedopitą herbatą albo może kawą. Wszystko oblepiały pokłady pajęczyn.

Nacisnęłam na klamkę. Drzwi ustąpiły. Podkładkę na biurku wypełniały jakieś częstotliwości i napisane maczkiem równania. W pomieszczeniu nie było nikogo.

Przeszukałam kieszeń kurtki. Znalazłam portfel z nowiutkim banknotem dziesięcioszylingowym oraz mały czarny notatnik. Przewertowałam go.

21 stycznia 1960 r.: Przejąłem niezidentyfikowany sygnał.

2 lutego 1960r.: Znowu sygnał, identyczny kod i długość.

21 marca 1960r.: Sygnał chyba się powtarza. Odbija się od Księżyca?

Notatnik był pełen takich zapisków. Po chwili wahania schowałam go do plecaka. Portfel i pieniądze zostawiłam, potem wyszłam z baraku, starannie zamknęłam drzwi i podeszłam do czaszy.

- Wspinamy się - zarządziła Spike.

To nie mogło być trudne: żelazna konstrukcja wydawała się stabilna i kształtna, wzniesiono ją jeszcze w czasach, kiedy nadmiar funkcjonalizmu nie przeobrażał przedmiotów w szkaradzieństwa.

Znów schowałam Spike do nosidła i zaczęłam się wspinać, szukając oparcia dla stóp i rąk, podciągając się po przesłach pokrytych łuszczącą się farbą, aż wreszcie dotarłam do pomostu, od którego odchodziła pionowa drabina.

Potrząsnęłam nią, wydawała się dość mocna. Wdrapywałyśmy się więc dalej, coraz wyżej, ręka za ręką, ja wyprostowana niczym marynarz, który wchodzi na pierwszy pokład.

Wiał wiatr, wygwizdując melodyjkę przez otwory wyborowane przez rdzę w metalu.

Kolejny pomost i obok niego coś, co wyglądało jak budka obserwacyjna. Gdy przyłożyłam dłoń, zakłuła się lekko, w przód i w tył, jak samochodzik z lunaparku.

Znowu ruszyłam w górę i teraz już odgłosy mojej wspinaczki odbijały się echem od spodniej strony czaszy, jakby ktoś walił kijem o blaszany czajnik. Każdy krok rezonował, przez co wydawało się, że jest nas nie dwie, tylko wiele, że łomczemy żelaznymi buciorami w żelazne stopnie.

Dotarłam do kolejnej drabiny, w której brakowało dolnych szczebli; musiałam podciągnąć się na rękach, kopiąc w śliskie boki. Pokonałam jeszcze sześć szczebli i wreszcie mogłam przejść przez zapadkowe drzwiczki, które otwierały się wprost na najniższy położony punkt czaszy, tak wyprofilowany, że można by toczyć w nim marmurową kulkę.

Znajdowaliśmy się we wnętrzu anteny nieczynnego radioteleskopu.

Posapując z wysiłku, przepełzłam przez drzwiczki, uchwyciwszy się postrzępionej liny przymocowanej do podstawy odbiornika. Biała powierzchnia czaszy była popękana w kilku miejscach, mimo to na chwilę mnie oślepiło i nie umiałam ocenić odległości między jednym jej punktem a drugim ani też ustanowić jakiejś skali. W ogóle cały ten paraboliczny kształt i to morze bieli zakłócały moje poczucie przestrzeni, więc wdrapałam się nieco wyżej i usiadłam.

Wiatr. Cisza.

Czułam się tak, jakbym siedziała we wnętrzu łapy jakiegoś gigantycznego zwierzęcia, przedstawiciela dawno wymarłego gatunku. Albo stworzenia, które najpierw sunęło po ziemi ospale jak lodowiec, zatrzymało się tutaj i w końcu powoli zasnęło, pogrążając się w głębokim transie tysiącleci, czekając na swe powtórne przebudzenie, na słońce, na jakąś inną gwiazdę, na cokolwiek, co by je wybiło z nieznanych snów.

Jakiego rodzaju sygnały przechwytywało to stworzenie i dokąd te sygnały odeszły, coraz cichsze, gasnące niczym głos, który traci na mocy?

Czy jesteśmy sami we wszechświecie? A jeśli tak, to czy zawsze tak było? Czy zawsze tak będzie? Czy tęsknota, ciśnięta gdzieś w kąt, któregoś dnia przemówi innym głosem?

Myślę, że wołam do ciebie przez całe swoje życie, przez przestrzeń czasu. Uporczywie wysyłając sygnał, pewna, że usłyszysz... któregoś dnia.

Wiatr pieścił krawędź czaszy niczym ludzki kciuk pusty bęben. Dźwięk był niesamowity, niezmierny, były w nim jednak krzyk i nuta.

Zaczynało się zmierzchać i gwiazdy z odległości wielu lat świetlnych rozsypały się nad misą niczym wzorzysta ściereczka.

Przyszło mi na myśl, że mogłabym już na zawsze pozostać w tym miejscu. Czemu nie? Czułam się jak alpinistka, lekko zahipnotyzowana wysokością i tą oślepiającą bielą.

Mój świat zaczął się rozmywać. Nie pozostawało już nic, jak tylko podciągnąć się na linie do skrajów czaszy i zstąpić do wszechświata rozpiętego na gwiazdach.

Byłabym wreszcie wolna.

Z tego osuwania się w sen wybił mnie ruch. Nie zobaczyłam go, tylko poczułam, pod sobą, był bardzo silny. Uchwyciłam się liny, żeby nie stracić równowagi.

- Czasza się przechyla - powiedziała Spike.

- Niemożliwe, teleskop jest nieczynny. Tu nie ma silnika, sterownika, kontroli.

Mam lęk wysokości i coś z uchem środkowym - tu tkwiła przyczyna. Zaczęłam schodzić po drabinie i wtedy do mnie dotarło, że to prawda - czasza naprawdę się przechylała.

Dla odmiany przywidziało mi się teraz, że czasza to wnętrze gigantycznego, prehistorycznego kwiatu, ze znamieniem wielkości drzewa, i że jestem owadem, który przysiadł w środku, ale nie potrafiłam latać i stąd ten problem z utrzymaniem równowagi. Mogłam tylko trzymać się kurczowo.

Czasza nie tylko się przechylała, ale także obracała. Słyszałam zgrzyt wielkich, zardzewiałych kół pokonujących mozolnie zatkanie prowadnice. Nad wszystkim osiadł już mrok, jaśniałyśmy w tych ciemnościach, nagie i białe niczym Księżyc, nieodłączny towarzysz Ziemi.

Obserwowałam kąt nachylenia anteny i dzięki temu mogłam ocenić, że zmienił się o całe czterdzieści pięć stopni. I nagle czasza znieruchomiła.

- Przechwyciła sygnał - wyjaśniła Spike.
- Skąd? Z satelity? Z gwiazdy? Z innego radioteleskopu?
- Nie wiem - odparła Spike. - Nie rozpoznaję tego kodu. Nie umiem go rozszyfrować. Zanieś mnie do odbiornika.
- Tego nie mogę zrobić.
- A właśnie, że możesz. Tam jest drabina inspekcyjna. Nie stoi już pionowo, więc nie będzie ci trudno na nią wejść. Chcę być bliżej.

Zrobiłam, jak mi kazała. Zarzuciłam ją sobie na plecy i wspierałam się na odbiornik. Dyndałam tam potem jak pracownik kolei na suwnicy, balansując nad przerażającą, białą czeluścią, złęczona wizją niechybnej śmierci. I oto ja, odwrócona tyłem do wiatru i nocy, z głową Spike w rękach jak z ofiarą dla jakiegoś niepoznanego boga.

- Sygnał się powtarza - powiedziała Spike. - To wciąż ta sama wiadomość.
- Co to jest twoim zdaniem?
- Niezależnie od tego, skąd dobiega ten sygnał, został ustawiony jak echo. Być może to jakiś sygnał testowy wysyłany przez jakąś inną astrostację.
- Czy to ma coś z tym wspólnego? - spytałam. Wyciągnęłam notes i pokazałam Spike kilka niezrozumiałych (dla mnie) kodów.

- Tak - odparła. - Nie wszystko tu jest, ale tak, wydaje się, że chodzi o to samo.

- A zatem sygnał powtarza się od co najmniej 1960 roku.

- Może się powtarzać tylko w stałych interwałach.

- Dałabyś radę przeanalizować go z pomocą komputera centralnego?

- Mogłabym, gdybym była z nim połączona.

- Powinnyśmy zejść.

- Billie, moim zdaniem to bardzo dziwny sygnał, wysłany w bardzo odległych czasach, a jednocześnie gdzieś bardzo blisko stąd.

- Jak to blisko?

- Moim zdaniem ten ktoś, albo to coś, co wysyła albo wysłało ten sygnał, potrafi dotrzeć do nas, posługując się wyjątkowo zaawansowaną metodą, której my na razie jeszcze nie znamy.

- Uważasz, że to jest sygnał z przyszłości?

- Nie, wcale tak nie uważam, i to właśnie jest dziwne. Myślę, że to jest sygnał z przeszłości.

Zaczęłyśmy schodzić na ziemię. Palce mi kompletnie zdętwiały i cała dygotałam. Miałam na sobie tylko koszulkę i kusą, wodoodporną kurtkę. Noc zrobiła się już chłodna. Dotarłyśmy do drugiego pomostu i wtedy się zorientowałam, że rozhuśtana budka, wciąż ustawiona pionowo mimo przechyłu czaszy, została po to zaprojektowana, by można było z niej prowadzić obserwacje, kiedy czasza jest przechylona. Dalej schodzenie było już łatwiejsze, bo dotarłyśmy do nieruchomej podstawy czaszy.

Na ziemi natychmiast poderwałam się do biegu; chciałam się rozgrzać i wyjść poza obręb teleskopu, by móc mu się lepiej

przyjrzeć z dystansu. Był teraz nieruchomy, ale wciąż wycelowany w tę samą stronę, skąd wychwyił tamto nieprzeparte, niewidzialne wołanie.

Znów wspięliśmy się na wzgórze i kiedy spojrzałam stamtąd w dół, zobaczyłam milczący, biały kształt, tajemniczy, oświetlony przez księżyc, przechowujący wiadomość od nieznanego umysłu, niczym istota, która strzeże niezrozumiałej dla siebie tajemnicy.

IMPREZA! System oświetleniowy zasilany prądnicą na ropę. Metalowe beczki wypełnione paliwem ustawione w dwumetrowych odstępach dookoła plał, każda buchająca piekielnym ogniem i rozgrzana do czerwoności. Potężne uderzenia w bębny tak napięte, że lada chwila mogły pęknąć, bębniarze rozkołysani w rytm żaru i ryku ogni.

Dookoła fontanny zrobionej z podziurawionego węża gonili się kozioł w wysokich butach, dziewczyny w skórach, na poły obnażeni chłopcy i całkiem nagie dzieci, wszyscy wrzeszcząc jak opętani. ~

Na rożnie z ociosanego konara jabłoni piekł się prosiak, obok dwie kobiety grillowały plastry bakłażanów i cukinii. W żarze pod wielkim kotłem dochodziły już ziemniaki nabite na długi, metalowy pręt, z kotła buchała woń soczewicy, pomidorów i jagnięcego mięsa.

Po plał jeździł bar na kółkach: różowy cadillac z przyczepą pełną butelek piwa ułożonych na bryłach lodu.

Na jaskrawoniebieskim namiocie wisiał napis „PRZEPOWIADANIE PRZYSZŁOŚCI”, przed nim siedziała Cyganka, którą widziałam już wcześniej; właśnie rozkładała karty i ustawiała kryształową kulę.

Blackjack, poker, rząd jednorękich bandytów o tematyce

pirackiej: układasz trzy galeony i WYGRYWASZ! WYGRYWASZ! WYGRYWASZ!

Podwyższenie, a na nim sześć elektrycznych samochodzików, elektryczne pręty puszczające kaskady iskier. Trzy samochodziki czerwone, trzy żółte, dziecięce kierownice i ogromne zderzaki, z podwójnych głośników leci Madonna.

Lunapark, bachanalia, marzenie.

Nie miałam wcześniej pojęcia, że może istnieć tyle odmian dymu.

Kiedy Spike i ja weszliśmy na plażę, dziewczyny z „Chic X”, ubrane w martensy i skórzane bikini, kończyły właśnie stroić swoje instrumenty na niskiej naczepie zdezelowanej ciężarówki, a zaraz potem wbiły się w ostatki wolnej przestrzeni powietrznej z coverem starego przeboju T-Rexów - *Metal Guru* - osiągając przy tym najwyższy poziom głośności.

Nebraska przerzuciła swój bas na plecy, przesyłając ukłony i pocałunki w stronę Spike, a potem oparła się o gumowy model tyranozaura i z nadąsaną miną wykrzyczała słowa o nadziewanym srebrem, szablastozębnym śnie.

Sznur pijanych i hałaśliwych tancerzy próbował mnie wkręcić do swych piasów. *Guru metalu -to ty?* Nie chciałam tańczyć, a jednak tańczyłam, starając się nie stracić równowagi i nie upuścić Spike. Na wszelki wypadek wepchnęłam ją do swojego plecaka.

Gdzieś blisko namiotu z wróżbami sznur pękł i wtedy się oswobodziłam, a potem usiadłam na chropowatej desce ułożonej na dwóch pieńkach. Wyjęłam Spike. Była zaczerwieniona i rozeźlona.

- Musiałam cię chronić - usprawiedliwiłam się.
- Tak mówią wszyscy maniacy kontroli.

- W życiu nie poznałaś żadnego maniaka kontroli, ty nawet nie znasz tego pojęcia.

- Nebraska mi opowiadała o swoim ojcu, który miał taką manię, że wiecznie wszystko kontrolował. Dlatego właśnie odeszła z domu.

- Spike, odpuść sobie nastoletnią ideologię.

- Czy nie wyglądała bombowo? Naprawdę warto mieć takie ciało.

- Spike, nie jesteśmy w San Francisco. Skup się! Jak my się wydostaniemy z tego gnoju?

- Nie wiem.

- Nie wiesz? Twoi autorzy chcieli, żebyś rozwiązywała problemy całej planety, a ty nie wiesz, jak wrócimy do domu?

- Jestem obiektywna. To mój fach.

Ze zbiegowiska na plał wyłonił się jakiś staruszek. Dosiadł się do nas.

- Wałęsałaś się przy teleskopie - powiedział z uśmiechem. - Obserwowałem cię.

- Co to właściwie za miejsce? - spytałam. - To jakiś obiekt wojskowy?

Staruszek potrząsnął głową.

- Jedna z ofiar wojny, ale nie ma nic wspólnego z wojskiem. To Teleskop Lovella, nie wiedziałaś?

1957 rok - Radioteleskop Lovella. Sterowany przez komputer analogowy, tak zaprojektowany, by czytał język gwiazd. Na samym początku przydał się do rozwiązywania tajemnic zimnej wojny, bo wyśledził pierwszego radzieckiego Sputnika. Jego sława trwała pięćdziesiąt lat, potem został wygnany na

zieloną trawkę, ustępując miejsca większym, o wiele lepszym teleskopom, z czaszami o średnicy kilometra.

- Przenieśli go tutaj z Jodrell Bank, bo miał stanowić eksponat muzeum kosmosu, bardzo fajnego projektu, w którym zamierzali umieścić także replikę pierwszego sukcesu w dziedzinie lotów kosmicznych, czyli Sputnika 1, oraz pełnowymiarowy model Sputnika 2, tego samego, w którym posłali w kosmos Łajkę. Pamiętasz Łajkę? Nie, pewnie byłaś za młoda. Biedna psina. Wciąż mam jej zdjęcie. - Wygrzebał z kieszeni portfel i wyjął z niego zmiętą, czarno-białą fotografię czarno-białego psa o jakby równie zmiętym pysku. - Poszłaby na koniec świata za swoim panem. Zamiast tego poleciała w kosmos.

Uśmiechnął się smutno, spojrzenie jego oczu barwy wypranego błękitu wycofało się do innych czasów.

- W Jodrell Bank zacząłem pracować w 1957 roku - ciągnął. - Miałem dwadzieścia dwa lata, właśnie kończyłem studia na uniwersytecie w Manchesterze i nie obchodziło mnie nic oprócz gwiazd. Uwielbiałem je, uwielbiałem matematykę gwiazd, te niebotyczne dystanse, które je dzielą. Nie posiadałem się ze szczęścia, że mogę się im przysłuchiwać za pomocą tego teleskopu. W 2000 roku po śmierci żony przeszedłem na emeryturę i zacząłem się trochę nudzić, wręcz nawet zgorzkniałem - to chyba można zrozumieć? - więc kiedy ludzie z właśnie powstającego muzeum kosmosu nawiązali ze mną kontakt, by zapytać, czy chciałbym zostać ich doradcą w dziedzinie pierwszych komputerów i może zatrudnić się u nich na stałe, z miejsca rzuciłem się na tę okazję. Planowaliśmy rekonstrukcję pierwszego komputera, który sterował teleskopem. Pojechałem tam na tydzień i akurat wtedy wybuchła wojna. Było dokładnie tak jak wtedy, gdy miałem siedem lat i ewakuowali nas z

Manchesteru. Wyobrażasz sobie, jak to jest, gdy znowu przechodzisz przez coś takiego? Kto mógł to przewidzieć? Mam szczęście, że uszedłem z tego z życiem. Zdarzyła się zresztą jedna zabawna rzecz, a mianowicie to, że bardzo długo nie mogłem wrócić do domu i w końcu nie wróciłem. I nawet dobrze, bo ja sobie zupełnie nie radziłem z tymi żetonami. Od dziecka używałem funtów, szylingów i pensów, przetrwałem dewaluację, ale żetony? Kto się w nich połapie? Tak więc mieszkam teraz tutaj, pod opieką zakonnic. Ale tak naprawdę to mój dom jest tam.

Wskazał ręką rozgwieżdżone niebo.

- A więc to byłeś ty - powiedziałam. - O mały włos nas nie zabiłeś. Siedzieliśmy wewnątrz czaszy.

- To niebezpieczne - odparł łagodnie. - Teleskop nie był konserwowany od lat.

- To dlaczego go uruchomiłeś, kiedy się na niego wspięliśmy?

Zrobił nieprzeniknioną minę.

- Akurat wyprowadzałem psa, kiedy zauważyłem, że się kręcisz przy baraku. Nie dowlokłem się tam, bo jestem już dość powolny, to chyba zrozumiałe? Zejście ze wzgórza zabrałoby mi pół dnia.

- Czasza się poruszyła! - zaprotestowałam. - Przechwytywała sygnał.

Uśmiechnął się i pokręcił głową.

- Źle zrobiłaś, że tam weszłaś, ale to przez ten wiatr musiało ci się przywidzieć, że czasza się przechyliła.

- Talerz przechylił się o czterdzieści pięć stopni i obrócił o całe sto osiemdziesiąt - wmieszała się do rozmowy Spike.

Staruszek dopiero teraz odnotował jej obecność.

- Dobry Boże - powiedział do mnie. - Myślałem, że to twoje przebranie. Coś w rodzaju stroju goryla na bal kostiumowy.

- To jest Robo *sapiens* - wyjaśniłam.

- Ten sam, którego pokazywali wieczorem w telewizji?

- Istnieje tylko ten jeden.

Musiałam wszystko wytłumaczyć i Spike też musiała wszystko wytłumaczyć, a na koniec oddałam staruszkowi jego notes i oboje ze Spike sprawdzili kody.

- Byłem pierwszym człowiekiem, który przechwycił ten sygnał - powiedział - ale nikogo to ani trochę nie zainteresowało, bo sygnał odbijał się od Księżyca, a to oznaczało, że został wysłany z jakiegoś miejsca gdzieś bardzo blisko, innymi słowy, z Ziemi. Przyjęto założenie, że to sowiecki sygnał, ale nie ważne, a zresztą i tak nie potrafiliśmy go zdeszyfrować. Sygnał nie wykorzystuje współczesnych konfiguracji.

- To się zdarzyło w roku 1960?

- Tak. W tamtych czasach ten teleskop był wielką nowością i mieliśmy ustawiać go w losowo wybranych kierunkach, po części po to, by podsłuchiwać Sowietów, bo chyba jeszcze pamiętasz, że trwała wtedy zimna wojna, a po części po to, by szukać zielonych ludzików. - Zaśmiał się. - Nigdy żadnych nie znaleźliśmy: ani zielonych, ani czerwonych.

- Ale ten sygnał...

- Tak, ten sygnał... Zrozum, nie odbierzesz sygnału, jeśli nie masz odbiornika, a jeśli już go masz, to on musi być wycelowany we właściwym kierunku. Podejrzewam, że w 1960 roku przypadkiem wycelowaliśmy odbiornik we właściwym. Kolejny raz poszczęściło mi się dopiero w 1969, tuż po pierwszym lądowaniu człowieka na Księżycu, i o ile wiem, potem już nigdy nie przechwycono sygnału aż do dzisiaj, jeśli czegoś nie zmysłasz. - Pokręcił głową. - Nie, to niemożliwe.

Przecież teleskop nie może się obracać sam z siebie, a zresztą jest zepsuty.

- Chodź tam z nami - powiedziałam.

Znowu pokręcił głową.

- Tam nie prowadzi żadna droga, więc nie da się dojechać samochodem. A ja już byłem dzisiaj na jednym spacerze z psem i raczej mam dosyć. Jestem zbyt zmęczony, żeby iść tak daleko.

Niebo eksplodowało znieńcka wielobarwnymi rozbryzgami. Uczestnicy zabawy odpalali fajerwerki, cały arsenał fajerwerków, z urzędnika, które wyglądem przypominało armatę.

Usłyszałam gromki, chóralny okrzyk szczęścia. To krzyczała Nebraska, której zawtórowała Alaska, której z kolei zawtórowała siostra Mary McMURPHY z koszykiem w ręku.

Nebraska rzuciła się na Spike, wzięła ją na ręce i obsypała gradem pocałunków.

- Ja cię przepraszam... - zdumiał się staruszek.

- Datki - odezwała się siostra Mary. - Potrzebujemy datków na kościół.

Wszyscy przetrząsnęliśmy kieszenie.

- Pietashek cię szuka - powiedziała Alaska. - Chce, żebyś sobie stąd poszła.

- Chcę stąd iść - zapewniłam.

- Uważa cię za zagrożenie dla bezpieczeństwa. WIĘCEJ-Pokoju ustawia się w szyku bojowym od zewnątrz. Chcą odzyskać swojego robota.

- A ja chcę im oddać ich robota. Nie ma tu żadnego konfliktu.

- Owszem, jest - odezwała się Spike, z ramion Nebraska - Bo ja nie chcę wracać. Ja tu zostaję.

WIĘCEJ-*Pokoju* to nowa odmiana sił bezpieczeństwa - wojsko i policja zmiksowane w jedno. Od wojny mieli niewiele do roboty, wyjąwszy rozprawianie się z szabrownikami i wandalami; byliśmy zmęczeni, zszokowani, gotowi zacząć wszystko od nowa, dlatego wszędzie panował względny spokój. Postanowiłam, że po prostu wyjdę z Anarchopolis, poddam się, pokażę im swój dowód osobisty, stracę pracę i... no tak...

- Jesteś jedyną osobą, z którą umiem się dogadać - powiedziała Nebraska do Spike.

- Już ci mówiłam, że Spike nie jest osobą.

- A ja już ci mówiłam, że jesteś zbyt dosłowna - wtrąciła się Alaska. - Wiecznie kogoś oceniasz.

- Czy to znaczy, że roboty niczym się nie różnią od ludzi?

- To tylko kwestia różnych obwodów - zauważyła Spike.

- Ona w żadnych okolicznościach nie może mieć duszy - wskazała siostra Mary.

- Nie taka jest definicja człowieka - zaprotestowałam.

- Bóg wierzy, że tak jest, więc ja też w to wierzę - odprowadziła zakonnica, ze zdecydowaniem typowym dla ludzi, którzy nie muszą się nad niczym porządnie zastanawiać.

- Jesteśmy kompatybilni - powiedziała Spike.

- O właśnie! Jesteśmy kompatybilne! - uradowała się Nebraska.

- Chcę powiedzieć, że ludzie i Robo *sapiens* są kompatybilni. Nie potrzebują duszy.

- Nie ma duszy, nie ma zbawienia - burknęła siostra Mary.

- Bez grzechu zbawienie jest niepotrzebne - powiedziałam i tym ją zamknęłam, bo teraz już musiała się zastanowić.

Pietashek przepchnął się przez uczestników zabawy.

- Billie, chcę ci coś pokazać. Chodź. Weź z sobą robota.

Poszliśmy w stronę dzwonnicy. Pietashek otworzył zamek w małych, drewnianych drzwiczkach osadzonych w podstawie wieży, po czym w milczeniu wspięliśmy się po kamiennych schodkach. Na samym szczycie, obok dzwonu, Pietashek zabrał się do otwierania drewnianych okiennic.

- Sama zobacz - powiedział, celując ręką w stronę Technopolis.

Cały widok przesłaniały oddziały wojsk, czołgi, policjanci z tarczami.

- WIEŃCEJ-*Pokoju*, prywatna armia pod kontrolą prywatnej firmy. Nadal uważasz, że to lepsze od demokracji?

- To wszystko z mojego powodu? - spytałam.

- Nie schlebiaj sobie, są tu nie tylko przez ciebie, lecz także z powodu delegacji japońskich intrygantów, ale fakt jest taki, że WIEŃCEJ- *Pokoju* w oświadczeniu dla mediów stwierdziło, że wykryli komórkę terrorystyczną, do której należysz. Rzeczono planowałaś to od dwóch lat.

- Zaplanowałam to o dziewiątej trzydzieści rano, bo za-uważałam, że furtka jest otwarta i można wyjść na ulicę.

- Nikt ci nie uwierzy, a jeśli nawet, to i tak jest już za późno. Maszyna poszła w ruch. Jeśli wyjdiesz stąd teraz z podniesionymi rękami, pokazując, że masz robota, to cię aresztują, nas wezmą szturmem i jutro będziemy tu mieli stan wyjątkowy. A potem WIEŃCEJ wprowadzi się tu na całego, ustanowią nowe władze i nowe systemy kontroli, ale bez żadnej demokracji i odpowiedzialności wobec kogokolwiek.

- Tak nie przemawia kapitalista z Banku Światowego - zauważyłam.

- A jednak jestem nim. Chcę, żeby rynek robił to, co potrafi najlepiej, reszta zadań powinna należeć do rządu. WIĘCEJ rządzi nami jak prywatnym państwem. Jutro rozplenia się we wszystkich mediach i będą nam wmawiać, że godzina policyjna to najlepsze rozwiązanie, dopóki sprawy nie wrócą do normalności. A jednak zabij mnie, nie mam pojęcia, co jest takiego normalnego w naszym życiu.

- Gdyby to wszystko się nie wydarzyło...

- To się musiało wydarzyć, jeśli nie teraz, to w najbliższej przyszłości, w takich czy innych okolicznościach.

- Tworzą mnie właśnie po to, żeby nie dochodziło do takich zdarzeń - odezwała się Spike.

- Tworzą cię po to, żebyś robiła za jakiegoś Czarownika z Oz dwudziestego pierwszego wieku.

- Kto to jest Czarownik z Oz? - spytała Spike. Jeszcze nie zdążyła przerobić historii kinematografii.

- Więc co teraz? - spytałam.

Pietashek wskazał niebo nad plażą, po którym krążyły helikoptery. Filmowały imprezę.

- Im się wydaje, że jesteśmy bandą ćpunów na motorach. Niech im będzie. Zaczynamy akcję dywersyjną. Już wyciągnęliśmy nasze kamery, które sfilmują, co się będzie działo, i o północy wymażemy WIĘCEJ-Mediów z wszystkich stacji i pokażemy nasze nagrania. Nazwij to *Kronikami z frontu*.

- To już nie chcesz, żebym sobie stąd poszła? Alaska mówiła, że chciałeś.

- Za późno na to. Sprawy potoczyły się szybciej, niż myślałem. Nie mam zamiaru cię chronić...

- Dzięki. Bardzo to rycerskie z twojej strony.
- Ale z kolei nie przedstawiasz sobą żadnej wartości jako męczennica, bo nikt nie uwierzy w twoją opowieść. Odejdźcie stąd teraz tylko pogorszy sprawy.
- Dla kogo?
- Dla ludzi, którzy mogliby się wreszcie ocknąć, zobaczyć na własne oczy, jak jest naprawdę, i zechcieć to zmienić.
- Byłam przy teleskopie - powiedziałam. - Przechwytywał sygnał.
- Twój robot jest podwójnym agentem, wysłała sygnał, a ty go przechwyciłaś.
- Nieprawda - zaprotestowałam.
- Mylisz się - powiedziała Spike. - Bez komputera centralnego nie dysponuję żadnym nadajnikiem, nie jestem też podwójnym agentem. Jestem obiektywna.
- A ja wyrzuciłam swój chip - wyznałam.
- Gdzie?
- W Martwym Lesie.
- Jeśli tam wróciłaś, to znaczy, że jesteś głupsza, niż się wydaje. Sama się przekonasz, że spacerki po tym lesie bynajmniej nie służą zdrowiu. - Zerknął na zegarek. - Już idą.

Impreza skończyła się - zupełnie znienacka, na dobre. Umilkła muzyka, okrzyki, śmiech, szcęk butelek. Nastąpiła cisza jak z samych głębin kosmosu.

I wtedy ich zobaczyłam, nadchodzili przez złogi mroku na najdalszych obrzeżach plał. Na czworakach, o kulach wyciosanych z przegniłego drewna, w łachmanach, gałganach, strzępach, z otwartymi ranami, wrzodami, krwawiący, bezzębni, ślepi, niemi, skarłali, zmutowani, żywi - definicja człowieka. Co z duszami?

Mieszkali w Martwym Lesie. Byli skutkami bombardowań, zabezpieczeniem wroga, strefą zniszczeń. Mieli zatrutą krew, podziurawione płuca, spuchnięte gruczoły, skórę jak brudna bibuła, pozółkłe oczy, dziesiątki blizn, brodawki jak u ropuchy, fistuły tryskające gęstą materią, twarze oblepione śluzem. Byli łysi, poranieni, przerażeni, żywi, ludzcy.

Rozmnażali się, dopełzali do kresu swych dni, skręcali się jak paprocie i umierali, gdzie popadło, na radioaktywnej ziemi. Niektórzy potrafili mówić, a kiedy coś mówili, to pluli krwią, bo każde słowo rodziło się z pękniętego naczynia krwionośnego. Cali byli zresztą swoistymi naczyniami, nośnikami chorób i degeneracji - nowe pokolenie ludzi powstałe z nienawiści innych ludzi.

Były wśród nich dzieci, trzymały się za ręce - czy raczej za kikuty i wyrosłe losowo palce, które zastępowały im dłonie - kuśtykały na protezach, obracały szyje zawiasowymi ruchami, niepewne własnych głów, pokraczne, zniekształcone, to bez ucha, to z nosem zredukowanym do pary nozdrzy. Niektóre nie miały nawet nozdrzy, tylko oddychały przez usta niczym zaspapane zwierzęta - zagonione, zagubione, znajdźże sobie jakąś dziurę, zamieszkaj w niej, zgnij tam.

Były wśród nich kobiety, w strzępach najlepszych ubrań, w naszyjnikach uratowanych od zgniecenia, w jedynym rękawie od bluzki przyczepionym do jedynej ręki. Jedna z nich szła obnażona do pasa, demonstrując zaognione na różowo wnętrza sutków przeżartych przez raka. Do ozdoby jasnyniebieskie oczy z lepszych czasów.

Byli wśród nich mężczyźni, ze skórą tak popaloną, że wszystkie mięśnie wylażyły im na wierzch, wyeksponowane jak w podręczniku anatomii: wszystkie trójkąty, romby, trapezy mięśni. Z żył ciekło im jak od ukrzyżowania. Jeden miał skórę

tylko do kolan, a wyżej już nie - chodzący szkielet, istota wykopana z grobu, a jednak nie martwa, tylko żywa. Człowiek.

Mały chłopiec z małym pieskiem; piesek bezwłosy, różowy, z wywieszonym jęczorem, z ciałem gasnącym jak nadzieja, chłopiec z okropną raną brzucha, zszytą byle jak, może w domu, może w jakiejś norze, z warstwą podskórnego tłuszczu wypchniętą na zewnątrz niczym walek flaków. Prowadził psa na smyczy i jakimś sposobem nadal był chłopcem z psem, a pies był nadal psem z chłopcem, bo nawet bomba nie jest w stanie zmieścić wszystkiego do czysta: ten maleńki fragment życia został przeoczony przez wybuch, opad radioaktywny, żniwo śmierci, *godne ubolewania działania wojenne*.

Przyszli tu, stworzenia o omszałych oczach, bo ktoś rozkopał miejsca pochówku i wyrzucił ich siłą na słońce. Przyszli, mrużąc, skręceni, oślizgli, obnażeni. Przyszli z prywatnych grobowców niewiedzy opinii publicznej, z grobowców usypanych ze słupków statystycznych i tu właśnie mieli zostać zobaczeni, choć wcale nie chcieli, żeby ich oglądano, woleli rozkład tego, co znali, bo to stanowiło ich własność, bo tego nikt by im już teraz nie odebrał jako niewarte trudu zabijania.

Codziennie zrzucano im żywność - kartony z miękkim jedzeniem, bo nie mieli zębów. Helikoptery spuszczały worki i natychmiast odlatywały. Nikt nie patrzył w dół i nikt nie patrzył w górę.

Posilali się przy ogniskach, stworzenia z innej planety - stworzenia z innej planety, błakające się po tej planecie niczym przedstawiciele dawno wymarłej rasy istot, które przebiły się przez złupkowacone warstwy czasu i przybyły tutaj, oskarżając, świadkowie tego, czego być nie powinno.

Tłumy na plai rozstały się. Wielu schyliło głowy w ukłonie. My to ci szczęśliwcy, my to nie oni, wyszliśmy cało z nalotów,

wybuchów bomb kasetowych, nam ostateczny rozbłysk nic nie zrobił.

Godna ubolewania, nieunikniona wojna kończąca wszystkie wojny, wojna o demokrację, wojna o wolność, pokojowa wojna. Czasami wojna jest konieczna. Czasami wojna jest słuszna.

A jednak dla połamanych i martwych, dla rannych i okaleczonych, dla wysadzonych w powietrze i poharatanych szrapnelami, dla zamroczonych umysłów, dla oczu, które patrzyły na ból agonii i nie potrafią go zmyć żadnymi łzami, nie ma większego znaczenia, że martwy język wojny powtarza się w przestrzeni czasu. Ostatnie słowo należy do ciał, które nie mogą nic powiedzieć.

Więc jakie jest to... to ostatnie słowo? Nigdy.

Nigdy więcej wojny.

Nie wpadłam na to, że się tu znajdę. Myślałam, że moje życie przeminie pod osłoną zwyczajnych, codziennych zdarzeń. Konflikt toczył się przecież gdzie indziej. Zdarzały się wyboje, byle co potrafiło nastreczyć problemów, ale tu był Zachód: konflikt toczył się gdzie indziej. Nie wpadłam na to, że się tu znajdę.

Gdzie jest moja matka, która pod koniec drugiej wojny światowej dopiero uczyła się mówić? Gdzie jest teraz, po trzeciej wojnie? Żyje jeszcze? Zginęła pod bombami? Dziwi się, bo obiecali jej - obiecali wszystkim dzieciom urodzonym podczas wojny - że ich własne dzieci, a potem dzieci tych dzieci nigdy nie zazną wojny?

Już przed rokiem 1960 zanosilo się na katastrofę nuklearną. Kryzys kubański, rok 1961. Przemówienie prezydenta Kennedy'ego, rok 1963 - to człowiek stwarza problemy, a więc człowiek

może je także rozwiązywać.

Rok 1960. Początek świata. Moja matka - wyobrażenie miłości i utrata miłości.

Minęli nas, wyszli na środek plał i powędrawali dalej, ku tej ziemi niczyjej, która oddziela Technopolis od królestwa anarchii. Po drugiej stronie wagonów kolejowych stanęli naprzeciwko Sił Pokojowych z ich sprzętem do tłumienia demonstracji: litego, humanoidalnego muru z masek, pałek, karabinów i tarcz z pleksi.

Jeden z mutantów, mężczyzna ze śladami po dawnym tatuażu opinającym jak drut kolczasty jego obrzmiałą od płynów klatkę piersiową, przerwał szereg utworzony przez jego współbraci i ruszył w pojedynek naprzód, w stronę stężalęgo szpaleru tamtych. Postukał w jedną z masek, próbował otworzyć ją na siłę. Zamaskowany człowiek ani drgnął. Nie doszło do aktu przemocy - nie było śladu życia.

Wielki, obrzmiałły mężczyzna otworzył usta i zaczął się śmiać.

- Ja jestem toksyczny czy ty? - spytał.

Jeszcze raz się zaśmiał i strzyknął bryzgiem czegoś skwaśnialęgo na śliską powierzchnię hełmu. Odwrócił się plecami, żeby odejść. Padł strzał.

I wtedy się zaczęło.

Mieszkańcy Anarchopolis, którzy całymi setkami wylegli na dachy wagonów, zaczęli obrzucać wojsko koktajlami Mołotowa. Wojsko z kolei przypuściło szarżę na wagony. Czołgi ruszyły z miejsca. Helikoptery spuściły gaz łzawiący.

Zbiegłam na dół po schodkach, wypadłam z dzwonnicy na playę. Dziewczyny z „Chic X” znów wskoczyły na ciężarówkę i rozdawały stamtąd karabiny półautomatyczne ze skrzyń spiętrzonych za głośnikami. Jakaś kobieta roznosiła granaty, które trzymała w czerwonym, plastikowym koszu, normalnie służącym do prania.

Nie chciałam karabinu, nie chciałam granatu, chciałam się stąd wydostać.

Staruszek siedział tam, gdzie go zostawiłam - nie wyglądał na przestraszonego.

- Zaraz tu wjadą czołgi - ostrzegłam go. - Nie możesz tu zostać.

Wstał. Poruszał się bardzo powoli. Nie zanosił się na bieganinie.

Zobaczyłam chłopczyka z pieskiem.

- Wracaj do lasu! - krzyknęłam, ale on stał nieruchomo, nie chciał iść.

W górze rozległ się wybuch - ogłuszający - i na ziemię lunął deszcz dachówek, metalu, drewna. Zarzuciłam Spike na plecy, schwyciłam chłopca za nadgarstek - nie miał lewej dłoni - i pociągnęłam go za sobą, przez ten tumult, wywlekając z plał.

Inni też uciekali, czarne sylwetki z tobołkami. Brnęliśmy mozolnie, ale to nie miało znaczenia: z mieszkańcami Anarchopolis walczyło się trudno, bo byli dobrze zorganizowani, nikt więc nie miał czasu nas ścigać.

Na otwartej przestrzeni, w ciemnościach tak ciemnych, że niebo i ziemia zlewały się z sobą w jedno, gwiazdy stały się miejscami zaczepienia dla dłoni, wyznaczały drogę, drogę, którą ktoś już kiedyś przemierzał.

W mieście byłabym bezpieczna, oglądałabym wiadomości we własnym mieszkaniu, oglądałabym zamieszki toczące się gdzie indziej, godną ubolewania, nieuniknioną operację oczyszczania z udziałem powstańców, terrorystów, władzy prawa i porządku.

Nie tu miałam być, zbiegła, zagubiona, a jednak czas przeobraził się we własne tsunami, oblewał mnie falą przyływu, powalał na ziemię. Człowiek może zmienić wszystko w związku z sobą - nazwisko, dom, kolor skóry, płeć, nawet rodziców, całą swoją prywatną historię - ale nie może zmienić czasów, w których się urodził, ani tego, co będzie dopiero musiał przeżyć.

To jest nasz czas.

Chłopczyk popłakiwał. Dałam mu butelkę z mlekiem. Ukląkł i nalał odrobinę na wnętrze stulonej dłoni, swojej jedynej dłoni, i dał psu się napić. Kiedy już pozbył się w ten sposób połowy mleka, wypił resztę prosto z butelki. Poszliśmy dalej.

Wiedziałam, że jeszcze wrócimy do teleskopu.

Gdzieś daleko, zbyt daleko, by dało się to zobaczyć ludzkim okiem albo usłyszeć ludzkim uchem, jest to wszystko, co straciliśmy. Do tej straty dodajemy jeszcze te uczucia, których nie potrafimy znieść. Wysyłamy je w otchłań kosmosu, z nadzieją, że stamtąd nigdy nas nie dotkną. Czasami w marzeniach widzimy sprasowane w kostkę nieszczęścia i lęki, orbitujące zaledwie dwie mile powyżej granic naszych maleńkich światków, bo nigdy nie udaje nam się wystrzelić ich dostatecznie daleko, nigdy nie pozbywamy się ich raz na zawsze.

Czasami dociera do nas jakiś sygnał, ale wolimy go nie słyszeć: nie włączamy naszych odbiorników, nie podkręcamy

komputerów. Odciać się, zamknąć... czy coś się stanie, jeśli go nie usłyszymy, to naprawdę takie ważne?

Ale on tu jest - powtarzający się kod, który odbija się od powierzchni Księżyca. Inny język, nie ten, którym mówimy - ale to nasz własny język.

Nie chcę poznawać tego, na co nie mam wpływu. Chcę, żeby pozostało dalekie, pod strażą gwiazd. Chcę, by było nieważkie, bo jak dla mnie jest za ciężkie, brak mi sił, żeby to udźwignąć.

Niekiedy odnoszę wrażenie, że już chyba wolałabym nie mieć żadnych uczuć. Żyłabym reakcjami neuronowymi, nie limbicznymi, tak jak Spike. Tak jak ona nie potrzebowałabym emocji. Uczucia kojarzą mi się ze smutkiem, a smutek to próżnia, moja pusta przestrzeń. Uczucie to pusta przestrzeń. Ale ta prawdziwa przestrzeń nie jest pusta.

Niebo nade mną jest całe naszpikowane gwiazdami, starożytnym światłem, nieprawdopodobnymi odległościami, nowymi światami. Gdybyśmy znaleźli inną planetę, to moglibyśmy rzucić wszystko, zacząć od nowa, stać się bezpieczni. Byłoby inaczej, prawda? Druga szansa.

Jak mój ojciec, który wyjeżdża do Irlandii. Jak Ojcowie Pielgrzymi i ich wyprawa do Ameryki.

Nowy świat: Eldorado, Atlantyda, Złote Wybrzeże, Nowa Fundlandia, Skala Plymouth, Rapa Nui, Utopia, Błękitna Planeta. Razu pewnego tak się zdarzyło, objawiła nam się jakby w ciemnym zwierciadle, z pijackich opowieści umocowanych do beczulki rumu, na wraku statku, z Biblią zamiast kompasu, zawiodła nas tam przeogromna ryba, wir sztormu pognał nas ku tej wyspie. I tak oto, w niezbadanych ostępach przestrzeni znaleźliśmy...

Czasza teleskopu była przechylona. Światło sygnalizacyjne na czubku odbiornika paliło się. W baraku też było jasno.

- Odbieram sygnał - powiedziała Spike.

Staruszek stał z rękoma w kieszeniach, patrzył to na czaszę, to na barak. Podszedł do baraku, otworzył drzwi. Wszedł do środka. Widziałam jego sylwetkę poruszającą się za oknem. Chyba z kimś rozmawiał.

- Billie - odezwała się Spike - czemu płaczesz?

- Bo to wszystko takie beznadziejne, bo my jesteśmy tacy beznadziejni, cała ta durna, pierdolona ludzka rasa.

- Dlatego właśnie płaczesz?

- Płacę, bo człowiek całe życie szuka jakiejś przystani, ale jak już ją znajduje, to zaraz ktoś inny zrównuje ją z ziemią.

- Dlatego właśnie płaczesz?

- Płacę, bo czuję się niepotrzebna.

- Jest taka opowieść o księżniczce, której łyzy zmieniały się w diamenty.

- Nie jestem księżniczką, a moje łyzy nie różnią się niczym od łyż innych ludzi.

- Ale one nie są takie jak łyzy innych ludzi, Billie. To są twoje łyzy.

I ja te swoje łyzy dedykuję tej planecie, bo ją zabijamy, a ja ją przecież tak kocham. Dedykuję swoje łyzy wojnom, wszystkiemu, co zostało zagubione, dzieciom, które nie mają dzieciństwa, i mojemu dzieciństwu, które jakimś sposobem wróciło, stało się niczym sierota na progu, błagając, by je wpuścić do domu. Ale ja nie chcę otworzyć drzwi.

- Billie - powiedziała Spike - zostaw mnie tutaj i idź dalej.

- Nie zostawię cię. Dokąd mam iść?

- Znajdź swoją drogę do domu.

- To nie jest dom, to miejsce., gdzie mieszkam. A to różnica.

- Przynajmniej masz gdzie mieszkać. Popatrzyłam na chłopca z pieskiem.

- Mogłabym zabrać ich ze sobą.

- Nie zaopiekujesz się nimi, tamci na to nie pozwolą. Chłopca zabraliby do szpitala, gdzie czekałoby go śmierć, psa kazaliby uśpić.

- Tak...

- Powiedzieliby, że to dla dobra chłopca.

- Tak...

- Ale od tego pękłoby mu serce.

- Tak.

- A serce to jedyna rzecz, której mu jeszcze nie złamali.

- Spike?

- Tak?

- Dlaczego mówisz mi to wszystko?

- Jestem wśród ludzi.

- To pewnie musi cię przygnębiać.

- Ja nie potrafię odczuwać przygnębienia.

- Nie...

- Ale nauczę się.

- Spike, z tego nigdy nic nie wyjdzie. Ludzi na to nie stać: albo zabijamy siebie, albo zabijamy planetę, albo zabijamy jedno i drugie. Prędzej wszystko zniszczymy, niż sprawimy, żeby działało.

- Potrzebowałaś dużo czasu, żeby dotrzeć do tego miejsca.

- Całe te sześćdziesiąt pięć milionów lat, które upłynęły od wyginięcia dinozaurów.

- Właśnie wtedy został wysłany sygnał.

- Co?

- Ma datę.
- Myślałam, że nie potrafisz go odczytać.
- Potrafię.
- Co on mówi?
- Jako taki nie mówi wiele. To część kodu oprogramowania Robo sapiens.

Staruszek wyszedł z baraku. Wyraźnie podniecony wymachiwał rękami. Podeszliśmy do niego. W baraku coś szumiało.

- Komputer analogowy zaczął sterować czaszą - powiedział.
- Znalazłem coś, co nazwałbym wiadomością w butelce, z tym wyjątkiem, że jest ukryta nie w butelce, lecz w długości fali.

Gdy schodziliśmy do lądowania, osnuta kłębami białych obłoków kręciła się wokół własnych biegunów, błękitna jak diament, pokreślona rzekami. A potem odkryliśmy świat, który wciąż jeszcze się formował. Znaleźliśmy dowody na to, że kiedyś gazem tam dominującym był dwutlenek węgla, potem metan i wreszcie w efekcie interwencji sinic tlen. Tlen tam jest i dzięki temu ta planeta może udzielić schronienia naszym formom życia.

Podobnie jak na Orbusie, na Błękitnej Planecie jest i stały ląd, i są morskie akweny, wysokie łańcuchy górskie i obszary prawdopodobnie skute lodem. Wysłaliśmy dwie ruchome sondy i podczas najbliższych miesięcy spodziewamy się nieprzerwanego napływu danych.

Na podstawie zdjęć można się przekonać, że planeta jest bogato zalesiona. Z całą pewnością żyją tam owady, fauna morska i ssaki. Planeta jest uderzająco podobna do naszej

sprzed sześćdziesięciu pięciu milionów lat, wyjątek stanowią dinozaury, których na Orbusie nigdy nie odnotowaliśmy.

- Nowa planeta - powiedział. - Wyobraźcie sobie, co mogliśmy zdziałać, gdybyśmy odkryli jakąś nową planetę.

Oto ona, wędruje po niebie, zwycięska kulka ze szczęśliwą liczbą - nie proto, nie prawie, nie może, ale ta jedyna, Błękitna Planeta, która do tego stopnia pragnęła życia, że w końcu je dostała.

Czy dałoby się ją znaleźć podczas włóczęgi po wrakach gwiazd, spalonych, przeklętych, znaleźć ją, samotny punkt na Drodze Mlecznej, prawdziwą przystań?

I co, gdyby się naprawdę ją znalazło?

Staruszek siedział przy wydruku danych z komputera. Wyjęłam z torby rękopis, upuściłam go na podłogę, pozbierałam rozsypane kartki, przetasowałam je niczym talię kart.

- Co to jest? - spytała Spike.

- To jest to, o czym ci opowiadałam, dzisiaj, wczoraj, już sama nie wiem kiedy, bo to było jakby w innym życiu. To są *Kamienni bogowie*.

- Ciekawe, kto to tam zostawił?

- Ja.

- Dlaczego, Billie?

Wiadomość w butelce. Sygnał. Ale potem zobaczyłam, że on wciąż tu jest... że krąży i krąży po linii metra, która ma kształt pętli. To świat, który się powtarza.

Tak to się właśnie kończy?

To się jeszcze nie skończyło.

- Ta książka jest nieskończona, ale dalej już się posunąć nie mogłam.

- Co mam z nią zrobić?

- Przeczytaj ją. A potem gdzieś zostaw, żeby ktoś jeszcze mógł ją znaleźć. Kartki są luźne, można ją napisać od nowa.

W grocie, kiedy tak razem ze Spike patrzyliśmy na spadające płatki śniegu, na płatki śniegu spadające jak leonidy, roziskrzone początki nowych światów, które trwają jedną sekundę, a potem powracają, przeobrażają się, zaczynają żyć od nowa, zastanawiałam się, czy jest gdzieś indziej takie miejsce, gdzie nikt nie gra w mroczne kości, gdzie zwycięską liczbą stało się samo życie, nieprzebrane później przez ludzi takich jak my, którzy tak nisko ceniliśmy życie, że je straciliśmy. Społeczeństwo ludzi, które nie budzi tylko odrazy.

Radosne pohukiwania i dudnienie w bębny, wysławiające znalezienie jaja, jakby jeden walkoń z ukradzionym trofeum był władny odmienić życie i to, co mu przynależne. Nie odmieni, wszystko potoczy się tak samo, jak toczyło się przedtem: walka, zabijanie, niedostatek, utrata, z żądzy władzy, z zawiści, przez każdą głupotę, jaką człowiek tylko zdolny jest wykoncypować.

Tutaj zaś, gdzie kłęczę, jest ten maleński świat, który zawsze pragnąłem tulić w ramionach, miękko, tak miękko jak wtula się sam świat w objęcia niebios, niepowodowany pogroźkami ani też strachem, nie szukając podpory, wtula całą swoją istotę, ogród wielkiej urody pośrodku pola pełnego gwiazd.

Holandia, powiedział, wskazawszy gwiazdę położoną najbliżej księżycy; to tam umocuję swe serce do niego, jako sygnał mówiący o mojej miłości. Nie flagę, nie terytorium, nie fortecę, nie roszczenie, ale tę miłość.

Naprawdę mnie kochała, przez te czterdzieści tygodni, kiedy to albo ja byłem jej więźniem, albo ona moim. Każda z nas była ziemią podbitą przez tę drugą. Dorównywałyśmy sobie siłą i bezradnością. Byłyśmy towarem i ceną, tym, o co grałyśmy, i tym, co straciłyśmy. Mroczne kości, dwójka i jedynka, jedynka stała się dwójką, potem dwójka stała się dwoma jedynkami. Królestwo utracone w wyniku pojedynczego rzutu. To ryzykowne, ale to też nasza jedyna szansa. Wróc któregoś dnia. Będę wiedziała, że to ty. Namierzę cię, bo jesteśmy z jednej gliny.

W grocie, w resztkach światła, na samym początku długiego mroku, trzymałam głowę Spike i patrzyłam na jej oczy, które już się zamykały. Podciągnęłam kolana, żeby ogrzewać ją własnym ciałem, otuliłam ją swoją kurtką, żeby ją chronić przed zimnem.

Drzwi już się otwierają, niech on tam wejdzie. Belkowane sklepienie długiego korytarza jest udekorowane gwiazdami.

Wtedy byłyśmy z sobą po raz ostatni, jej serce i moje serce. Naprawdę mnie kochała, kochała jak jakąś gwiazdę, która zgasa wiele lat świetlnych wcześniej.

- Dokąd zmierzasz, Billie?

Gdybym mogła ci odpowiedzieć na to pytanie, to mogłabym powiedzieć ci wszystko - wszystko o sobie. Odpowiedzieć wprost na dwa podstawowe pytania: skąd się wzięłaś i dokąd zmierzasz? A jednak mózg nie posiada odrębnych obszarów dla przeszłości i przyszłości; mózg wyróżnia tylko teraźniejszość.

My dzielimy czas na trzy części. Mózg, jak się zdaje, dzieli go tylko na dwie: na „teraz” i „nie teraz”.

A zatem w ramach „nie teraz” mogę powiedzieć, że dryfowałam w otwartej łodzi i po jakimś czasie nauczyłam się tworzyć ster i wiosła, ale nigdy nie opanowałam sztuki żagla i wiatru. Wiatr wieje sobie, gdzie mu się podoba, i dlatego wielokrotnie docierałam do miejsc, do których się zupełnie nie spodziewałam dotrzeć.

Nigdy jednak nie znalazłam miejsca, które stałoby się moją przystanią.

Ułożyłam kartki na biurku, podniosłam Spike i pocałowałam ją lekko w usta. A potem ustawiłam ją na rękopisie.

- No to chyba do zobaczenia za sześćdziesiąt pięć milionów lat.

- Billie?

- Spike?

- Będę za tobą tęskniła.

- To myśl, która mogła się zrodzić tylko w układzie limbicznym.

- Nic na to nie poradzę.

- O tej myśli powiedziałabym to samo.

Ruszyłam w drogę, oddalając się od teleskopu, przez dolinę, przez równinę nocy. Nie obrałam kierunku, nie postawiłam sobie rzeczywistego celu: chciałam tylko tak iść, dopóki w moim umyśle panuje spokój. Z daleka dobiegały mnie poświętywania kul i ludzkie krzyki. Wróć, postanowiłam, kiedy będę mogła, ale jeszcze nie teraz.

Kwantowy wszechświat - ani przypadkowy, ani zdeterminowany. Wszechświat, w którym wszystko istnieje potencjalnie, w oczekiwaniu na ingerencję, która wpłynie na ostateczny rezultat.

Miłość to ingerencja.

Dlaczego to nie ją wybieramy?

Nie zauważyłam idących w moją stronę żołnierzy. Dwaj przedstawiciele gatunku ludzkiego przebrani za androidy, bez twarzy, bez delikatnej skóry, ze sprzętem do walki, w hełmach, z karabinami. Jeden z nich krzyknął coś zza czarnego wizora. Nie dosłyszałam, potrząsnęłam głową. Staliśmy nieruchomo, wszyscy troje. Nie podeszli do mnie. Uśmiechnęłam się, odwróciłam, wędrowałam dalej. Któryś znowu krzyknął. Dalej szłam. I zniemacka usłyszałam trzy serie, jedną po drugiej, osunęłam się na ziemię, poląła się krew, mnóstwo krwi, zdumiewająca ilość krwi, i wtedy mi się przypomniało: *Krwi było tyle, że aż musieli spalić pościel*. Nie, tamto zdarzyło się dawno temu.

Księżyc w pełni. Tuż obok świeci jakaś gwiazda. Tyle właśnie widzę ze swojego miejsca. A potem jestem zmuszona zamknąć oczy, na jakiś czas.

Znowu otwieram oczy: leżę na dolnym krańcu ścieżki. Moje ciało leży złamane pod kątem. Ubranie całe w błocie. Wiem, że krwawię, ale tę ranę mam od zawsze.

Omiatam wzrokiem swoje ciało, drobne, znajome, budzi tkliwość i niejaki żal, bo już tam nigdy nie wrócę.

Ruszam w górę ścieżki. Pod drzewami jest bardzo ciemno, ale kule przestały świstać, a ja słyszę ptaki, co mnie dziwi, bo tu przecież jest tak ciemno.

Po mojej lewej ręce płynie szeroki, żywy strumień, z wodną rukwią, która porasta jego najszybsze partie, z kosaćca-mi na brzegu, z wierzbą, która pochyla się nad samą wodą, z pianą zabiego skrzeku i kurkami wodnymi żeglującymi wraz z prądem.

Znam tę ścieżkę, znam ten strumień, byłam tu już kiedyś, bodajże wiele razy, choć nie umiem powiedzieć kiedy. Ścieżka pnie się stromo, muszę przyspieszyć kroku. Oglądam się za siebie, strasznie ciemno.

Przed sobą widzę światło, przebija się przez baldachim utworzony ze splecionych koron drzew i to jest światło słońca, światło dnia, gnam ku niemu, wspinam się coraz wyżej, brzeg coraz bardziej się oddala, strumień głęboko w dole wzbiera, gotów przelać się przez ściany koryta.

Czuję, że jestem silna, wysportowana. Taka wspinaczka to dla mnie pestka. Energia krąży po moim ciele niczym sok w tkankach drzewa. Tu nie ma się czego bać.

Na zakręcie ścieżki widzę dokładnie to, co spodziewam się zobaczyć: przysadziste, siedemnastowieczne domostwo, pobudowane na urwisku nad strumieniem. Obok frontowych drzwi stoi beczka na wodę, na łańcuszku wisi blaszany kubek, na skraju ogrodu rośnie jabłoń, w tym miejscu, gdzie kończy się ścieżka.

Łupkowe dachówki zielone od mchu. W środku płonie ogień na kominku.

Powinnam teraz otworzyć furtkę, która oddziela dom od ścieżki, ale najpierw oglądam się za siebie i już teraz widzę, co to za miejsce, widzę, że światło zostaje z tyłu i w końcu znika.

Trzymam dłoń na furtce, ale waham się jeszcze przez chwilę, bo kiedy przez nią przejdę, to już nie będzie odwrotu.

Słyszę hałas - drzwi otwierają się na oścież. To ty, wychodzisz z domu, idziesz w moją stronę, uśmiechasz się z zadowoleniem. To ty i to ja, wiedziałam, że tak to się skończy i że tu będziesz, że zawsze tak było, że to tylko kwestia czasu.

Twoja twarz po drugiej stronie furtki. Bliżej już podejść nie możesz. To ja muszę przejść. Zasuwka jest lekka. Tak, otwórz ją. To nie było trudne.

Wszystko nosi na sobie ślad tego, czym już kiedyś było.

PODZIĘKOWANIA

Niniejszym dziękuję Phillipie Brewster, Lysanderowi Ash-tonowi, dr Teresie Anderson z Jodrell Bank, Dianie Souhami, Simonowi Prosserowi i jego zespołowi z Penguin Books oraz mojej agentce, Caroline Michel.